

Edgar Wallace

# TAJEMNICA TRZECH DĘBÓW



SK

Edgar Wallace

TAJEMNICA TRZECH  
DĘBÓW

(The Three Oak Mystery)

Tłumaczył z angielskiego  
JÓZEF OLBRYCHT

## Spis treści

- 1 [Sokrates Smith](#)
- 2 [Pasierbica Johna Mandle'a](#)
- 3 [Strach Johna Mandle'a](#)
- 4 [Człowiek na drzewie](#)
- 5 [Pantofel i Mr Jetheroe](#)
- 6 [Molly Templeton](#)
- 7 [W Prince's Place](#)
- 8 [Tajemnicze włosy](#)
- 9 [Kto to był Jetheroe?](#)
- 10 [Molly opowiada](#)
- 11 [Pali się!](#)
- 12 [Co słyszał Gritt](#)
- 13 [Strzał w ciemnościach](#)
- 14 [Pamiętnik](#)
- 15 [Proszę nie opuszczać Molly](#)
- 16 [Tron marmurowy](#)
- 17 [Pool-in-the-Moor](#)
- 18 [Molly znowu znika!](#)
- 19 [Dusiciel](#)

- 20 [Co się stało z Molly](#)
- 21 [W domu tajemnic](#)
- 22 [Człowiek w oknie](#)
- 23 [Historia zabójstwa](#)
- 24 [Tajemnica Pool-in-the-Moor](#)

Tekst opracowano na podstawie wydania  
Wydawnictwa "Płomień", Warszawa 1929.

## ROZDZIAŁ I

### SOKRATES SMITH

— Morderstwo nie jest ani sztuką ani umiejętnością, jest tylko przypadkiem — mówił Sokrates Smith, a Lex Smith, jego młodszy brat i najwierniejszy towarzysz uśmiechnął się ironicznie. Trudno było doprawdy wyobrazić sobie dwu ludzi bardziej różnych.

Sok Smith miał lat blisko pięćdziesiąt; był to wysoki, chudy, zgarbiony mężczyzna, cały jak wystrugany z drewna, o siwych przyszczyżonych wąsikach nad stanowczymi ustami. Lex miał lat dwadzieścia pięć i był o dwie stopy niższy od brata, ale trzymał się tak prosto, że robił wrażenie równego z nim wzrostem, a nawet mogło się zdarzyć, że na pierwszy rzut oka wzięto by go za wyższego.

— Mój Boże, Sok, jakież to wygłaszasz aforyzmy — powiedział ze śmiechem Lex Smith.

— To nie, żadne aforyzmy, głuptasku — odparł Sok — podaj mi marmoladę.

Bracia siedzieli właśnie przy śniadaniu w obszernej jadalni, której okna wychodziły na Regent's Park. Zajmowali oni pierwsze i drugie piętro jednego z dużych domów przy Regent's Parku. Dom był własnością Smitha. Kupił go, gdy miał lat trzydzieści.

W owym czasie zamyślał o małżeństwie, ale potem, gdy dom był już jego własnością, nie miał nigdy czasu na zakochanie się i, jak mówił Lex, wyładowywał swoje „instynkty macierzyńskie”, opiekując się młodszym bratem.

Sokrates Smith miał zbyt dużo zajęcia w życiu, by zmieścić w nim jeszcze umizgiwanie się do kobiet. Zdarzyło się nawet, że raz błogosławił swój brak czasu: było to wtedy, gdy wszystkie jego myśli zajęte były sprawą morderstwa Tollemarsha, a ciotka, jego jedyna prócz Lexa krewna, swatała mu właśnie wspaniałą partię. Partia nie doszła do skutku, a kandydatka na żonę Soka zdążyła się już obecnie trzy razy rozwieść i była w Londynie awanturnicą.

Sok studiował kryminalistykę i w tym celu wstąpił

do policji. Ale doprawdy niezwykły to był policjant, który po odbyciu służby, spędzał wolne godziny w jednym z najwykwintniejszych klubów Londynu.

Miał sześć tysięcy funtów rocznego dochodu, ale zajęciu policyjnemu oddawał się wprost z namiętnością i przechodził wszelkie stopnie kariery policyjnej. Kiedy osiągnął już szarżę oficera, rzucił służbę i zajął się studiowaniem metod policji zagranicznej oraz ulubioną swą nauką: antropologią.

Scotland Yard jest instytucją, w której niełatwo zasłużyć na pochwałę, zwłaszcza amatorom, ale mimo to Sok opuścił Yard, zostawiając po sobie jak najlepszą opinię, zyskał nawet oficjalne uznanie.

Gdy wprowadzono system zdjęć daktyloskopowych, Sok zasłynął jako najwytrawniejszy specjalista w tej dziedzinie, a także w dziedzinie badania plam krwi na odzieży; wzywano go w specjalnie trudnych wypadkach i zazwyczaj rozwiązywał je bez zarzutu.

— Jakim pociągiem pojedziemy? — spytał Lexington.

— O drugiej, ze stacji Waterloo — odparł brat,

składając serwetkę.

— Czy bardzo będzie nudno? — pytał Lex.

— Spodziewam się — powiedział Sok, z figlarnym błyskiem w oczach — ale to bardzo zdrowo. Nuda jest jedynym środkiem wychowawczym dla młodzieńców w twoim wieku.

Lex roześmiał się.

— Jesteś dziś pełen mądrości, nie darmo dano ci imię Sokrates.

Sokrates Smith od dawna już wybaczył swoim rodzicom ekscentryczne imię, które mu dali. Ojciec jego miał słabość dla wszystkiego co klasyczne i tylko energiczny protest matki sprawił, że Lex nie otrzymał imienia Arystofanes.

— Dziecko, które ma nazwisko Smith, moja droga — mówił do żony — musi mieć przynajmniej imię, które by go wyróżniło spośród innych.

Wreszcie zgodzili się oboje na imię Lexington, gdyż dziecko przyszło na świat w Lexington Lodge, Regent's Park.

— Jestem dziś pełen mądrości i aforyzmów, powiadasz? — spytał Sok Smith ze śmiechem — więc



oto jeszcze jeden aforyzm. Zapamiętaj to sobie, że okazja jest bardziej niebezpieczna od piękności.

Lex spojrział na niego zdziwiony.

— Co to ma znaczyć? — spytał.

— Córka Mandle'a jest ogromnie wdzięczną i ładniutką dziewczyną, spędzisz pod jednym z nią dachem trzy dni. Mądrej głowie...

— Bzdury — powiedział młodzieniec porywczo — nie mam zwyczaju kochać się w każdej napotkanej dziewczynie.

— Niewiele ich jeszcze w życiu napotkałeś... — brzmiała odpowiedź.

W parę chwil później Lex, wchodząc do pokoju brata, zastał go przy zamykaniu walizy. W żaden sposób nie chciała się domknąć.

— Po cóż zabierasz ze sobą przyrządy, mające związek z twoją zgubną namiętnością? — spytał brata, pokazując mu starannie zawinięty mikroskop — przecież nie jedziesz do Hindhead dla wykrywania jakiejś zbrodni?

— Nigdy nic nie wiadomo — odparł Sokrates — gdybym nie wziął przyrządów ze sobą, mogłoby właśnie

coś się zdarzyć, a tak mam prędej zagwarantowany spokojny weekend.

— Cóż to za człowiek ten Mandle? — spytał młodszy brat, przypomniawszy sobie po co właściwie wszedł do pokoju.

— Był doskonałym oficerem i świetnym detektywem, — odparł Sokrates — gdy opuścił służbę, policja straciła w nim dzielnego pracownika, straciła zresztą wówczas jednocześnie dwóch, gdyż z nim razem wystąpił Stone.

— Stone był inspektorem policji?

— Sierżantem policji — odparł Sokrates Smith. — On i Mandle byli najlepszymi przyjaciółmi, razem też zaczęli spekulować na akcjach i włożyli w to bardzo wiele pieniędzy. Wówczas Mandle zjawił się sam u naczelnika policji i wyjaśnił mu, że nie może zajmować się jednocześnie dwiema rzeczami i że opuszcza swoje stanowisko.

Do tego postanowienia przyczyniło się niemałe niepowodzenie, którego w tymże czasie doznał. Oto zajmował się tropieniem przestępcy nazwiskiem Deveroux, który splądrował Bank Lyoński i uciekł do

Ameryki Południowej. Zbrodniarz przemknął mu się wprost między palcami i to do reszty rozczarowało Mandle'a. Wystąpił, a razem z nim Stone. Yard stracił dwu dzielnych ludzi.

— Stracił trzech, mój stary — powiedział Lex, klepiąc brata po ramieniu — gdyż i ty odszedłeś w tym samym czasie.

— Tak — powiedział Sokrates obojętnie — ale ja się nie liczę.

## ROZDZIAŁ II

### PASIERBICA JOHNA MANDLE'A

Leśniczówka, willa Johna Mandle'a, była pięknie położona na szczycie wzgórza.

Dom był prawie niewidoczny w gęstych zaroślach sosnowych i jałowcowych.

Znajdował się mniej więcej o milę od Hindhead i z tarasu jego John Mandle mógł widzieć całą okolicę.

Siedział właśnie w bawialni, z nogami otulonymi grubym pledem, i przez szeroko otwarte okna patrzył na ogród. Był to siwy człowiek o ponurym wyrazie swej długiej kościstej twarzy.

Młoda dziewczyna, która weszła do pokoju, zatrzymała się nieśmiało u progu.

— Czy nie było depeszy od Smitha? — burknął.

Sokrates Smith nie przesadził, nazywając ją ładniutką. Z milej jej twarzyczki biła dobroć. Wobec ojczyma była nieśmiała i jak gdyby przerażona. Widać

było, że boi się go panicznie, i że nienawidzi go może pod wpływem wspomnienia, jak był niedobry dla jej matki.

Mandle nie miał własnych dzieci i zdawał się nigdy nie odczuwać ich braku. Jego stosunek do pasierbicy przypominał stosunek pana do służącej, nie miał nigdy dla niej ani odrobiny czułości.

Kaprys jego wyrwał dziewczynę z pensjonatu dla młodych dziewcząt, pozbawił ją nauki i towarzystwa rówieśnic i przeniósł w ponurą atmosferę Leśniczówki, dając jej jako jedyne towarzystwo starca, nie mówiącego do niej całymi dniami ani słowa. Czula doskonale, że ojczym okradł ją ze szczęścia jej młodych lat, okradł z radości życia, okradł ze swobody, z wiary w ludzi, a co gorsza, z wiary w Boga.

— Czy przygotowano dwa pokoje? — mruknął.

— Tak, ojczcze — odparła.

— Trzeba urządzić je jak najwygodniej. Sokrates Smith to stary mój przyjaciel. Brata jego nie znam.

Słaby uśmiech zjawił się na wargach dziewczyny.

— Jakież ma zabawne imię — powiedziała.

— Skoro jemu wystarczy, powinno wystarczać i

tobie — powiedział gniewnie John Mandle.

Dziewczyna umilkła.

— Nie widziałem go dziesięć lat — powiedział Mandle, raczej do siebie niż do pasierbicy. — Mądry towarzysz, dobry przyjaciel.

Usiłowała raz jeszcze nawiązać rozmowę.

— To świetny detektyw, prawda? — spytała nieśmiało.

— Najlepszy i najmądrzejszy bodaj w całym świecie, a w Anglii z pewnością. Słyszałem, że brat wstępuje w jego ślady.

— Czy jego brat jest młody?

Mandle ściągnął swe nastroszone brwi z niezadowoleniem.

— Ma dwadzieścia pięć lat — odparł. — Ale proszę sobie raz na zawsze zapamiętać, Molly, że nie znoszę tu żadnego romansowania.

Twarzyczka Molly oblała się rumieńcem, a podbródek drgnął.

— Nie mam zwyczaju romansowania z gośćmi ojca — powiedziała z wyrzutem — nie rozumiem, czemu ojciec mówi mi tak przykre rzeczy?

— Bo tak chcę — powiedział.

— Tak, ale ja nie chcę! — zawołała z nagłą energią. — Już dosyć długo znosiłam tę tyranie od chwili śmierci mojej nieszczęśliwej matki, ale teraz mam już tego dosyć! Cierpliwość moja się już wyczerpała! Uczyniłeś mi ten piękny zakątek piekłem i dłużej tego znosić nie myślę!

— Jak chcesz — odparł, nie odwracając głowy — możesz sobie iść.

— Właśnie mam zamiar to zrobić — powiedziała spokojnie. — Natychmiast po wyjeździe gości wyjadę do Londynu i tam będę sama zarabiała na moje utrzymanie.

— Doskonale znajdziesz sobie zajęcie — powiedział szyderczo. — Cóż ty umiesz robić?

— Dzięki panu, nic — odparła — gdybym została w szkole, mogłabym teraz być nauczycielką.

— Nauczycielką! — roześmiał się głośno. — Jakie głupstwa gadasz. A czy wiesz, że jeśli mnie porzucisz, nie dostaniesz ani grosza po mojej śmierci?

— Nie chcę pańskich pieniędzy, nigdy ich nie chciałam. Matka zostawiła mi trochę biżuterii..

— Którą ja jej kupiłem — przerwał jej brutalnie — nie miała prawa zostawiać ci mojej własności.

— W każdym razie, ja tej biżuterii nie posiadam — odparła dziewczyna i odwróciła się gwałtownie, by odejść.

Mandle przywołał ją z powrotem.

— Molly — powiedział głosem niebywale jak na niego łagodnym — powinnaś mieć dla mnie trochę względów, jestem chory...

Odetchnęła z ulgą.

— Wybacz mi, ojcze, powinnam była o tym pamiętać. Czy kolano bardzo ci dokucza?

— Tak bardzo, że nie mogę wcale stać. To fatalne, że akurat wtedy dokucza mi reumatyzm, gdy po dziesięciu latach przyjeżdża do mnie przyjaciel. Właściwie powinienem położyć się teraz na tydzień do łóżka. Przyślij mi, proszę cię, służącego, żeby mnie przeprowadził do gabinetu. Muszę popracować.

Z pomocą ogrodnika i służącego John Mandle dostał się do obszernego jasnego pokoju na parterze. Pokój ten służył mu za gabinet, a w wypadkach, gdy noga zbyt mu dokuczała, by mógł wejść na schody, i



za sypialnię.

Dziewczyna, widząc go siedzącego wygodnie przy biurku, udała się do swych zajęć domowych.

Gdy Sokrates Smith wraz z bratem zajechali przed dom, John Mandle znajdował się właśnie na polance przed domem.

— Halo, John — zawołał Sok na widok przyjaciela leżącego w fotelu — co ci jest?

— To ten przekłety reumatyzm — jęknął — szczęśliwy jestem, że cię widzę, nic a nic się nie zmieniłeś.

— Przedstawiam ci mego brata — powiedział Smith, a Mandle uścisnął dłoń młodzieńca.

Przeszedłszy do jadalni, ujrzeli Molly, i widok młodej dziewczyny zachwyił Lexingtona.

— Ona jest urocza, Sok — powiedział, gdy został sam z bratem po jedzeniu. — Czyś widział kiedy takie oczy? takie czoło? taki uśmiech? Wygląda jak świeżutki pączek róży. A jakie ma zachowanie...

— O, Lex, jakże mnie nudzisz — powiedział starszy brat — i pomyśleć, że to ja sam przywiozłem cię tutaj i popsulem dzieło tylu lat, w ciągu których

chroniłem cię przed podstępными sidłami kobiet.

— Przestań, wiesz tak samo jak ja, że jest prześliczna.

— Nie jest brzydka — przyznał Sok — ale taka, jak każda inna młoda dziewczyna.

— Jesteś nieokrzesany i w dodatku nieszczerzy — jęknął brat.

— Nie mogę być jednym i drugim, to nie idzie w parze — zauważył Sok filozoficznie. — Ale co to ja chciałem powiedzieć? czyś spostrzegł..

— Co takiego? — przerwał Lex. — Może stosunek starego do dziewczyny?

Starszy brat skinął potakująco głową:

— Tak.

— To musi być awanturnik! — zawołał Lex z żywością. — Ale nie rozumiem, jak można mówić do takiej dziewczyny jak do psa. Czyś słyszał, jakim tonem zażądał od niej cukru?

— Zdaje mi się, że on jej nienawidzi — powiedział Sok. — I ona jego również nienawidzi. To wszystko razem jest ciekawe, gdyż John Mandle najwyraźniej żyje w strachu.

— W strachu?

Sok Smith skinął głową. Widział on wyraźnie w oczach Mandle'a śmiertelny lęk.

### ROZDZIAŁ III

## STRACH JOHNA MANDLE'A

— Strach przed czym? — spytał Lex, marszcząc brwi.

— Chciałbym to wiedzieć — odparł Sok. — Widziałeś dzwonek alarmowy przy bramie? Zauważyłeś, że drzwi gabinetu mają elektryczną klamkę? Oczywiście, uszło to twojej uwagi, bo jesteś jeszcze nowicjuszem w swoim zawodzie. Widziałeś, że zarówno w sypialni jak w gabinecie ma rewolwer pod ręką? Spostrzegłeś na jego biurku potrójne lustro, które pozwala mu widzieć, nawet gdy jest odwrócony tyłem, każdego który wchodzi do pokoju? Ten człowiek jest przerażony; i to przerażony śmiertelnie. Lęk ma w oczach.

Lex słuchał brata z szeroko rozwartymi ustami.

— Sądzę — ciągnął tamten — że w ten sposób należy też rozumieć jego wieczną złość i dlatego należy

być dla niego nieco pobłażliwszym.

— Ale oto Bob Stone — powiedział nagle, i ruszył naprzeciw człowieka, idącego przez murawę.

Nowo przybyły, wysoki barczysty mężczyzna o miłej pogodnej twarzy przywitał starego przyjaciela głosem grzmiącym na odległość:

— Sok, jesteś coraz to chudszy! — wrzasnął. — U diabła, czyż ty nigdy nie jadasz?

Sok Smith jęknął, gdy tamten ścisnął mu rękę swą olbrzymią łapą.

— Jesteś taki sam, jak zawsze, Bob — powiedział — a gdzież John?

— Jęczy w tej chwili pod rękami masażysty — powiedział Lex.

— A, to twój brat? — rzekł Bob — przystojny chłopak, przystojny. Czy i pani jest tego zdania, miss Templeton?

Dziewczyna zarumieniła się na widok zakłopotania Lexa.

— Nie znam się na męskiej urodzie — powiedziała wymijająco. — Widuję tylko pana i ojca.

Bob Stone roześmiał się na tę przebiegłą

odpowiedź i uderzył się po kolanie z uciechy.

Ten ruch przypomniiał mu jednak cierpienia przyjaciela.

— Biedny John — powiedział. — Z kolanem jego jest coraz gorzej. Uważam, że szkodzi mu z pewnością i brak wiary religijnej.

Sok spojrział na niego bystro.

— To coś nowego u ciebie, Bob — powiedział z powagą.

— Co? Czy religijność? Być może. Doszedłem do tego sam i niedawno. Szkoda że nie będziesz mógł zostać długo, by być na zjeździe religijnym, który odbędzie się w Godalming. Przyjedzie też ewangelista Evans, będzie bardzo zajmująco. Ja też będę przemawiał.

— Ty? — zawołał Sokrates zdumiony.

Bob Stone pokiwał głową. Duża jego twarz miała wyjątkowo uroczysty wyraz.

— Tak, jestem jednym z organizatorów zjazdu. Nie mam jeszcze pojęcia co będę mówił, ale mam nadzieję, że słowa same przyjdą, i że nie okażę się głupcem. Halo! John!

John Mandle sunął ku nim na swym fotelu, ponuro kiwając głową do przyjaciela.

— Słyszę, że opowiadasz o zjeździe religijnym, Bob.

— Tak, odbędzie się w przyszłym tygodniu w Godalming. A gdybyś tak pojechał ze mną? Może prędzej uleczyłbyś twój reumatyzm?

John mruknął coś mało pochlebnego pod adresem cudownych uzdrowień oraz ewangelisty Evansa, ale Stone nie wziął tego na serio.

Wieczór był piękny i ciepły toteż zasiedzieli się długo w ogrodzie. Miss Templeton przyłączyła się do towarzystwa, a nawet odważyła się wtrącić parę razy swoje zdanie do rozmowy.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu, szorstki ojczym nie przerywał jej zjadliwymi uwagami, może dlatego, że Lex w tych momentach nie dopuszczał go do słowa.

Gdy młody człowiek usiadł na chwilę sam na uboczu z dziewczyną, powiedział do niej ze śmiechem:

— Czy ci trzej nie przypominają pani trzech muszkieterów, miss Templeton?

Dziewczyna uśmiechała się.

— Kiedy siedzą tak, wspominając dawne zwycięstwa i tych biedaków, których posłali na szubienicę, albo przynajmniej na ciężkie roboty — dodał Lex.

— Znacznie więcej jeszcze ludzi powinno by się wysłać na ciężkie roboty — powiedział Sokrates, usłyszawszy słowa brata. — Kiedy będziesz w naszym wieku, zrozumiesz to z pewnością.

— Brat pana jest niezwykłym człowiekiem — szepnęła dziewczyna do Lexingtona. — Jakież ma piękne oczy.

— Ale ja mam piękniejsze — odparł młodzieniec bezwstydnie.

Molly roześmiała się głośno.

— Nie, teraz mówię poważnie — powiedział Lex — mój brat jest doprawdy niezwykły. Podziwiam wciąż jego rozum i przenikliwość. Mówiłem nawet o tym z pani ojcem..

— Z moim ojczymem — poprawiła spokojnie.

— Przepraszam panią, z pani ojczymem — powtórzył.

John Mandle nie słyszał ich zagłębiony w



rozmowie.

— Sok opowiadał mi, że Mr Mandle i Mr Stone byli najdzielniejszymi detektywami Scotland Yardu. Opracowywali plan działania zawsze do najmniejszych szczegółów i osiąkali niebywale wprost rezultaty.

W tej chwili trzeba było przerwać rozmowę, gdyż zabrzmiał gong na obiad. Posiłek przeszedł wesoło. Bob Stone opowiadał tysiące anegdotek, tak że nawet Mandle uśmiechnął się parę razy.

Po obiedzie zaproponowano grę w brydża, ale Bob Stone nie chciał w niej wziąć udziału.

— Jest to jedna z tych rozkoszy światowych, których się wyrzekłem — powiedział.

— Będziesz kanonizowany za życia — mruknął Mandle, ale stary człowiek tylko się uśmiechnął i mówił dalej o swej wierze.

— Zadziwiająca jest ta zmiana w Bobie — powiedział Sokrates — ale takie rzeczy się zdarzają.

— U niego nikt się tego nie spodziewał — powiedział John Mandle.

— Czy nie ożenił się jeszcze?

Po raz trzeci tego wieczora Mandle uśmiechnął się,

patrząc znacząco w kąt pokoju, gdzie siedziała Molly pogrążona w rozmowie z Lexem.

— Nie, nie jest żonaty — powiedział — choć ma w tym kierunku pewne zamiary.

— Rozumiem — odparł Sok spokojnie.

Lex podniósł głowę, posłuchał chwilę, a potem zwrócił się do młodej dziewczyny:

— Ale pani chyba go nie chce?

Molly uśmiechnęła się:

— Lubię go bardzo — powiedziała. — To taki dobry człowiek. Ale nie nadaje się przecież na męża. Powiedziałam mu to zresztą.

— A co sądzi o tym pani ojczym?

Przez chwilę milczała, potem odpowiedziała:

— Mego ojczyma niewiele to obchodzi. — W głosie jej dźwięczała gorycz.

Lex patrzył na dziewczynę z czułością. Widać było, że zapadła mu głęboko w serce.

Czas płynął tym dwojgu tak szybko, że gdy Sok wstał, by udać się na spoczynek, Lex czuł się rozczarowany.

— Pójdę już do łóżka — powiedział Sok

— powietrze wiejskie działa na mnie usypiająco. Idziesz ze mną, Lex?

Lex zgodził się, gdyż widział znak porozumiewawczy w spojrzeniu brata.

— Chodź do mego pokoju na chwilę — zaprosił go, gdy znaleźli się sami, a gdy zamknęli za sobą drzwi, Sok powiedział:

— Mój drogi, doprowadziłeś starego Mandle'a do furii.

— Ja? — zdziwił się młodszy brat.

— Posłuchaj tylko — odparł Sok i pochylił w milczeniu głowę.

W ciszy domu doleciały uszu braci odgłosy jakiejś sprzeczki.

— Obawiam się, że teraz wyładowuje na nią swój zły humor — powiedział Sokrates spokojnie.

— Ale z jakiego powodu?

— Bóg raczy wiedzieć, ale najwidoczniej nie znosi, gdy ktokolwiek zwraca na dziewczynę uwagę, musisz przyznać, że pożerałeś ją oczyma, jak to się mówi w powieściach.

— Czy było w tym coś obraźliwego? Albo

nienaturalnego? — spytał Lex.

— Zupełnie naturalnie, mój mały — odparł Sok z uśmiechem. - Każdy normalny człowiek na miejscu Johna Mandle'a byłby dumny z takiej córki, a nawet z pasierbicy. Ale temu człowiekowi ustawiczny lęk pomieszał zupełnie w głowie.

— Więc trwasz przy swojej teorii? — spytał Lex.

Starszy brat skinął przytakująco głową.

— Czyś spostrzegł wejście służącego? Słyszałeś, jak dawał mu instrukcje rozmieszczenia na noc drutów i kontaktów, chroniących jego domu?

— Spytałeś go, co to ma znaczyć?

Sok wstrząsnął głową.

— To nierozsądnie pytać ludzi, o to czego się lękają — powiedział. — Niechętnie dają wówczas odpowiedzi.

Na dole rozległy się szybkie kroki dziewczyny biegnącej do swego pokoju i ciężkie stapania dwu służących, niosących fotel Mandle'a do sypialni.

Sok uchylił drzwi na schody.

— Dobranoc, John, — powiedział, gdy Mandle niesiony w fotelu mijał ich drzwi.

— Dobranoc — brzmiała niechętna odpowiedź.

— Dobranoc, panie Mandle — rzekł Lex, ale nie było już odpowiedzi.

Noc była piękna, księżycowa i bracia długo siedzieli w otwartym oknie.

W domu ucichło, wszyscy udali się już na spoczynek.

Lex drgnął na dźwięk pytania zadanego mu przez brata.

— Co to za dom?

Wskazywał palcem na duży biały dom stojący w dolinie na wprost willi Mandle'a.

— Dobrze, że to właśnie chcesz wiedzieć, gdyż jest to jedyny dom w sąsiedztwie, o którym wiem, kto w nim mieszka — powiedział Lex. — Przechadzając się po południu, spytałem ogrodnika o ten dom. Powiedział mi, że mieszka tam niejaki pan Jetheroe, filantrop i odludek, wielki przyjaciel miss Molly Templeton. Jej ojczym nie wie zresztą, zdaje się, nic o tej przyjaźni. Gdyby.... — nie skończył zdania.

Jedno z dużych okien białego domu zapłonęło nagle dziwnym blaskiem.

Był to jaskrawy płomień, który zapalił się i zgasł natychmiast.

— Co to jest? — spytał Lex.

W tej chwili ten sam blask zjawił się i zgasł znowu. Powtórzyło się to parę razy w większych i mniejszych odstępach czasu.

— Ktoś sygnalizuje — powiedział Sokrates. — To za pomocą Morse'a.

Zaczął odczytywać:

— C-H-O-D-Ź. — Potem przez chwilę nie mógł schwycić liter, a następnie czytał: — RZY. Pewnie miało być TRZY.

Potem nastąpiło słowo: DEBY.

— Cóż to za diabeł prowadzi w ten sposób potajemną korespondencję? — spytał.

— Można znaleźć wiele tłumaczeń tej zagadki — rzekł Lex — ale zdaje się, że najbliżsi będziemy prawdy, sądząc, że to jakiś dymisjonowany żołnierz w ten sposób grucha ze swą ukochaną.

— Spójrz — zawołał nagle Sokrates, wskazując ręką przez okno.

Przez trawnik przed domem przemknęła jakaś

widmowa postać i zniknęła w krzakach.

Lex spojrzął i zdumiał się. Poznał, w tajemniczej postaci Molly Templeton. W ręku trzymała niewielką walizeczkę.

Gdy krzaki zasłoniły postać dziewczyny, bracia spojrzeli po sobie w milczeniu.

— Nie widzę przyczyny, dla której nie wolno by jej było robić w nocy małej przechadzki — powiedział wreszcie Sok.

Lex tylko w milczeniu kiwnął głową.

— Dobranoc, Sok, śpij spokojnie, mój stary — powiedział, wstając. — A jutro z rana nie zapomnij mnie zbudzić, gdy będziesz szedł na twoją wywiadowczą wycieczkę, bo spodziewam się, że nie masz zamiaru przechadzać się o świcie dla samej przyjemności spaceru?

— Dowiesz się o wszystkim, nie bój się — odparł starszy brat.

## ROZDZIAŁ IV

### CZŁOWIEK NA DRZEWIE

Lexington dowiedział się o wszystkim. Na twarzy swej poczuł mokrą gąbkę i to oryginalne przebudzenie przerwało mu sen, w którym w przedziwny sposób majaczył John Mandle w połączeniu z przemykającą się chyłkiem postacią Molly Templeton.

— Już czas wstawać, chłopcze — powiedział Sok łagodnie.

Był już całkowicie ubrany, a przez otwarte okno zagłędały wesołe promienie rannego słońca.

— Która godzina? — spytał Lex ospale, sięgając po swoje pantofle.

— Wpół do siódmej, a zanim zsiądziesz do śniadania masz siedem mil do przemaszerowania.

W godzinę później opuszczali dom. John Mandle uprzedził ich, że w domu jego wszyscy wstają bardzo późno. On sam nie ukazuje się nigdy przed południem,



a często spędza cały dzień w łóżku.

Idąc w kierunku drogi, bracia mijali cały szereg rozmaitych sygnałów i dzwonek alarmowych.

— Tajemnicze znaki nocne nie dają mi ani chwili spokoju — powiedział Sok, schodząc u boku brata ze wzgórza. — O ile sobie przypominasz, przez okno widzieliśmy jedynie część białego domu, gdyż druga część białego domu, zasłonięta była murem. Oto ona — pokazał laską.

Przed ich oczyma ukazał się, błyszcząc w słońcu poranka jak klejnot, biały dom. Na prawo wznosił się budynek z czerwonej cegły będący siedzibą Mr Boba Stone'a.

— Ach, jaki z ciebie straszny człowiek, Sok — powiedział Lex — wiecznie ta mania detektywna. Nawet tu, w tym cichym ustroni, musisz się doszukać jakichś tajemnic.

Sam był z lekka zaniepokojony nocnym spacerem dziewczyny, ale nie chciał tego dać po sobie poznać.

Zbliżali się coraz bardziej do białego domu, który błyskał w słońcu dużymi oknami.

— Właściciel lubi dużo światła — powiedział

Sokrates — czy zauważyłeś niezwykle wprost ilość i olbrzymie rozmiary okien?

— Proszę cię, rozumij dalej nagłos, wielki detektywie, chętnie będę twoim doktorem Watsonem.

— Nie mów głupstw — powiedział Sok — chodźmy lepiej tą ścieżką wiodącą w stronę białego domu.

Szli zaledwie pięć minut wąziutką ścieżką, gdy Sokrates zatrzymał się gwałtownie.

— Trzy dęby — zawołał, wskazując ręką.

Tuż przed nimi wznosiły się trzy stare dęby.

— Oto dęby, o których była mowa w nocy — powiedział.

— Nie ma chyba miejscowości w rodzaju tej, w której by nie było trzech dębów, tak samo jak trzech pagórków lub trzech mostów — powiedział Lexington.

— Muszę się przyznać, że nie jestem dość romantyczny na to, by interesowały mnie cudze miłosne schadzki. Nie dziwiłbym się zresztą, gdyby pan Mandle sam nazaczył tu spotkanie. Jest tu doprawdy przepięknie.

Sokrates uśmiechnął się.

— Biedny John. Byłby szczęśliwy, mogąc przejść o

własnej sile dwa jardy. Od miesiący już nie opuszczał domu.

Ścieżka skręcała raptownie na prawo, dzieliło ich już tylko kilkanaście kroków od najbliższego drzewa. Nagle Lexington poczuł, że brat chwytą go mocno za ramię.

— Wielki Boże! — krzyknął Sok Smith strasznym głosem.

Tuż przed nimi na grubej gałęzi drzewa wisiał człowiek. Ciało jego przywiązane było liną, ręce bezsilnie zwisały ku ziemi, a na czole widniał krwawy ślad jakiegoś mocnego ciosu.

Sokrates jednym skokiem znalazł się przy drzewie. Nie było żadnych wątpliwości.

Człowiekiem tym był John Mandle. — Zamordowany.

## ROZDZIAŁ V

### PANTOFEL I MR JETTEROE

Stali przez chwilę nieruchomo, porażeni okropnym widokiem. Lex pierwszy się poruszył. Ale zaledwie zdążył zrobić krok naprzód, gdy silna dłoń brata zatrzymała go w miejscu.

— Ani kroku — powiedział surowo.

— To Mandle — szepnął Lex.

— Tak, Mandle — powtórzył Sok, uważnie patrząc w ziemię, a po chwili dodał:

— Teren jest niestety twardy, nie zachowuje żadnych śladów. Wycofaj się stąd, ale uważaj żebyś nie dotknął stopą czegoś, co przypomina jakiegokolwiek ślady.

Sam wspiął się na palce i dotknął dłoni zmarłego.

— Rozejrzyj się naokoło, Lex, i zobacz co się dzieje, ja włączę na drzewo.

Z niebywałą zwinnością wdrapał się na drzewo,

oglądając uważnie znaki na gałęziach, które przypominały ślady butów podkutych gwoździami.

Po chwili zeskoczył lekko z gałęzi drzewa na ziemię.

— Tak — powiedział krótko.

— Co tak? — spytał Lex zaintrygowany. Ale brat nie udzielił mu żadnych wyjaśnień.

Najwidoczniej zobaczył coś, co chciał zobaczyć.

— Znalazłeś tu coś przez ten czas. — spytał brata.

Lex wyciągnął dłoń :

— Tylko to — powiedział, pokazując mały nabój znaleziony na ziemi przy drzewie.

Sok przyjrzał mu się uważnie.

— To automatyczny rewolwer 35, powiedział — byłem tego pewien, widząc rodzaj rany. Nic więcej?

Lex potrząsnął głową.

— To straszne — powiedział — prawda?

— Straszne, ale interesujący wypadek — odparł brat.

Lex nie był do tego stopnia rozmiłowany w zawodzie detektywa, by móc traktować morderstwo jako obiekt do eksperymentu. Musiał na widok

martwej postaci i białych oczu myśleć o tym, że człowiek, który tu wisiał był jeszcze wczoraj żywy i rozmawiał ze swymi gośćmi.

— Jakież to będzie okropny cios dla dziewczyny — przypomniał sobie nagle. — Jak to się stało? Musiało ich być chyba kilku. Może wtargnęli do domu w czasie naszego snu. To mnie właśnie najbardziej dręczy.

— Jak sądzisz, ilu ich było? — spytał spokojnie Sokrates.

— Przynajmniej trzech — odparł brat. — Musieli go w nocy wyciągnąć z łóżka, a my nic nie słyszeliśmy. Czy myślisz, że to możliwe?

— Myślę bardzo wiele rzeczy — powiedział Sok wymijająco. — Ale odpowiedz mi, Lex, co ty sądzisz o tej sprawie.

Lexington zamyślił się; po chwili odpowiedział:

— Musiał mieć wielu okropnych wrogów. Sam mówiłeś, że lękał się czegoś bezustannie, widocznie spodziewał się wciąż napaści. Aż wreszcie nastąpiła. Wyciągnęli go z domu i zabili; w tak straszny sposób zamordowali.

Sokrates potrząsnął głową:

— Dlaczego nie przypuszczasz, że zamordowali go w domu? Mogli go przecież otruć. Po cóż mieliby go ciągnąć prawie milę, by tam dopiero zastrzelić? Nie, mój synu, ta hipoteza mi się nie podoba!

— Tak, czy inaczej, musieli go wynieść z domu — upierał się przy swoim Lexington. — Biedny Mandle nie miał przecież władzy w nogach. I, ach, tak, pamiętasz zagadkowy sygnał świetlny?

— Nie zapomniałem o nim — odparł brat spokojnie. A teraz, Lex, idź do domu i zatelefonuj po policję. Ja tu zostanę.

Lexington, na szczęście, nie miał potrzeby telefonować po policję. Wyszedłszy ścieżką na szosę, spotkał policjanta jadącego na rowerze. Zatrzymał go i w paru słowach opowiedział co zaszło.

— Zamordowany? — spytał policjant niedowierzająco. — Pan Mandle?

Odstawił rower w krzaki i powiedział:

— Niech pan chwilę zaczeka... Za trzy minuty będzie tu mój inspektor. Opowiemy mu co się stało.

Po upływie pięciu minut, Lex w towarzystwie inspektora i policjanta wracał na miejsce zbrodni.

Sokrates Smith gdzieś zniknął, ale słyszeli, że pracuje z lewej strony ścieżki w krzakach. Po chwili zjawił się, trzymając w ręku parę kaloszy, które ostrożnie położył pod drzewem.

Lexington już przedtem powiedział inspektorowi o bracie – i nazwisko Sokratesa Smitha przyjęte zostało z najwyższym szacunkiem.

— Paskudna sprawa, panie Smith — powiedział inspektor.

— Tak, ogromnie paskudna — zgodził się Sokrates, z uwagą szukając czegoś na ziemi.

— Dzikie morderstwo — ciągnął inspektor. — I dlaczego go związali?

— Nie związali go wcale. Sądzę, że i pan się o tym przekona — powiedział Sokrates. — Lina została zarzucona tylko na drzewo i okręciła się wkoło jego postaci na skutek jej własnego ciężaru. Na pierwszy rzut oka robi to wrażenie, jak gdyby był związany, ale jak się przyjrzeć baczniej, widać, że oba końce liny zwisają swobodnie. Naokoło drzewa nie ma też śladu stóp.

— Grunt jest tu nieco za twardy — powiedział



inspektor chmurnie; ale po chwili twarz mu się rozjaśniła. — Jeśli przyszedli od strony doliny, musieli przebyć odcinek, mniej więcej długości stu jardów, na którego przestrzeni grunt jest zupełnie miękki, gliniasty...

— Doprawdy? — zawołał żywo Sokrates. — W ten sposób tłumaczy się to... — to mówiąc, podniósł do góry kalosze.

Na podeszwach widać było wyraźnie przyschniętą warstwę żółtej gliny.

— Dziwiłem się, skąd się to wzięło.

Inspektor wziął kalosze i obejrzał je uważnie.

— Zupełnie nowe — powiedział, potrząsając głową. — Są z gatunku tych, które sprzedaje się na setki i nawet, gdyby były kupione w Godalming, trudno byłoby ustalić kto je kupił.

Sokrates Smith zgodził się z tym w zupełności.

— Tak, to będzie trudne do rozwiązania — powiedział. — Nie mogę zrozumieć, po co były im potrzebne kalosze.

— Spodziewam się, że była tylko jedna para.

— Tak, tylko jedna — odparł z powagą Sokrates

— bo tylko jedna osoba popełniła to morderstwo.

Lexington spojrział na brata powątpiewająco.

— Tylko jedna? Tak uważasz? W jaki sposób jedna osoba mogła go dźwigać czy ciągnąć przeszło milę?

— Powiadam, że tylko jedna osoba popełniła to zabójstwo — powtórzył stanowczo Sokrates.

— Sądzę, że musiało ich być więcej, panie Smith — powiedział inspektor. — Pan Mandle cierpiał na tak silny reumatyzm, że nie mógł zrobić nawet kroku o własnej sile. Dopiero trzy dni temu sam mi o tym mówił.

— Wiem o tym — przerwał Sok spokojnie. — Ja i mój brat jesteśmy jego gośćmi.

— Mieszkają panowie w jego domu? — spytał inspektor ze zdziwieniem.

— Tak — odparł Sok.

A po chwili dodał:

— Mimo to, twierdzę z całą stanowczością, że zbrodnię tę popełniła jedna osoba.

Inspektor uśmiechnął się ironicznie:

— Musiała to być niezwykła jedna osoba — powiedział.

— A teraz chodźmy obejrzyć ową gliniastą ścieżkę — rzekł Sokrates. — Sądzę, że znajdziemy na niej ślady, zostawione przez kalosze. Kalosze te mają zresztą rozmiar dwanaście, a noszone były przez osobę, posiadającą większe stopy, gdyż lewy jest pęknięty.

Przybyli po upływie paru chwil na miejsce. Środkiem doliny wiała się gliniasta ścieżka.

— Bądźmy teraz ostrożni — ostrzegł Sokrates — jest tu z pół tuzina śladów stóp, ale niektóre są stare. Oto i nasze kalosze.

Wskazał na ślad, który niewątpliwie był odbiciem gumowej podeszwy. Ale tylko jednej. Pięć stóp dalej znaleziono dopiero ślad drugiej.

— Ten pan stawiał dość duże kroki — powiedział inspektor, ale Sokrates pokręcił głową.

— Nie on stawiał. Czy widzi pan, jakiej głębokości jest pierwszy ślad, a jakiej drugi? Musiał to być człowiek doskonale obeznany z drogą, bo wiedział świetnie, jak i gdzie ma bezpiecznie skoczyć.

— Co to jest? — spytał nagle Lex, wskazując na jakiś przedmiot, leżący przy drodze.

Sok nachylił się i krzyknął:

— Wielki Boże!

Podniósł leżący przy drodze bucik, oklejony grubą warstwą błota.

— Pantofel damski; to może być ważne — powiedział inspektor. — Widocznie, przechodziła tu jakaś kobieta i biegnąc bardzo szybko, zgubiła pantofel w błocie.

Pantofel był niewielki i względnie nowy.

— Amerykańska marka — powiedział inspektor, oglądając obuwie uważnie.

Wewnątrz pantofla skórka była naderwana a na niej inicjały M. T.

— M. T. — powtórzył Sok — Molly Templeton!

— Molly Templeton — powtórzył Lex. — Na Boga, Sok, ona nie mogła tu przecież być! Ona...

I nagle przypomniał sobie postać dziewczyny przemykającą się w nocy przez ogród.

Molly Templeton! Urocza, świetlana dziewczyna! Co tu robiła? Dlaczego zostawiła ślady swych stópek na glinie?

Spojrzał na Sokratesa i ze zdziwieniem ujrzał w oczach brata, jak gdyby błysk uśmiechu. Zwykle,

bywał podczas śledztwa bardzo poważny.

— Dokąd prowadzi ta ścieżka? — spytał nagle.

— Do Białego Domu. Domu pana Jetheroe.

Sok pokiwał głową.

— Kto to jest pan Jetheroe? — spytał.

Inspektor określił go niedokładnymi terminami.

— To pan, który zajmuje się pisaniem — powiedział. — Nie wiem czym jest z zawodu; wiem tylko, że pisuje naukowe artykuły. To spokojny, miły człowiek, przyjaciel miss Mandle.

Widocznie inspektor nie wiedział, że Molly jest tylko pasierbicą pana Mandle'a.

— Kto to jest Molly Templeton? — spytał.

Ku zdziwieniu Lexa, brat odpowiedział bez wahania:

— To nazwisko pewnej dziewczyny, którą znam. Skojarzyło mi się po prostu z tymi inicjałami. To wszystko. Czy Jetheroe od dawna mieszka tutaj?

— Już cztery lata — odparł inspektor.

— Przyjechał tu w dwa miesiące po śmierci nieboszczki pani Mandle. Przedtem mieszkał, zdaje się, za granicą.

— Za granicą? — powtórzył Sokrates zamyślony.

Inspektor i policjant zostali na straży śladów, a Sokrates z bratem ruszyli ścieżką ku domowi pana Jetheroego.

— Nic dziwnego — mówił — że Mandle miał dużo wrogów. Posłał on niemało młodzieńców na ciężkie roboty. Nie byłoby w tym nic nienaturalnego, gdyby jeden z takich młodzieńców zaprzysiągł mu zemstę, zamieszkał w sąsiedztwie i gdy nadeszła chwila, wypełnił ją.

— Sądzisz, że mamy do czynienia z takim wypadkiem? — spytał Lex.

— To możliwe. W każdym razie, mam zwyczaj odnosić się z pewną podejrzliwością do tajemniczych gości, którzy nagle zjawiają się w okolicy po długim pobycie „za granicą”.

Gdy przekraczali bramę domu pana Jetheroego, dym unosił się z komina.

Pokojówka, trochę zmieszana zjawieniem się obcych o tak wczesnej porze, wpuściła ich do wnętrza.

— Pan Jetheroe jest w swoim pokoju. Kogo mam zameldować?

— Proszę powiedzieć nazwisko Smith, i że

przyszliśmy w ważnym interesie — odparł Sokrates.

W dużym gabinecie, przy stole, zasłanym papierami, siedział jakiś człowiek o nastroszonych gęstych brwiach.

Dziwny człowiek — pomyślał Sokrates.

Na widok wchodzących mężczyzna wstał. Był bardzo wysoki. Szczupłą, interesującą jego twarz okalały długie siwe, spadające aż na kołnierzyk włosy.

Lexowi przypomniał on portret wielkiego muzyka Liszta.

— Czym mogę panom służyć?

— Przyszliśmy do pana w sprawie pana Johna Mandle'a, — powiedział Sok spokojnie, bacznie patrząc w twarz gospodarza.

— Znam pana Mandle'a z widzenia — odparł Jetheroe. — Proszę, niech panowie siadają. Czy to on panów przysłał?

— Mandle nie żyje — powiedział Sok.

— Nie żyje?

— Tak, zamordowano go tej nocy, o kilkaset jardów od pańskiego domu — rzekł Sokrates; potem zapanowała śmiertelna cisza.

— To ciekawe — powiedział Jetheroe zimnym, ostrym głosem. — I oczywiście, straszne. Czy znaleziono mordercę?

— Szukamy go właśnie — odparł Smith.

— Pan jest detektywem?

Sokrates uśmiechnął się.

— Tak, jestem w pewnym sensie — powiedział — nie jestem w służbie czynnej. Nazywam się Sokrates Smith. Może pan słyszał o mnie?

Ku jego zdumieniu Jetheroe odparł:

— Tak, czytałem książkę pańską o plamach krwawych. A teraz, czy mogę panu w czym być pomocny? Nie rozmawiałem nigdy z panem Mandle'em, ale jego pasierbicę znam bardzo dobrze. Rzeczywiście, bardzo dobrze.

— Czy miss Templeton była tu u pana wczoraj wieczorem?

Mężczyzna zdawał się być całkowicie opanowany.

— Nie widziałem miss Templeton już ze dwa, trzy dni — powiedział.

— Więc nie była tu wczoraj wieczorem?

Jetheroe potrząsnął głową.



— Skąd przyszło panom do głowy, że tu była? Sądzę, że jest teraz w domu pana Mandle'a. Czy wie już o wszystkim?

W głosie i sposobie mówienia pana Jetheroego były akcenty zupełnej szczerości i naturalności, a mimo to, Sokrates Smith miał uczucie, że stary człowiek igra z nim.

— Widzę, że nie przejęła pana zbyt dużo wiadomość, że Mandle umarł — powiedział Smith.

Jetheroe oparł się o poręcz fotela.

— Nie, nie przejąłem się tym zbyt dużo, że umarł — odpowiedział — najwyżej tym, że go zamordowano, choć mnie to, prawdę mówiąc, nie dziwi.

— Nie dziwi pana? — spytał Sok surowo.

Gospodarz uśmiechnął się.

— Mandle nie należał do najbardziej lubianych ludzi na świecie — powiedział. — Obchodził się strasznie z Molly, ale to nic nie ma do rzeczy. Był kiedyś w policji i wówczas narobił sobie mnóstwo wrogów. Był bezwzględny, bez skrupułów i bez litości. On i przyjaciel jego Stone mają na sumieniu wielu nieszczęśliwych, których zepchnęli na dno otchłani.

— Pan zdaje się wiedzieć bardzo wiele o tym człowieku, panie Jetheroe?

Jetheroe wzruszył ramionami.

— Ach, wszyscy to wiedzą. W swoim czasie był on, podobnie jak pan, panie Smith, bardzo znany.

— Czy zrobił panu kiedy jaką krzywdę? — spytał Sok z uśmiechem.

— Jakąż krzywdę mógł mi zrobić? Przyjechałem tu z zagranicy nie tak dawno i dopiero wówczas się o nim dowiedziałem.

Myśl Sokratesa Smitha pracowała nieustrudzenie, by nie stracić śladu, którym szedł. Wyjął z kieszeni notes.

— Zanotuję sobie parę punktów — powiedział. — Pomimo iż nie jestem już oficjalnie w Scotland Yardzie, moja obecność na miejscu zbrodni pociągnie za sobą z pewnością obowiązek udziału w śledztwie.

— Gdzie go zastrzelono? — spytał Jetheroe.

— Skąd pan wie, że go zastrzelono? — spytał Sok Smith szybko.

Pytanie to zmieszało pana Jetheroe ale tylko na chwilę.

— Wiem, że to brzmi, jak gdybym wiedział coś o zbrodni — rzekł z uśmiechem. — Ale zaraz wyjaśnię panu, dlaczego myślę, że go zastrzelono. Dziś w nocy o wpół do pierwszej, a może jakiś kwadrans przed pierwszą, robiłem korektę mego artykułu, który drukuje czasopismo Anglik i wiedza; oto te korekty — tu pokazał na papiery na biurku. — Byłem w środku roboty, gdy usłyszałem strzał dochodzący jak gdyby z doliny. Nazywamy tu tę małą kotlinkę o trzysta jardów od mego domu doliną, może dlatego, że przepływa tam strumyk.

— Czy słyszał pan jeden strzał?

— Tylko jeden — odparł Jetheroe. — Myślałem, że to jakiś kłusownik. Gdy powiedział mi pan o zamordowaniu Mandle'a, natychmiast przypomniałem sobie ów strzał.

— Hmm.. — chrząknął Sok i otworzył notatnik. Oparłszy notes o kolano, Sokrates napisał w nim trzy słowa i pokazał je gospodarzowi.

— Czy zna pan tę osobę? — spytał.

Jetheroe wstrząsnął się na widok napisanego nazwiska, ale oddał książeczkę ze słowami:

— Nie, nie znam jej. Dlaczego pan o to pyta?

— Dziwię się — odparł Sokrates i wsunął notes do kieszeni. — Czy jest pan pewien tego, że nie widział pan wczoraj wieczorem miss Templeton?

— Absolutnie pewien — odparł tamten patetycznym tonem. — Nie widziałem miss Templeton od...

W tej chwili Sokrates Smith nachylił się i z koszyka od papierów wyciągnął coś z błyskawiczną szybkością.

— A może mi pan wytłumaczy, skąd się to tutaj wzięło? — spytał.

Lex otworzył usta ze zdumienia, gdyż brat trzymał w ręku damski pantofel, który niewątpliwie był do pary ze znalezionym rankiem w błocie doliny.

## ROZDZIAŁ VI

### MOLLY TEMPLETON

Nieruchoma twarz pana Jetheroego tylko na chwilkę zmieniła wyraz.

— To pantofel miss Templeton — powiedział. — Obecność jego tłumaczy się bardzo prosto. Pewnego deszczowego dnia przyszła do mnie, mówiąc, że zgubiła w błocie pantofel. Było to wieczorem, na dworze było ciemno, trudno było jej pantofel znaleźć. Pożyczyłem więc parę starych trzewików od mojej gospodyni, miss Molly włożyła je, a pantofel zostawiła, gdyż obiecałem jej znaleźć tamten zgubiony. Tymczasem wczoraj, wyrzuciłem ten do kosza z papierami. Sokrates Smith milczał. Lex zaś odetchnął z ulgą, gdyż historia wydawała mu się prawdopodobna. Ale Jetheroe popełnił ten błąd, że usiłował dodać jeszcze dalsze objaśnienia.

— Nazajutrz po owej przygodzie miss Templeton

odniosła pożyczone trzewiki i gospodyni nie dowiedziała się nawet, że je od niej brałem.

— Rozumiem — odparł Sokrates. — To znaczy, że nie mam po co pytać gospodyni, bo i tak nic o tym nie wie. Bardzo to pomysłowe. Dowidzenia, panie Jetheroe!

Jetheroe nie odpowiedział. Stał przy stole nieruchomo, jak figura woskowa i nawet nie odprowadził gości do drzwi.

— No, i co ty o tym sądzisz, Sok? — spytał Sok, gdy wracali do inspektora.

— Sądzę, że Jetheroe to kłamca o zimnej krwi — odparł Sok.

— Jakież to nazwisko napisałeś mu w notesie?

— Mogę ci je pokazać — i tak nie będziesz rozumiał.

Zatrzymał się, otworzył notes i pokazał bratu. Lex zdziwił się.

— Ależ to nazwisko słynnej amerykańskiej gwiazdy filmowej! Jakież tu związek?

— Żaden — odparł Sok, mrugając ku niemu z uśmiechem — ale czyś zauważył, że on jadł przedtem

grzanki z masłem? Widziałeś na stole talerzyk z resztkami?

— Jakież, u diabła, jest znowu związek między grzankami z masłem a Mary Miles Minter? — spytał zdumiony Lex.

— Żaden, powtarzam, ale człowiek, który je grzanki z masłem, mimo iż obciera potem ręce, musi mieć zatłuszczone palce. Jeżeli takim palcem dotknie papieru, zostawia ślad. Odwróć mój notes tak, by słońce świeciło na prawy róg kartki. Co widzisz?

— Ach, więc chodziło ci o ten odcisk palca? — spytał Lex.

— Tego właśnie mi było trzeba i to otrzymałem — rzekł Sok, zamykając ostrożnie notatnik. — Mówiłem ci już, że podejrzani są dla mnie jegomoście, przybywający z jakichś nieokreślonych krajów. Zauważ, że każdy człowiek, który naprawdę podróżował, był w Argentynie, Australji, czy Afryce Południowej, lubi mówić o tym, co widział, i przy każdym spotkaniu z ludźmi zaznaczać, że zna te kraje. Kiedy zaś człowiek wraca z długiej podróży i nic o niej nie opowiada, to znaczy, że albo był w więzieniu, albo

w zakładzie dla obłąkanych, albo też uciekł przed sprawiedliwością swego kraju.

— Jakież podejrzliwy z ciebie człowiek — powiedział Lex. — Więc sądzisz, że Jetheroe wie coś o zbrodni?

— Chodźmy zobaczyć, co tam odkrył inspektor — odparł Sok.

Inspektor nic nie odkrył. Przy pomocy sprowadzonych dwu ludzi ciało Mandle'a ułożono na ziemi. Okazało się przy tym, że Sokrates miał rację, twierdząc, iż ciało nie było przywiązane do drzewa.

— A teraz — powiedział Sok — kolej na przykry obowiązek zawiadomienia o wszystkim tej biednej dziewczyny. Jeśli pan pozwoli, inspektorze, pójdę naprzód.

Inspektor Mallet zgodził się:

— Sądzę, iż to będzie rozsądnie. A ktoś musi zawiadomić pana Stone'a.

— Zapomniałem o Stonie — szepnął Sok.

— Będzie to dla niego wielki cios — ciągnął inspektor. — Byli w wielkiej przyjaźni jeszcze z czasów, gdy służyli razem w policji. Pan wie o tym?



— Tak — rzekł Sok.

Był bardzo milczący podczas drogi do domu i na pytania Lexa odpowiadał monosylabami.

W domu jeszcze nie zauważono nieobecności Johna Mandle'a. Timnes, jego służący, czyścił mu właśnie ubranie, gdy Sok zawiadomił go o tym co się stało.

Timnes zbladł jak płótno.

— Zabity! — wyszeptał, drżąc. — Zamordowany? Jak? Gdzie? W swoim pokoju, panie?

— Nie. Zamordowano go przy Trzech Dębach — rzekł Sokrates.

— Ale jak się tam dostał? Przecież biedny nasz pan nie mógł chodzić...

— Nie był pan jeszcze w jego pokoju, prawda?

— Nie, proszę pana. Ja nigdy nie wchodzę do jego pokoju, póki nie zadzwoni. Nie wolno go budzić.

— Czy miss Templeton już zeszła?

— Spytam pokojówki.

Zniknął w pokoju służbowym, a potem wrócił, potrząsając głową.

— Nie, proszę pana, miss Templeton nie schodzi

nigdy przed wpół do dziesiątą.

— To proszę mnie zaprowadzić do pokoju pana Mandle'a, a pokojówka niech obudzi miss Templeton i powie, że mam jej coś ważnego do powiedzenia.

Sypialnia Johna Mandle'a była najobszerniejszym pokojem w domu. Mebli było niewiele. Ale były bardzo piękne. Pokój był, oczywiście, pusty, ale dziwne było to, że wygląd jego wyraźnie wskazywał na to, że nikt w nim tej nocy nie spał.

Sok zwrócił się do Timnesa, który mu towarzyszył:

— Czy nie kładł pan wczoraj wieczorem swego pana do łóżka?

— Nie, panie. Pan Mandle nie lubił, by go rozbierać. Jedynie przy ubieraniu pomagałem mu nieco.

— Gdzie zostawił go pan wczoraj wieczorem?

— Zostawiłem go siedzącego na łóżku, tutaj... — odparł służący.

Pokazał na koldrę, pomiętą nieco, co wyraźnie wskazywało, że na niej ktoś siedział. Łóżko było starannie posłane, pizama złożona na koldrze, ale poduszka nie nosiła śladu głowy, która by na niej spoczywała.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — spytał Sok, wskazując.

— Prowadzą na prywatne schody, wiodące do gabinetu pana Mandle'a, znajdującego się na parterze. Ale pan Mandle rzadko ich używał.

Sok pchnął drzwi. Nie były zaryglowane. Schody były wąskie i ciemne. Sok wziął lampkę elektryczną i oświetliwszy schody, patrzył w dół. Nic nadzwyczajnego nie spostrzegł. Zszedł schodami na dół. Drzwi, do gabinetu również otworzyły się z łatwością. Ale i w tym pokoju, w którym John Mandle spędzał tyle godzin dziennie, wszystko było na miejscu. Sok podszedł do drzwi wiodących do ogrodu. I te były niezaryglowane.

— Dziwne — mruknął — te drzwi, opatrzone były rygłem elektrycznym. Powinien był zamknąć je przed udaniem się na spoczynek, tymczasem rygiel przesunięty był na otwarte.

— Co się stało? — spytał pokojówki, która wpadła, pełna przerażenia do pokoju.

— Nie mogę dopukać się do miss Templeton — zawołała. — Drzwi są zaryglowane, a z wewnątrz nikt

nie odpowiada.

Sokrates Smith wbiegł szybko na schody.

— To ten pokój — powiedziała służąca, zaglądając przez dziurkę od klucza do pokoju.

— Klucz jest wyjęty — dodała i stuknęła dalej.

— Miss Templeton! — wołała głośno.

Nie było odpowiedzi. Smith podważył drzwi ramieniem. Zatrzeszczały i natychmiast ustąpiły przed niezwykłą jego siłą.

Sokrates wpadł do pokoju. Był pusty! I tutaj także łóżko było nieruszone. Wyszedł na korytarz, gdzie oczekiwał go Timmes.

— Timmes — spytał — gdzie pan Mandle chował swe kosztowności?

— W swej kasetce, proszę pana.

— A gdzież jest ta kasetka?

Timmes objaśnił, że kasetka znajduje się w pokoju, zwanym w domu biblioteką, gdzie John Mandle chronił się, gdy był w złym humorze.

W kącie tego pokoju stała ogniotrwała kasetka. Wystarczył jeden rzut oka, by zobaczyć co się stało. Drzwiczki były wyważone, a wewnątrz kasetki puste.

## ROZDZIAŁ VII W PRINCE'S PLACE

— Czy ktoś prócz pana Mandle'a posiada klucze do tej kasetki? — spytał Smith Timnesa.

— Tak, proszę pana, miss Molly ma klucze — powiedział służący. — Ale zdaje się, że w kasie nic nie było prócz małych sum, które miss Molly brała na wydatki gospodarcze.

— Nic więcej nie było?

Timnes zawahał się.

— Podobno była też jakaś biżuteria, proszę pana. Jedna ze służących opowiadała mi, że raz miss Molly oglądała tę biżuterię, a pan Mandle bardzo się na nią gniewał. Pan Mandle nie miał zwyczaju trzymać pieniędzy w domu. Posyłał mnie zwykle w piątki do Godalming do banku.

Sokrates z pięć minut przechadzał się tam i na powrót po trawniku przed domem, z głową opuszczoną

na piersi. Lex obserwował go z pod oka, zaskoczony niespodziewanym obrotem sprawy.

— Co teraz zrobimy, Sok? — spytał, gdy brat zatrzymał się na chwilę w swej wędrówce.

— Teraz zjemy śniadanie — odparł z uśmiechem. — Mam już dość, jak na jeden ranek tajemnic i zagadek.

Przy śniadaniu Lex z ledwością przełknął kąsek.

— Czy to ta dziewczyna zepsuła ci tak humor? — spytał Sok, popijając kawę i patrząc na brata. — Sentymentalny jesteś, moje dziecko.

— To niemożliwe, żeby ona była wmieszana w tę sprawę, — zawołał Lex. — Dziewczyna z taką twarzą anielską...

— Znałem parę zbrodniarek bardzo pięknych, Lex — odparł Sok.

— Ależ ona nie jest zbrodniarką!

— Nie powiedziałem, że jest, więc możesz na razie nie patrzeć na mnie tak zabójczo, zwłaszcza że, jak wiesz, nie jestem lękliwego usposobienia.

— Ależ Sok, to przecież zupełnie nie do pomyślenia! Jakże ona mogłaby udźwignąć mężczyznę?

Przecież to śmieszne!

— Nie wiem, jak ktokolwiek mógłby go nieść, gdyby nie chciał iść dobrowolnie — rzekł Sokrates. — W każdym razie tajemnica sygnału jest wyjaśniona.

— Wyjaśniona?

— Oczywiście, to pan Jetheroe wzywał miss Molly.

— Więc sądzisz...

— Naturalnie sądzę, że kłamał, mówiąc, iż nie widział jej od paru już dni. Musiała być u niego poprzedniego wieczora i wtedy zostawić pantofel..

— Dlaczego?

— Po prostu dlatego, że te pantofle widziałem na jej nogach, kiedyśmy tu przyjechali.

— Czy jesteś tego pewien?

— Najzupełniej, zapamiętałem je dobrze.

Lex milczał, a brat ciągnął dalej:

— Jestem pewien, że była u niego wczoraj późnym wieczorem, nie wiem jeszcze tylko po co. Przyszła wezwana sygnałem.

Twarz Lexingtona nagle się rozjaśniła:

— Ach, jakiś ty niemądry, Sok — powiedział. —

Jakże mógł dawać jej w ten sposób sygnał, skoro jej pokój znajduje się po drugiej stronie domu?

Był to cios, zadany teorii Sokratesa.

— To prawda — powiedział w zamyśleniu — ale po cóż miałyby być koniecznie w swoim pokoju, czyż nie mogła oczekiwać sygnału w ogrodzie?

— Nawet z ogrodu nie mogłaby dojrzeć sygnału. Biały Dom widać jedynie z drugiego końca trawnika lub z okien na pierwszym piętrze.

— To istotnie obala moją hipotezę — przyznał starszy brat. — Muszę przyznać, Lex, że jest w tobie materiał na dobrego detektywa. Nie, ona nie widziała sygnału. Ale w takim razie, u diabła, do kogo ten Jetheroe w ten sposób telegrafował?

— Może do Mandle'a? — podsunął Lex, ale Sok wstrząsnął głową przecząco. — Nie przypuszczam, choć nie byłoby to sprzeczne z moimi teoriami. Ale oto idzie inspektor. Musimy mu powiedzieć o zniknięciu miss Molly.

Lex zadrżał.

— Czy nie możemy powiedzieć, że wczoraj wieczorem wyjechała do Londynu?



Sok wstrząsnął głową przecząco.

— A co, jeśli miss Molly jest także ofiarą?

— Wielki Boże! — Lex zerwał się na równe nogi blady jak płótno — chyba nie myślisz tego naprawdę, Sok?

— Nie wolno nam wykluczać żadnej możliwości, dlatego musimy powiedzieć inspektorowi całą prawdę — rzekł Sok z powagą.

Dwadzieścia siedem lat służby nauczyło inspektora Malleta, że nie dziwił się już niczemu. Gdy Sokrates skończył opowiadanie o zniknięciu miss Molly, inspektor uśmiechnął się tylko.

— Posłałem właśnie do Hindhead i do Haslemere po ludzi, którzy przeszukają dokładnie całą okolicę — powiedział — gdyż ten pantofel, który pan znalazł w dolinie...

— Był własnością miss Templeton, a miss Templeton to pasierbica Johna Mandle'a.

Inspektor jak gdyby nie zwrócił uwagi na słowa Sokratesa i oddalił się, by przesłuchać pana Jetheroego.

— Posyłam właśnie do Scotland Yardu odciski jego palców z moimi uwagami — powiedział Sokrates.

— Times zawiezie list do Londynu. Nie wiem, czy to się na coś zda, ale nie wolno nam nic zaniedbywać.

— Sądzisz, że Jetheroe jest znany policji? — spytał Lex.

— Być może — odparł brat.

Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem przekonał się, że jest zaledwie parę minut po dziewiątej. Ileż to rzeczy się zdarzyło w ciągu dwu i pół godziny!

W pół godziny później małe auto inspektora Malleta było już z powrotem. Inspektor wyskoczył z niego szybko.

— Jetheroe nic nie wie o zbrodni — powiedział — w każdym razie informacje jego co do godziny popełnienia zbrodni będą nam pewną pomocą.

— Pan ma na myśli strzał, którego odgłos słyszał w nocy?

Inspektor kiwnął głową.

— Czy zawiadomił już ktoś Stone'a, inspektorze?

— Nie, nie miałem dość ludzi. Chcę teraz sam do niego pojechać. Może panowie pojedą ze mną?

— Czy zmieścimy się w pańskim samochodzie? — spytał Sok.

Inspektor dumny ze swej maszynki, opowiedział zamiast odpowiedzi długą historię o tym, jak to po pewnym napadzie w okolicy wiozł tym samym autem siedmiu policjantów:

— Bob będzie bardzo zmartwiony — powiedział Sokrates. — Kochali się tak bardzo z Johnem. Jestem pewien, że Bob pomoże nam w niejednym. Był w swoim czasie jednym z najmądrzejszych ludzi w policji.

— Dziwi mnie ta nagle religijność Stone'a — zauważył Mallet.

— To w ogóle człowiek nieobliczalny w swych czynach.

Jechali długą aleją okoloną sosnami i wiodącą do Prince's Place, posiadłości Stone'a. Widać już było dom o wiele bardziej pretensjonalny niż pełna prostoty willa Mandle'a.

W domu panowała cisza.

— To dziwne — rzekł Sokrates, przyciskając dzwonek — Bob lubił zawsze wcześniej wstawać.

Służący, który im otworzył, oświadczył, iż pan nie dzwonił jeszcze o wodę do golenia.

— Muszę go natychmiast zobaczyć — rzekł

Sokrates. — Proszę zaprowadzić mnie do jego pokoju.

Służący zawahał się.

— Czy jest pan doprawdy wielkim przyjacielem naszego pana? — spytał. — Bo pan nie przyjmuje nikogo innego.

Nagle spojrzenie jego padło na inspektora.

— Dzień dobry, panie Mallet. Pan mi powie, czy mam wpuścić tych panów. Pan wie, jak pan Stone nie lubi obcych.

Widocznie i on się czegoś lęka — pomyślał Sokrates.

— Jackson może być całkiem spokojny — powiedział inspektor. — Pan Stone zna tych panów.

Służący poszedł naprzód długim korytarzem. Na końcu były drzwi.

— Tu jest pokój sypialny pana Stone'a — powiedział służący i zapukał.

Żadnej odpowiedzi. Przycisnął klamkę. Drzwi były zaryglowane. Zapukał znowu i spojrzał z niepokojem na Sokratesa.

— Czy do tego pokoju nie prowadzą żadne inne drzwi? — spytał Sokrates szybko.

— Można też tędy wejść, przez łazienkę — odparł służący, wskazując małe drzwiczki na prawo.

Te drzwi były otwarte. Sokrates wpadł szybko do łazienki, schwycił klamkę drzwi, wiodących do sypialni. Drzwi ustąpiły.

Sok wszedł do pokoju.

Na łóżku, w samej piżamie, leżał Stone. W ustach miał knebel z chustki do nosa. Ręce i nogi były mocno skrepowane.

## ROZDZIAŁ VIII

### TAJEMNICZE WŁOSY

Sokrates szybko rozwiązał więzy, krępujące Stone'a i wyjął mu z ust chustkę. Po chwili zdołali go posadzić na łóżku, ale zdawało się, że nie jest w stanie wymówić ani słowa. Twarz miał purpurową, żyły nabrzmiały mu na czole; siedział, jak odurzony, w milczeniu pocierając zbolące ramiona.

Czterej mężczyźni przyglądali mu się ze współczuciem.

— No, i cóż, Bob, powiesz nam, co się stało? — spytał wreszcie Sokrates.

Bob Stone spojrzał na niego:

— Co się stało? A skądże ja mogę wiedzieć, co się stało! Wiem tylko, że wpadło tu w nocy paru ludzi i związali mnie, mimo że walczyłem jak szatan. Było ich jednak zbyt wielu na mnie jednego.

— Ilu sądzisz, że ich było? — spytał Sokrates.

— Trzech albo czterech. Nie jestem pewien. Było ciemno. Związali mnie, potem jak gdyby się sprzeczali o to, co mają dalej robić, a wreszcie musiał ich ktoś spłoszyć, gdyż nagle zniknęli.

— Czyś nie znał żadnego z nich?

— Powtarzam ci, że żadnego z nich nie widziałem.

— Która to była godzina?

Bob pocierał sobie łokieć i jęczał:

— Przekłęta historia! Gdybym miał przynajmniej broń przy sobie! Pytałeś się która godzina, Sok? Musiało być koło północy, może trochę później. Już spałem.

Pozwolili mu trochę ochłonać i dopiero, gdy ubrawszy się, zszedł na dół do jadalni, Sokrates powiedział mu o zamordowaniu Mandle'a.

Milczał w czasie opowiadania, a gdy było skończone, oparł głowę na dłoni i powtarzał:

— To okropne! Okropne!

— Czy znałeś jakichś wrogów Johna? — spytał Sok.

— Obaj mieliśmy wrogów, obaj otrzymywaliśmy pogróżki.

— Czy drogą listów?

Bob skinął głową.

— Ale to przecież jest zwykła rzecz, prawda? To i tobie się zdarza. Prawda, Sok? — mówił. — Przed jakimś tygodniem otrzymałem kartkę pocztową, w której uprzedzono mnie, że czeka mnie nieszczęście. Niestety, tak małą wagę przywiązałem do tego, że rzuciłem kartę w ogień. Może i John otrzymał taką samą kartę, ale on był tak skryty, że nawet mi o tym nie powiedział.

Gdy inspektor poszedł i zostawił ich samych, Sok spytał starego przyjaciela:

— Posłuchaj, Bob, przede mną nie masz potrzeby nic ukrywać. Przecież i tak wiem, że ty i John żyliście w ustawicznym strachu.

— Skąd wiesz o tym? — spytał Bob szybko.

— Poznałem to zaraz, widząc środki ostrożności, jakieście u siebie zaprowadzili. Trawnik przed domem Johna pełen był pułapek i wszelkiego rodzaju sideł. Ty zaś, masz specjalne dzwonki alarmowe przy oknach.

Twarz Boba rozjaśniła się uśmiechem.

— Zawsze jesteś tym samym Sokratesem —



powiedział z podziwem. — Więc z tego wywnioskowałeś? Tak, masz rację, zaprowadziłem środki bezpieczeństwa.

— Przed czym się zabezpieczasz?

— Przed Wielkim Nieznanym — odparł z powagą i takim tonem, że nie budził chęci do dalszej dyskusji.

— Czy sądzisz, że ten twój Wielki Nieznany był mordercą Johna Mandle'a?

— Myślę, że dla każdego jest inny — powiedział cicho po chwili milczenia. — Ja znajdę sam swojego.

— Czy to ma znaczyć, że nie trzeba ci mojej pomocy?

Bob wstrząsnął głową:

— Nie, tego nie mówiłem — rzekł. — Powiedziałem tylko, że znajdę go sam.

— Czy znasz Jetheroego?

Bob spojrzał bystro na pytającego.

— Jetheroego? Tego, który mieszka w Białym Domu? Nie, nie znam go, wiem tylko, że jest w przyjaźni z Molly. Jest trochę botanikiem, a Molly interesuje się tą nauką. Spotkali się zdaje się po raz pierwszy na jednej ze swych wycieczek naukowych.

John nie był zadowolony z tej przyjaźni, ale mam wrażenie, że Jetheroe daje dziewczynie tę właśnie serdeczność, której skąpił jej John. Wiesz zapewne o tym, jak bardzo był dla niej niedobry.

— Bardzo lubisz Molly? Prawda? — spytał Sok.

Twarz Boba zadrgała.

— Tak — odpowiedział spokojnie. — Może to śmieszne, aby pięćdziesięcioletni człowiek kochał dwudziestodwuletnią dziewczynę, ale ja kocham Molly. To doprawdy niezwykła dziewczyna.

— Czy nie masz nic przeciw jej przyjaźni z Jetheroem?

— Dlaczego? Czy masz coś przeciw temu człowiekowi?

— Nic, prócz tego, że Molly była u niego dziś w nocy i że zniknęła.

— Zniknęła? — krzyknął Bob i zerwał się blady z krzesła.

Sokrates opowiedział mu o zniknięciu Molly, o otwartej kasetce, o tajemniczym pantoflu, znalezionym w błocie i drugim w koszu z papierami. Opowiedział mu też o postaci widzianej ubiegłego wieczora w ogrodzie.

Bob słuchał, drżąc. Wreszcie i on przemówił:

— Historia z kasetką nie ma żadnego znaczenia. Miała tam trochę biżuterii po matce. Miała ją prawo wziąć, odchodząc. Nic też dziwnego w tym, że uciekła do Jetheroego, którego uważała za swego przyjaciela. Wołałbym, na Boga...

— Żeby schroniła się do ciebie? — spytał Sokrates.

— Tak, to chciałem właśnie powiedzieć — odparł Bob krótko.

— A teraz muszę raz jeszcze obejrzeć twoją sypialnię — powiedział Sok. — Nie mogę pojąć, dlaczego ci zbrodniarze zamordowali Mandle'a, a ciebie tylko związali.

— Sądzę, że mieli te same zamiary w stosunku do mnie, ale zostali spłoszeni — rzekł Bob. — Ale teraz idź do sypialni.

Sokrates dłuższą chwilę siedział już w sypialni, gdy Stone zjawił się w pokoju.

— No, i cóż, znalazłeś już coś?

— Nie, nic — odparł Smith.

— Skryty z ciebie człowiek, Sok — powiedział

Bob, który zdążył już otrząsnąć się nieco z wrażenia. —  
Wiem, że nawet jeśliś coś znalazł, nic mi nie powiesz.

Bob Stone miał rację. Sokrates znalazł coś. Na poduszce Boba leżały dwa maleńkie pasemka sierści niewiadomego pochodzenia. Sok zawinał je starannie w papier i schował do kieszeni.

W godzinę potem siedział w gabinecie Mandle'a i uważnie oglądał pod mikroskopem przyniesioną zdobycz.

— Co oglądasz? — spytał Lex, wchodząc do pokoju.

Sok nie odpowiadał. Lex przyjrzał się włoskom starannie rozszczepionym i powtórzył:

— Co to jest? Kosmyk włosów?

— Tak, kosmyk włosów — powtórzył Sok.

— No, dobrze, ale co to jest? — nalegał brat.

— Powiedziałem ci już: kosmyk włosów — odparł Sok. — Znalazłem to na poduszce Boba.

— Zostawiony przez rabusiów?

— Zostawiony przez tego, który tak ślicznie związał Boba — odrzekł Sokrates. — Czy wiesz, Lex, że to jedna z najciekawszych spraw, jakie zdarzyło mi

się widzieć w mojej karierze? Telegrafowałem już do komisarza naczelnego, czy zechce mi sprawę powierzyć, ale obawiam się, że przyślą mi tu, jakiegoś młodzika z nowej szkoły, który mi tylko wszystko popłacze.

Przewidywania Sokratesa nie sprawdziły się. Otrzymał odpowiedź, że powierzają mu kierownictwo śledztwa.

Telegram zastał braci spożywających lunch w gospodzie w Hindhead.

— Czy wiesz — mówił Sok do Lexa — że Bob Stone nic nie wie o włosach, które znalazłem na jego poduszce. Nie chcę, by sobie nimi zaprzętał głowę i denerwował się jeszcze więcej.

— Czy należy on do ludzi, którzy denerwują się w obliczu niebezpieczeństwa?

— Tego nigdy nie można wiedzieć — brzmiała odpowiedź.

Policja zajęła się przeniesieniem zwłok Mandle'a do kaplicy w Haslemere. Tłumy ludności zwabionej sensacją gromadziły się przed kaplicą, a z miasta przybyła chmara reporterów. Ta ostatnia okoliczność

zmusiła właśnie Sokratesa do jedzenia poza domem.

Lex był smutny i roztargniony; brat obserwował go z uśmiechem.

— Lex — powiedział mu wreszcie. — Zapewniam cię, że nieprędko nadarzy się okazja tak ciekawej sprawy, a ty nie przejmujesz się nią zupełnie.

— Myślę o czymś innym — odparł młodszy brat.

— Wiem o tym, że myślisz o czymś innym — rzekł Sok — ale zapewniam cię, że ona jest żywa i zdrowa w Londynie.

Lex zaczerwienił się.

— Mogę ci coś przyrzec — ciągnął Sok — coś, co powróci blask twym oczom, a nadzieję twemu sercu.

— Nie kpij ze mnie, Sok. Ja doprawdy mało interesuję się tą całą sprawą. Cóż to mi chcesz przyrzec?

— Przyrzekam ci, że zobaczysz miss Molly Templeton jeszcze dziś w nocy.

— Dziś w nocy? — krzyknął Lex. — Wiesz, gdzie ona jest? Aresztujesz ją?

— Sądzę, że nie jest przestępstwem ucieczka od

ojczyzna — odparł Sokrates. — Nie jest też zbrodnią zgubienie pantofla w błocie. Wydaje mi się, że nikt nie twierdzi jakoby to miss Molly zamordowała swego ojczyzna, a gdyby tak ktoś twierdził..

— Połamałbym mu kości — przerwał Lex dziko.

— Ja bym się nie posuwał tak daleko — powiedział spokojnie Sok. — Najwyżej ubawiłaby mnie ta hipoteza.

— Jesteś doprawdy niebywały, Sok! — rzekł Lex z podziwem. — Nie widziałem cię dotąd nigdy przy robocie. Teraz dopiero widzę, jak bardzo cię to zajęcie doprawdy bawi.

— To dlatego, że mam młode serce — odparł Sok. — Doprawdy, Lex, jestem młodszy od ciebie, i gdybym miał zamiar się żenić... — potrząsnął głową. — Ta dziewczyna ma charakter — dodał — i jest bardzo, bardzo ładna. Od dawna nie widziałem ładniejszej.

Lex był purpurowy.

— Proszę cię, nie mów głupstw, widziałem ją zaledwie przez parę godzin. Jest bardzo miła, ale...

— Wiem już, wiem wszystko — przerwał mu brat. — Jeżeli ta dziewczyna zrobiła na mnie starym takie

wrażenie, to dlaczegoż nie na tobie, który masz lat dwadzieścia pięć?

Położył mu serdecznie dłoń na ramieniu.

— Masz moje błogosławieństwo, chłopcze — powiedział uroczyście, i roześmiał się tak wesoło, że Bob Stone oczekujący braci przed gospodą nie mógł zrozumieć, co mogło w dniu tak smutnym tak Soka rozśmieszyć.

Spotkali go przy wyjściu z gospody. Przede wszystkim spytał o dziewczynę. Był poważnie zaniepokojony i zgnębiony jej zniknięciem.

O innych kwestiach mówił obojętnie.

— Tak — odparł na pytanie Soka. — Byłem przy trzech dębach, jestem pewien, że morderstwa dokonała ta sama banda, która wtargnęła do mnie. Przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, że John nie mógł chodzić, więc musiano go zawlec siłą.

— Jakaż więc jest twoja teoria? — spytał Sok.

— Sądzę, że napadli go w domu, związali tak jak mnie, a ponieważ im nikt nie przeszkodził, zawlekli go do lasu i zamordowali.

— Ale dlaczego właśnie tam? Dlaczego przy



drzewach?

Stone wzruszył ramionami.

— Nie wiem, myślałem o tym długo i nie mam pojęcia.

— Czy myślisz, że zastrzelono go, a potem dopiero powieszono na drzewie?

— Bez wątpienia — rzekł stanowczo.

— W takim razie nie mogę się z tobą zgodzić.

Stone spojrział zdumiony.

— Nie możesz się ze mną zgodzić? — powtórzył powoli.

— Nie — rzekł Sokrates. — Kula, która trafiła Mandle'a w czoło, była wystrzelona z dołu. Na gałęziach zaś znaleźć można ślady po tej kuli. Wyraźnie strzelano do człowieka wiszącego na drzewie.

Lexington był równie zdziwiony jak Stone.

— Po cóż wieszano by go na drzewie a potem dopiero do niego strzelano? — spytał, ale Sokrates tylko potrząsnął głową.

— Nie mówiłem ci jeszcze, Bob — powiedział — że otrzymałem od komisarza naczelnego rozporządzenie prowadzenia śledztwa w tej interesującej sprawie.

— Doprawdy? — powiedział ze zdziwieniem Stone — zwykle nie mają zwyczaju powierzania tego rodzaju spraw ludziom będącym poza policją.

— Nie jestem tak dalece poza policją — zauważył Sokrates Smith. Był on bardzo wrażliwy na tym punkcie, ale Bob Stone zdawał się tego nie spostrzegać. Znowu skierował rozmowę ze zbrodni na dziewczynę.

— To bardzo niedobrze, że zniknęła właśnie w takiej chwili — powiedział. — Mimo woli musi na nią paść jakieś podejrzenie, Sok, ci szaleni reporterzy nie omieszkają o tym pisać i jutro będziesz czytał we wszystkich gazetach: Zniknięcie córki zamordowanego... Widziałem tego Jetheroego — dodał po chwili z uśmiechem.

— Z uśmiechu twego wnioskuję, żeś mu dobrze musiał dokuczyć śledztwem?

Bob pokiwał głową.

— Czy dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

— Nic specjalnego. Nie ulega wątpliwości, że Molly była u niego wczoraj wieczorem, ale on nic nie chce powiedzieć. To spryciarz. Żałuję, że nie poznałem

go wcześniej.

Tak rozmawiając, szli drogą aż znaleźli się na rozstaju: jedna ścieżka prowadziła do Leśniczówki, druga do doliny, graniczącej z domem pana Jetheroego.

— Szkoda, że nie poznałem go wcześniej — powtórzył Bob.

— Nie widziałeś go dawniej nigdy?

— Nie. Chociaż chwilami wydaje mi się, że gdzieś widziałem jego oczy. Nie zapominam nigdy oczu raz widzianych w życiu; ale gdzie mogłem te widzieć?

Pożegnali się i bracia poszli do domu, gdzie oczekiwali ich cierpliwie reporterzy.

— Stone zdaje się bardziej interesować Molly niż biednym Johnem — powiedział Sok do Lexa.

Młodszy brat zbladł i gniewnie ściągnął brwi.

— Czy to nie śmieszne — wybuchnął — żeby taki człowiek chciał się żenić z taką dziewczyną, jak miss Templeton...

— Możesz mówić o niej Molly — powiedział Sokrates — ja ci pozwalam.

— Czy nie uważasz, Sok, że to nie ma sensu? Przecież to stary człowiek.

— Nikt na tym świecie nie jest stary, dopóki nie umiera — powiedział spokojnie Sok — a chciałbym ci tylko przypomnieć mój kochany tę nieszczęśliwą okoliczność, że ja jestem o dwa lata starszy od Boba Stone'a.

Lex usiłował naprawić swoją niezręczność:

— Ty nie jesteś, przecież, stary — powiedział — ale powiedz sam, czy to byłoby odpowiednie małżeństwo?

Sokrates uśmiechnął się.

— Mnie ta myśl straszliwie nie oburza — powiedział — a zresztą, zdaje się, że ona nie pali się tak do tego małżeństwa, co?

— Skądże ja mogę o tym wiedzieć? — odparł Lex, rumieniąc się. — Rozmawiałem z nią tylko raz, powiedziała mi, że Stone chciałby się z nią żenić, ale że ona nie ma na to wielkiej ochoty.

— Nie myśl o tym, Lex — powiedział starszy brat. — Jeśli chcesz doprawdy poświęcić się zawodowi detektywa, powinieneś się więcej interesować sprawą.

W domu zastali z pół tuzina reporterów niespokojnie czekających na wiadomości.

Sokrates opowiedział im dotychczasowy przebieg śledztwa, ukrywając zresztą zrećnie, to, co mu było wygodne do ukrycia.

Gdy dziennikarze odeszli, Lex spytał brata:

— Dlaczego nie powiedziałaś im nic o Jetheroem?

— Nie byłoby to rozsądne. Przede wszystkim, chcę by mi nic nie przeszkadzało w mej pracy nad Jetheroem, a po wtóre dlatego, że zainteresowanie się nim musiałoby doprowadzić do interesowania się Molly Templeton, a tego pragnąłem uniknąć. Jedno w tym wszystkim mnie cieszy — dodał ze śmiechem — to fakt, że dokładny opis zbrodni będzie dziś jeszcze w wieczornych gazetach londyńskich. To doskonale!

— Dlaczego? — spytał Lex.

— Nie zapomnij mi zadać tego samego pytania dziś wieczorem — odparł brat.

Popołudnie zeszło Sokratesowi na przeglądaniu papierów Mandle'a, w których zresztą nic ciekawego nie znalazł.

O czwartej Lex przyniósł do pokoju depeszę.

— Gонец już poszedł. Czy będzie jakaś odpowiedź?

Sok otworzył szybko papier. Lex widział, że depesza była bardzo długa, zajmowała dwie strony. Sokrates przeczytał je powoli, wreszcie pokiwał głową.

— Tak właśnie sądziłem — powiedział.

— Co to jest? — spytał Lex.

— Przeczytam ci. To z archiwum Scotland Yardu.

Słuchaj:

Otrzymaliśmy zapytanie pana. Przesłany odcisk palca należy do Teodora Kenneth Warda. Aresztowany w roku 1903 za oszustwo i kradzież. Skazany na dziesięć lat ciężkich robót. Aresztowali go podinspektor Mandle i sierżant Stone. W roku 1910 po darowaniu trzech lat kary wypuszczony na wolność, został wkrótce potem ponownie aresztowany za nowe oszustwo przez inspektora Mandle'a i skazany na trzy lata ciężkich robót.

Bracia spojrzeli po sobie.

— Oto masz pana Jetheroego — powiedział

Sokrates z uśmiechem.

## ROZDZIAŁ IX

### KTO TO BYŁ JETHEROE?

Błękitny zmierzch leżał już nad doliną, a słońce zaszło za wzgórze, gdy zjawił się znowu Stone.

Był blady i zdenerwowany. Ciężko usiadł na fotelu, podsunętym mu przez Lexingtona.

— Nigdzie nie ma ani śladu po niej. Nie widziano jej ani w Haslemere, ani w Godalming, ani na żadnej stacji kolejowej w okolicy. Znają ją tu przecież wszyscy, więc ktoś byłby ją spostrzegł.

Sokrates pokiwał głową.

— Nie mogli jej widzieć na stacji — powiedział — gdyż nie pojechała koleją, tylko rowerem i to o piątej rano.

Stone spojrział na niego zdumiony:

— Skąd o tym wiesz?

— Godzinę piątą tylko przypuszczam. W każdym razie musiało to być w jakiś czas po wschodzie słońca.



A na rowerze jechała z pewnością.

— Ależ ona nie miała wcale roweru. John nigdy by jej go nie kupił.

— Więc kupił jej ktoś inny. W każdym razie uciekła na rowerze. Ośmieliłem się przeszukać jej pokój i znalazłem tam wśród innych przedmiotów pompkę od roweru, względnie nową. Miała z pewnością rower, choć niekoniecznie musiała go trzymać u siebie w domu.

— Więc gdzie? Jak przypuszczasz? — spytał Bob krótko.

— U Jetheroego. Był jej przyjacielem i być może on nawet kupił jej rower. Na drodze wiodącej do jego domu znalazłem mnóstwo śladów od roweru. Zresztą nie było to tajemnicą, że jeździła na rowerze, nawet inspektor Mallet widział ją na drodze do Haslemere. Zdaje się, że tylko John i ty nic o tym nie wiedzieliście.

Stone siedział z głową zwieszoną na piersi.

— Jetheroe musiał posiadać całe jej zaufanie — mruknął.

— Czy przypominasz sobie tego Jetheroego? — spytał nagle Sok.

— Jak to? — Stone spojrział, nie rozumiejąc pytania.

— Czy przypominasz sobie pewnego człowieka, nazwiskiem Ward. Teodor Kenneth Ward?

— Wielki Boże, czyż to był Jetheroe? — krzyknął Stone, zrywając się na równe nogi. — Tak, teraz sobie przypominam! Naturalnie, że to Ward! Te oczy! Ten człowiek, którego tak nienawidził Mandle. Był dla niego bezlitosny, zwłaszcza podczas drugiej jego sprawy. Kiedy Ward dostał tylko trzy lata, Mandle szalał z wściekłości. Pamiętasz zapewne ten proces?

Sokrates pokiwał głową.

— Tak, teraz sobie przypominam — powiedział

— Więc Jetheroe i Ward to jedno — powtórzył Stone. — Teraz rozumiem po co sprowadził się w tę okolicę.

— Jaka jest historia Warda? Dlaczego Mandle go nienawidził? — spytał Sok Smith.

— Nigdy tego dobrze nie wiedziałem — odparł Bob — sądziłem, że chodziło tam o jakąś kobietę i sądzę tak i teraz. Ward był zręcznym oszustem i być może miał jeszcze jakieś inne nazwiska, których używał.

Wszystkie nasze wysiłki wyświecenia jego prywatnych stosunków do niczego nie doprowadziły. Toteż dziwiłem się skąd Mandle znał pewne szczegóły o rodzinie Warda. Opowiadał mi kiedyś, że Ward ma piękną żonę, która nic nie wie o występnyim życiu swego męża. — Ściągnął brwi, przypominając sobie z wysiłkiem. — Tak. To Mandle mi to opowiadał. Z pewnością on.

Sokrates nie przerywał Bobowi ani słowem.

Stone ciągnął dalej:

— W trzy lata po zakończeniu sprawy Warda, Mandle zadziwił nas wszystkich, żeniąc się nagle z wdową z dzieckiem. Była to doprawdy piękna kobieta ta pani Mandle. Nie znałeś jej nigdy, Sok?

Sokrates potrząsnął głową.

— Gdyby więc — zaczął Stone — przypuścić, że...

— Że pani Mandle była żoną Warda?

— Tak, to całkiem możliwe. Skoro nie wiedziała, że jej mąż był przestępcą, Mandle mógł jej wmówić, że opuścił ją, a potem umarł. Uwierzyła i wyszła za mąż za Mandle'a w przekonaniu, że jest wdową?

— A skąd wzięło się nazwisko Templeton?

— Mógł to być jeden z pseudonimów Warda

— odparł Bob.

— Jeśli tak jest, jak mówisz, to Molly Templeton byłaby jego córką.

— Boże, Boże — jęknął Bob — tak, to prawda, byłaby jego córką. Zerwał się z miejsca. — Pójdę na przechadzkę — powiedział. — Zawiadomisz mnie, o ile dowiesz się czegoś o Molly?

Lexington przerwał milczenie, gdy został sam z bratem w pokoju.

— Powiedziałeś bym powtórzył ci wieczorem pytanie, dlaczego rad jesteś, że wiadomość o zbrodni będzie dziś jeszcze w gazetach?

Z hallu doleciały zmieszane głosy i do pokoju wbiegła pokojówka zadyszana i zarumieniona:

— Miss Templeton wróciła! — zawołała od progu.

— Oto masz odpowiedź — rzekł Sokrates do brata.

Ale Lexa już nie było w pokoju. Dwoma skokami znalazł się przy stojącej na środku hallu, bladej jak płótno dziewczynie.

## ROZDZIAŁ X

### MOLLY OPOWIADA

— Czy to wszystko prawda? — pytała dziewczyna. — Prawda? O, powiedzcie, że to kłamstwo, że... — zawahała się przed wymówieniem słowa ojciec.

Sokrates pokiwał z powagą głową:

— Niestety to prawda, miss Templeton.

— A ta historia o... o drzewie, to też prawda?

Znowu pokiwał głową.

— Nie mogę tego pojąć, to zbyt okropne.

Podala rękę Bobowi Stone'owi, który zjawił się, by ją powitać i Lex patrzył z zazdrością, jak długą chwilę nie wysuwała dłoni swej z jego ręki.

— Przeczytała pani zapewne w dzisiejszych wieczornych gazetach o tym, co się stało, i to skłoniło panią do powrotu? Czy tak? — spytał Sokrates.

— Dowiedziałam się o tym przypadkiem. Tylko

jedna gazeta miała sprawozdanie we wcześniejszym wydaniu i ta właśnie gazeta dostała się do moich rąk.

Sok wprowadził dziewczynę do pokoju i powiedział:

Sądzę, że ma pani nam dużo do powiedzenia miss Templeton.

— Najlepiej będzie, gdy opowiem panu wszystko od początku — odparła, zdejmując kapelusz, który Lex szybko zabrał z jej rąk.

— Kiedy udał się pan wraz z bratem na spoczynek, panie Smith, ojciec kazał mi zostać, mówiąc, że ma ze mną do pogadania. Nazywałam go ojcem, choć nigdy nie żywiłam dla niego uczucia córki. Był dla mnie bardzo niedobry. Wiem, że nie powinnam teraz źle o nim mówić, ale doprawdy zatruwał mi życie. Przed dwoma laty poznałam pewnego starszego człowieka mieszkającego w sąsiedztwie, był dla mnie bardzo serdeczny, zaczęłam często odwiedzać jego dom.

— Mówi pani oczywiście o panu Jetheroem — powiedział Sokrates.

Kiwnęła potakująco głową.

— Jetheroe kupił mi rower. Wie pan zresztą już o tym zapewne — dodała z całym uznaniem dla przenikliwości Smitha. — Musiałam to ukrywać przed Mandle'em, inaczej zrobiłby mi straszliwą awanturę. W ogóle często robił mi wymówki, nawet bez dostatecznego powodu. I wczoraj wieczorem właśnie, gdy panowie udali się na spoczynek zaczął mi wyrzucać, że... że... — zaczerwieniła się i urwała, a Sokrates był już pewien, że Mandle wyrzucał jej zachowanie się wobec Lexa.

— Gdy powiedziałam mu — ciągnęła dalej — że mogę opuścić jego dom, odparł, że mam to uczynić natychmiast. Poszłam więc do mego pokoju, przebrałam się i wyszłam z domu.

— Widziałem, jak pani wychodziła — przerwał Sok.

— Pan mnie widział? przez okno?

— Tak, obaj wyglądaliśmy wówczas przez okno — rzekł Smith — ale proszę mówić dalej.

— Jedynym człowiekiem, u którego mogłam się schronić, był Jetheroe. Mówił mi zawsze, że kiedykolwiek będę w kłopotcie, bym się zawsze do

niego z całym zaufaniem zwróciła.

— Chwileczkę — przerwał Sok. — Czy miała pani z nim umówione sygnały?

— Sygnały? — spytała zdumiona.

— Tak, pomiędzy panią, a Jetheroem?

Potrząsnęła głową:

— Nie rozumiem o czym pan mówi.

— Czy zna pani alfabet Morse'a i sygnały świetlne?

— Nie — odparła z uśmiechem — nigdy nie uczyłam się telegrafowania.

— Nigdy nie dawała mu pani żadnych znaków?

— Nie — odparła zdziwiona.

— Ani on pani?

— Nie mogłabym ich przecież zrozumieć.

— Dobrze — odparł Sokrates — proszę mówić, co było dalej.

— Doszłam do drogi i zatrzymałam się przy ścieżce wiodącej przez dolinę do domu pana Jetheroego. Nigdy nie bałam się chodzić tamtędy, ale wczoraj wieczorem czułam jakiś niewytłumaczony lęk. Zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi.



— Przepraszam — przerwał Sok — ile mniej więcej czasu upłynęło od chwili, gdy opuściła pani pana Mandle'a, aż do wyjścia pani z domu?

— Musiało być z pół godziny — odparła Molly.

— I miała pani uczucie, że ktoś panią śledzi, tak?

— Jestem tego pewna, że ktoś szedł za mną. W pewnym momencie widziałam wyraźnie postać, która zaraz potem zniknęła w krzakach. Zaczęłam biec, w biegu zgubiłam pantofel, nie miałam odwagi po niego wrócić.

— Jetheroe chyba jeszcze nie spał?

— Nie — odrzekła dziewczyna. — Nawet sam mi otworzył drzwi.

Zatrzymała się.

— Nie wiem, czy mam to wszystko panu opowiadać. Czy widział pan Jetheroego?

Sokrates pokiwał głową.

— Tak i nie chciał zdradzić pani wizyty u niego, gdyż nie wiedział, co się z panią dzieje.

— Noc spędziłam na kanapie w jego gabinecie. O czwartej rano obudził mnie, wypiłam filiżankę herbaty i koło piątej wyjechałam na rowerze. Udałam się do

Londynu. Dał mi pieniądze na mieszkanie i list do swych znajomych, którzy mieli mi dać zajęcie. — Uśmiechnęła się. — Pan nie ma pojęcia, jaki Jetheroe jest dobry. Chciał mi koniecznie wyznaczyć stałą pensję, żebym nie potrzebowała pracować, a kiedy nie przyjąłem, obraził się na mnie. Ale teraz pójdę do mego pokoju się przebrać. Czy on... on... — zawahała się.

Sokrates zrozumiał o co jej chodzi:

— Zwłoki przeniesiono wprost do kaplicy w Haslemere — powiedział.

— No i cóż o tym sądzisz? — spytał Stone, gdy drzwi zamknęły się za dziewczyną.

— Sądzę, że mówi prawdę — odparł Sok Smith.

— Prawdę? — krzyknął z oburzeniem Stone. — Oczywiście, że mówi prawdę. Czyś na chwilę przypuszczał, że ta dziewczyna może kłamać?

Lex po raz pierwszy poczuł coś na kształt sympatii do Stone'a.

Ale Sok odparł chłodno:

— Każdy może kłamać. Jest to jedna z właściwości, wspólnych ludzkości całego świata. Powiedziała, że widziała Mandle'a po raz ostatni, gdy

opuszczała jego pokój — rzekł, jak gdyby na pół do siebie.

— Skoro tak powiedziała, pewnie tak było — rzekł Lexington.

— A jednak widziała go raz jeszcze — powiedział surowo Sok do brata. — Widziała go, choć nie poznała, że to on. Człowiek, który szedł za nią i przekradał się krzakami to był właśnie Mandle.

— Oszalałeś chyba! — krzyknął Stone. — Mandle nie mógł przecież kroku zrobić o własnej sile!

— Mimo to człowiekiem tym był John Mandle — powtórzył Sok uparcie.

— Więc uważasz zapewne, że ubiegłej nocy wydarzył się cud?

— Wydarzyły się nawet dwa cudy — powiedział spokojnie Sokrates, zaciągając się wonnym dymem — ale nie powiem wam jakie, drodzy przyjaciele, gdyż...

— Gdyż co? — spytali razem.

— Gdyż jeszcze nie wiem — dorzucił z uśmiechem Sok. — Zostaniesz u nas na obiedzie, co?

Później, gdy bracia zostali sami, Lex robił starszemu bratu wymówki:

— Po cóż, u diabła, zatrzymałeś tego Boba na obiedzie?

Po raz pierwszy Sokrates spojrzał na Lexa tak chłodno i surowo.

— Traktujesz Boba Stone'a jedynie jako niebezpiecznego rywala przy twojej ukochanej — powiedział gniewnie. — Zapominasz o tym, że i ja mogę mieć jakiś interes w zatrzymaniu go i że rozwiązanie tajemnicy trzech dębów jest równie bodaj ważne, jak twoje sprawy sercowe.

Lex zwiesił głowę.

— Nie gniewaj się na mnie, mój stary — powiedział.

— Miłość jest rodzajem szaleństwa — rzekł Sok. — A teraz zostaw mnie proszę, samego. Muszę rozwiązać siedem zawiłych problemów.

Spóźnił się nieco na obiad i Molly, która miała mu do zakomunikowania nowe wieści, oczekiwała go niecierpliwie.

Podczas jedzenia był smutny i mało mówny, krótko odpowiadał na zadawane mu pytania.

— Czy znalazł pan pamiętnik Mandle'a? spytała

Molly, i pytanie to obudziło nową energię w Sokratesie.

— Pamiętnik? — powiedział żywo. — Nie wiedziałem, że pisał pamiętnik.

— I ja również odkryłam to dopiero dziś po południu — powiedziała Molly. — Znalazłam tylko początek jednej kartki wyrzucony do kosza z papierami. Ale Timms mówił, że pan codziennie pisał coś w dużej książce.

— Cóż było na tej jednej kartce? — spytał Sokrates.

— Zaledwie początek zdania: Od tej chwili zaczęliśmy rozumieć, że Deveroux...

— Deveroux? — powtórzył Sok. — To nazwisko bandyty, który zrabował Bank Lyoński, i który wymknął się z rąk Mandle'owi.

— Raczej mnie i Mandle'owi — wtrącił Stone. — Ale Mandle bardziej się tym przejął. Cóż mógł pisać w tej historii swego życia? W każdym razie, życie miał zajmujące. Czy znalazła pani jeszcze coś?

Dziewczyna wstrząsnęła przecząco głową.

— Przeszukałem bardzo uważnie całe biurko — powiedział Sok. — Chyba, że posiada tajemną

skrytkę. W tak starym biurku... — urwał i spojrzał ku drzwiom.

Potem wstał i otworzył je szeroko.

Za drzwiami stał jakiś człowiek. Wysoki siwowłosy mężczyzna.

— Dobry wieczór, panie Jetheroe — rzekł Sokrates uprzejmie. — Jakże pan tu wszedł?

## ROZDZIAŁ XI

### PALI SIĘ!

Ale Jetheroe nie odpowiedział mu ani słowem, nie zwrócił nawet uwagi na mówiącego. Oczy jego utkwione były w twarzy dziewczyny, a uśmiech pełen łagodności opromieniał mu usta. Molly wybiegła mu naprzeciw z wyciągniętymi rękami.

— Wróciłaś, moje dziecko. Wiedziałem, że wrócisz, powiedział — byłem o ciebie bardzo niespokojny, a przy tym ci panowie koniecznie chcieli się czegoś o tobie ode mnie dowiedzieć.

— Jak to dobrze, że pan tu przyszedł do mnie — odparła dziewczyna. — Tak chciałam się z panem zobaczyć, a nie byłabym do pana poszła dziś wieczorem za nic w świecie — zadrżała.

— Myślałem, że tak będzie — odparł Jetheroe. — Teraz wypada mi przeprosić państwa za to, że tak znieczekałem. Pytał pan, panie Smith, którądy tu

wszedłem. Przez frontowe drzwi, były otwarte.

W tonie, którym to powiedział, dźwięczała nuta ironii. Zdawać się mogło, że Jetheroe pragnie zaznaczyć, jak bardzo nie na miejscu było to pytanie Sokratesa w domu, którego Molly była przecież teraz gospodynią.

Sok Smith zrozumiał to od razu i powiedział ze śmiechem:

— Będę tu w dalszym ciągu robił honory domu i poproszę pana by usiadł. Pan zna pana Stone'a?

— Poznaliśmy się kiedyś — powiedział Jetheroe — ale to było już szesnaście, lub osiemnaście lat temu w Londynie. Pan przypomina to sobie, panie Stone?

Bob pokiwał głową, a Sokrates miał uczucie, że odkrycie jego dotyczące się osoby Jetheroe straciło ogromnie na wartości od chwili, gdy ten sam przyznał się do swej przeszłości.

— Przyszedłem tu, moje dziecko — powiedział Jetheroe do Molly — żeby ci zaproponować dzisiaj nocleg u mnie. Nie będziesz chyba mogła zostać tutaj na noc.

— Myślałam już o tym — powiedziała Molly — i



mam zamiar nocować w Chequers, zamówiłam sobie już tam pokój w hotelu.

— Bardzo to rozsądnie z pani strony — powiedział Stone — ogromnie pochwalam tę myśl.

Jetheroe spoglądał po zebranych z uśmiechem, wreszcie powiedział:

— Zdaje się, że przeszkodziłem państwu w ważnej rozmowie, idę już. Dobranoc, Molly.

— Dobranoc panu — obiema dłońmi ujęła jego rękę.

Jetheroe wyszedł, a z nim ku wielkiemu zadowoleniu Lexingtona poszedł i Stone.

Przed wyjściem nachylił się do ucha Sokratesa i szepnął:

— Sok, jutro przyjdę pomóc ci w poszukiwaniach pamiętnika Johna, jestem pewien, że wyjaśni on niejedno. Zostałbym i teraz, ale chyba wolisz to robić w dzień prawda?

— Tak trzeba będzie chyba porąbać biureczko.

— Myślisz, że pamiętnik jest w nim gdzieś ukryty?

— Tak, sądzę, że znajduje się w jakiejś tajnej skrytce. Biurko jest stare i musi takich skrytek posiadać

wiele.

Bob pokiwał głową:

— Przyjdę jutro o wpół do dziesiątej. Chyba będzie dość wcześnie?

Zerknął przez ramię ku dziewczynie.

— Molly nie chce jeszcze zapewne iść do gospody?

— Odprowadzę ją, gdy będzie chciała — rzekł Sokrates, wiedząc doskonale, że jeden z obecnych nie pozwoli nikomu wydrzeć sobie przyjemności odprowadzenia Molly Templeton.

Po oddaleniu się Boba z Jetheroem, Sok zostawił młodą parę samym sobie i zabrał się do przeglądania papierów pozostałych po Johnie Mandle'u. Były one przeważnie mało zajmujące, nie znalazł ani śladu dziennika, o którym wiedział Times. Obejrzał raz jeszcze ze wszystkich stron biurko i nie znalazł śladu upragnionej skrytki.

Gdy spojrzął na zegarek, zobaczył ze zdziwieniem, że jest już jedenasta.

Wszedł więc do bawialni z okrzykiem:

Czy wiecie państwo, która jest godzina? Zamkną

pani hotel!

Dziewczyna spojrzała na niego nieprzytomnie i powiedziała nieco zmieszana:

— Postanowiłam właśnie, jednak, zostać tu na noc.

Sokrates patrzył na nich z podziwem. Tak, to była miłość. Bez wątpienia miłość, która rozkwitła nagle w domu śmierci, miłość obojętna na wszystko, co nie jest jej szczęściem!

Sok Smith uśmiechnął się.

— Co cię tak rozśmieszyło, Sok? — spytał brat.

— Ach, nic — odparł. — Ale teraz zagram rolę pani wujka, miss Templeton, i posyłam panią do łóżka. Zmieszła się jeszcze bardziej.

— Nie wiedziałam, że już tak późno. Dobranoc, panie Smith. Dobranoc, Lexington.

Lexington — pomyślał Sokrates.

Gdy Lex, odprowadziwszy Molly do schodów, wrócił do pokoju, Sok spytał go z uśmiechem:

— No i cóż, zdecydowałeś już wszystkie sprawy świata?

— Mojego świata — odparł Lex z uśmiechem.

— A więc tworzysz twój własny świat? Świat we

dwoje? To bardzo miła dziewczyna, Lex.

— To najmiłsza dziewczyna na świecie — odrzekł brat.

— No dobrze, a teraz możesz iść spać.

— Czyś skończył już robotę? — spytał Lex szczęśliwy, że brat przestał mówić wreszcie o Molly.

Na dzisiaj tak. Jutro porąbię biurko i znajdę dziennik Johna. Jak sądzisz, czy Jetheroe słyszał naszą rozmowę?

— Wówczas gdy stał za drzwiami?

Sokrates pokiwał głową.

— Mówiliśmy wówczas o skrytkach i tajemniczych schowkach, czy tak? Sądzisz, że go to mogło zainteresować, jeśli nawet słyszał? — pytał Lex.

— O, to nic nie wiadomo — odparł starszy brat. — Ale teraz idź już spać, mój synu. Jutro trzeba będzie znowu wczesnie wstać.

Bracia rozstali się i każdy poszedł do swego pokoju.

Lex nie zdążył się jeszcze rozebrać, gdy usłyszał za drzwiami głos Sokratesa:

— Chodź no jeszcze tu do mnie, chłopcze. Mam

pewną myśl. Włóż szlafrok i pójdziemy do gabinetu Mandle'a. Chyba się nie boisz?

— Ani trochę — odparł odważnie, choć czuł małe dreszczyki w plecach.

Pokój Molly znajdował się na drugim końcu korytarza, tak że nie mieli potrzeby koło niego przechodzić. Ku zdziwieniu Lexingtona, Sok wszedłszy do pokoju, nie zapalił elektryczności, tylko zbliżywszy się do okna, wyjął z kieszeni przyniesioną w tym celu lampkę i postawił ją na parapecie okna, potem zwrócił się do brata:

— A teraz idź do mego pokoju i powiedz mi, co widzisz stamtąd przez okno.

Lex usłuchał. Z okna mógł widzieć Biały Dom.

— Wielki Boże — krzyknął nagle. — Widzę to samo światło, które widzieliśmy tamtej nocy!

Wrócił do Sokratesa i podzielił się z nim swym wrażeniem.

— Tak właśnie sądziłem — odparł Sok spokojnie. — To, co braliśmy za sygnał z Białego Domu, było po prostu refleksem światła lampy umieszczonej w tym oknie.

— Więc to Mandle dawał znaki?

— Tak.

— Ale komu?

— Nie wiem — odparł Sokrates.

I krótko życząc dobrej nocy bratu, poszedł do swej sypialni. Lexington stał jeszcze długo przy oknie, pogrążony w myślach zanim udał się na spoczynek.

W nocy śniło mu się, że był we Francji na froncie, słyszał huk pękających granatów, widział języki ognia i czuł piekący dym. Nagle jeden z nieprzyjaciół, olbrzymi oficer z twarzą Jetheroego zaczął potrząsać jego ramieniem, krzycząc:

— Obudź się, obudź się, czy słyszysz?

Otworzył oczy. Nad nim stał Sokrates i wołał.

— Obudź się, wstawaj, Lex! Dom się pali!

— Co takiego?

— Pożar w domu — powtórzył Sok. — Biegnij do pokoju miss Templeton. Jeśli trzeba, wywal drzwi. Biegnij szybko. Ja pójdę budzić służbę.

— Pożar? — powtórzy Lex jeszcze na wpół we śnie. Ale w tejże chwili ujrzał języki ognia, pożerające drewniane belki, poczuł gęsty, piekący dym w

nozdrzach. Zerwał się, jak szalony i wybiegł na korytarz. Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach dziewczyny. Zapukał, żadnej odpowiedzi. Wówczas, nie namyślając się, przycisnął drzwi, zamek puścił. Lex wpadł do pokoju. Gdyby Lex był bardziej przytomny, spostrzegłby natychmiast, że Molly jeszcze nie zdążyła zasnąć. Gryzący dym pozbawił ją przytomności, leżała, w bezwładnej dłoni trzymając jakąś książkę w skórzanej oprawie zamykaną na metalowe klamry. W pokoju panował nieznośny żar. Dziewczyna była widocznie oszołomiona dymem, gdyż nie dawała żadnego znaku życia, gdy Lex schwycił ją na ręce i wyniósł z pokoju.

Drzwi pokoju Mandle'a płonęły już jasno, korytarz pełen był dymu, ale schody były na szczęście jeszcze nietknięte. Drzwi wiodące z hallu na dwór były szeroko otwarte.

Sokrates, otoczony służbą stał przy wyjściu, oglądając się niespokojnie.

— Ach, jesteście, chwała Bogu — zawołał na widok brata, dźwigającego ciężar. — Times, w przedpokoju wiszą płaszcze. Czy sądzi pan, że można

je jeszcze wydostać?

— Spróbuję, panie — zawołał służący i zniknął w domu.

Po chwili zjawił się obładowany rzeczami. Była to ostatnia minuta, gdyż zaraz potem płomienie ogarnęły drzwi wejściowe. Cały dom płonął jak zabawka z papieru.

Upłynęło przeszło pięć minut, zanim Molly odzyskała przytomność i ujrzała siebie leżącą przed domem na trawie, otuloną w stary płaszcz Mandle'a.

— Co się stało? — szepnęła. — Ach, tak, pożar, pamiętam, chciałam wyjść z łóżka, a dym mnie tak dusił, gryzł w oczy...

— Po prostu zaczadziła pani — powiedział Sok, który na szczęście zdążył włożyć swój płaszcz, a nawet znaleźć swą papierośnicę. — Ależ pożar — mówił, patrząc na płonący z trzaskiem dom. — Najbliższy oddział straży ogniowej jest w Haslemere. Zdążą akurat na czas, by założyć fundamenty pod nowy dom. U-uf, jak tu gorąco.

— Z jakiego powodu wybuchnął pożar? — spytała dziewczyna, która odzyskała na tyle siły, że mogła już



stać, podtrzymywana przez Lexingtona.

— Nie wiem — odparł Sokrates. — Wiem tylko jedno: gdybym nie był takim idiotą, jak jestem, nie byłoby tu dziś w nocy pożaru.

Nie tłumaczył bliżej swych słów, z których obecni niewiele mogli zrozumieć. Straż przybyła wcześniej, niż Sok przypuszczał, ale niewiele już mogła uratować. Na szczęście pokój dla Molly był zamówiony w hotelu, udano się tam i bracia Smith bez trudu ulokowali się w tejże gospodzie.

Sokrates Smith nie udał się jednakże na spoczynek, ale niezwłocznie zasiadł do telefonu.

Lex, zszedłszy nazajutrz rano na dół, zastał u brata fryzjera.

— Telefonowałem do Septimusa, by przysłał nam trochę rzeczy i do centrali straży ogniowej, by wydelegowała do mnie najlepszych ekspertów.

— Po co ci eksperci? — spytał Lex.

— Jestem ciekawym człowiekiem i chcę wiedzieć dokładnie, gdzie wybuchnął pożar — powiedział Sok. — A tobie, jak się wydaje, gdzie to mogło być?

Lex wzruszył ramionami.

— Nie wiesz? A ja mógłbym się założyć z każdym, że pożar rozpoczął się od biurka posiadającego tajną skrytkę, mógłbym założyć się jeszcze, że eksperci znajdą ślady po nafcie we wszystkich pokojach położonych bezpośrednio pod gabinetem.

— Wielki Boże! — zawołał Lex — więc sądzisz, że miało tu miejsce podpalenie?

— Właśnie tak sędzę — odparł Sok.

Miał rację. Przybyli eksperci słowo w słowo powtórzyli jego przypuszczenia.

— Pożar wybuchnął w tym pokoju — powiedział specjalista z Londynu, stojąc na miejscu, gdzie był gabinet Mandle'a. — To było zdaje się biurko.

— Tak, to było biurko.

Ekspert zatrzymał się i powąchał.

— Użyto w celu podpalenia nafty. Czuję jej zapach w paru miejscach.

Specjalnie przyniesioną w tym celu siekierką Sok rozrąbał resztki podpalonych desek, składających się niegdyś na biurko. Na próżno. Nie znalazł nawet śladu spalonego manuskryptu. Ogień okazał się dyskretny: z tajemnicy Johna Mandle'a został tylko popiół.

W zgliszczach biurka znaleziono, natomiast, coś innego. Były to dwa klucze: jeden duży o kształcie staroświeckim, drugi mniejszy.

— Proszę mi to pokazać — rzekł Sokrates.

Do dużego klucza przytwierdzona była metalowa tabliczka, na której widniał napis: Furtka ogrodowa. Przy małym wisiała karteczka papierowa, ale ogień zniszczył ją prawie całkowicie, zostawiając parę ledwie czytelnych literek: Pool-in...

— Pool-in... i co dalej? — spytał.

Ekspert z uśmiechem wzruszył ramionami i zajął się uważnym oglądaniem szczątków.

— Tak, bez wątpienia, pożar wybuchnął tutaj — powiedział. — Każdy róg biurka obłany został starannie naftą i podpalony.

Sok słuchał z roztargnieniem. W każdym razie, słowa eksperta potwierdzały jego przypuszczenia i to mu wystarczało.

— Nie trzeba mówić miss Molly o znalezieniu kluczy — powiedział, gdy został sam na sam z bratem.

— Doskonale — odparł Lexington, myśląc, że ma z miss Molly ciekawsze tematy do rozmowy.

## ROZDZIAŁ XII

### CO SŁYSZAŁ GRITT

Po powrocie do hotelu zastali Boba Stone'a rozmawiającego w bawialni hotelowej z Molly.

— Straszna rzecz ten pożar — powiedział i zdawał się być bardzo wzburzony. — Ale dlaczego pani, mimo postanowienia nocowała w domu? Byłaby pani uniknęła tego całego przejścia — powiedział z wyrzutem.

Uśmiechnęła się.

— Nic mi się nie stało — powiedziała.

— Czy udało się coś uratować? — pytał Bob.

— Nic — odparł Sok. — Jedynym miejscem, którego nie dosięgnął ogień, jest altana na końcu ogrodu.

Dziewczyna smutnie pokiwała głową.

— Biedny pan Mandle, tak lubił tę altanę, spędzał tam długie godziny.

— Jaka jest przyczyna pożaru? — pytał dalej Stone.

— Ogień powstał wskutek rozlania nafty — odparł Sok.

— Czy w garażu?

Sok wstrząsnął przecząco głową.

— Nie, garaż spłonął również, ale pożar wybuchnął w pokojach na parterze, ściślej mówiąc, w gabinecie Johna, a jeszcze dokładniej, w biurku, gdzie znajdował się rękopis jego dziennika.

Bob spojrzał na niego bacznie.

— Czy sądzisz, że mamy do czynienia z podpaleniem?

— Tak przypuszczam — odparł Smith.

— Ale kto... — zaczął Bob.

— A kto zabił Johna Mandle'a? — przerwał mu Sokrates spokojnie.

— Ktoś, kto przezornie potrafił zamordować, potrafi też przezornie usuwać wszelkie dowody swej zbrodni.

Bob nie odpowiedział, dopóki Molly nie opuściła pokoju. Dopiero wówczas spytał:

— Czy aresztuje pan Jetheroego?

— Jetheroego? Czemu? — zdziwił się Sok.

— Gdyż Jetheroe jest człowiekiem, który, stojąc za drzwiami, słyszał naszą rozmowę o pamiętniku w tajnej skrytce biurka. Dalej Jetheroe jest jednym z nielicznych ludzi w Anglii, którzy nienawidzili Johna Mandle'a, i wreszcie, jest on jednym z tych, którzy nie wahają się przed mordem.

Sokrates w zadumie podrapał się w podbródek.

— Czy John rozmawiał kiedy z Jetheroem? Czy wiedział o tym, kim jest jego sąsiad?

— Widywał go jedynie z daleka i nie miał pojęcia, kim on jest, — odparł Bob. — Wyrzucał Molly, że się z nim przyjaźniła, ale uważał go, zdaje się, za starszego, niż jest w rzeczywistości.

— Sprawa jest skomplikowana — powiedział w zamyśleniu Sok. — Nie, nie mam jeszcze powodu aresztować Jetheroego.

Bob myślał chwilę, a potem powiedział:

— Czyś zauważył, jak wczoraj wieczorem Jetheroe nalegał, żeby Molly nie nocowała w domu? Jak bardzo ucieszył go projekt hotelu?

Sok uśmiechnął się:

— Pan był tegoż co i on zdania, o ile sobie przypominam, ale czegoż to dowodzi?

— Może dowodzić tego, że Jetheroe, wiedząc z góry, iż w nocy wybuchnie w Leśniczówce pożar, chciał ustrzec od tego dziewczynę. Nie należy zapominać, że o ile nasze przypuszczenia są słuszne, Molly jest jego córką.

Sok milczał chwilę.

— Czy on był tu dziś u niej? — spytał Bob.

— Nie, ale widzieli się w sklepie, gdzie Jetheroe robił zakupy.

— A czy to nie dziwne, że widząc w nocy pożar, nie przybiegł natychmiast na miejsce? — ciągnął dalej Bob.

Sokrates znowu się uśmiechnął.

— Podejrzenia twoje są doprawdy bezpodstawne, Bob, powiedział. — Tak samo ktoś inny mógłby się dziwić czemuś ty nie przybiegł. Pożar widać było i z twojego domu.

— Ja właśnie przybiegłem. Strażacy powiedzieli mi, żeście przed chwilą poszli do hotelu. Nie miałem

pojęcia, że i Molly jest z wami i nie chciałem wam przeszkadzać — mówił Bob. — Nie, sieci oplatają się z pewnością coraz mocniej naokoło osoby Jetheroego i dziwię się bardzo, że nie kazałeś go dotychczas aresztować.

Sok potrząsnął głową.

— Muszę tę sprawę raz jeszcze porządnie przemyśleć — powiedział. — Czy idziesz jutro na badanie?

— Tak.

— Pogrzeb będzie po południu. Biedny John. Cóż za tajemniczy koniec, pełnego tajemnic życia. Ale, à propos, znałeś go lepiej niż ja. Czy miał on jeszcze jaki inny dom, prócz tego?

— Nie — odparł Bob. — Dlaczego o to pytasz?

— Może miał jakieś mieszkanie w Londynie? — pytał dalej Sok.

— Nigdy o tym nie słyszałem — odparł Bob — ale być może, Mandle był człowiekiem, który nie lubił opowiadać o swoich interesach. Dlaczego o to pytasz?

— Bo nie wiem, co zrobić teraz z Molly.

Bob pokiwał głową.



— Rozumiem cię — powiedział — wolałbyś, żeby stąd wyjechała. Sądzę, że masz rację. Ale obawiam się, że ona nie ma innego domu. Zaproponowałem jej, że wyjadę z nią do Londynu, ale nie chce się na to zgodzić.

— Zdaje mi się, że nie może się na to zgodzić — zauważył Sok spokojnie.

— Nie rozumiem dlaczego — przerwał mu Bob szybko. — Mógłbym przecież wziąć jej jakąś towarzyszkę...

— To już jest bardziej realne — zgodził się Sokrates. — Pomówię o tym z Molly.

Po chwili spytał:

— Powiedz no, Bob, czy jesteś bardzo zakochany w tej dziewczynie?

Pytanie było tak niespodziane, że Bob zaniemówił na chwilę.

— Czy zamierzasz się z nią ożenić? — pytał dalej Sok.

— Tak — odparł Bob stanowczo. — Kocham ją bardzo.

— A ona?

— Ona mnie nie kocha — odparł krótko i zmienił temat rozmowy.

Wkrótce potem zjawiała się Molly. Opowiedziała, że spotkała się z Jetheroem w sklepie u sukiennika. Sklep ten był jednocześnie kantorem stręczenia służby i Jetheroe przyszedł tam zgodzić nowego ogrodnika. Odprawił dziś rano swojego za pijaństwo.

— Znam tego człowieka — powiedział Bob. — Pracował kiedyś u Mandle'a. Nazywa się Gritt. To ten sam?

— Zdaje się, że tak brzmi jego nazwisko — odparła dziewczyna. — Nie zwróciłam na to uwagi.

— Czy pan Jetheroe był bardzo przejęty tym, że przeżyła pani pożar w nocy?

— Oczywiście — odparła dziewczyna trochę zdziwiona. — Myślał przecież, że nocuję w gospodzie.

— Rozumiem — pokiwał głową Sokrates.

Wkrótce potem udał się na stację Haslemere, by przywitać dwu detektywów, których przysłał mu do pomocy Scotland Yard. Wrócił koło piątej do Chequers. Padał drobny deszczyk. Molly nie było w gospodzie. Poszła do Białego Domu, by wypić herbatę

z Jetheroem; ku swemu wielkiemu zdziwieniu Sok dowiedział się, że Lexington jej towarzyszył.

Bob Stone, który udzielił mu tych informacji, był w złym humorze.

— Twój braciszek, Sok, to natrętna mucha — powiedział ironicznie.

— Mój braciszek krąży zawsze tylko tam, gdzie nie uważają go za natręta — powiedział surowo Sok.

— Wybacz mi, Sok — rzekł Bob — ale, gdy chodzi o Molly, jestem specjalnie wrażliwy.

— Zastanów się, Bob, nad tym, że twoje zamiary są szaleństwem. Kiedy pięćdziesięcioletni mężczyzna żeni się z dwudziestodwuletnią dziewczyną, naraża się na to, że wytworzy się między nimi sto lat różnicy.

Bob Stone przygryzł wargi.

— Sądzę, że masz słuszność, Sok... — powiedział i chciał coś jeszcze dodać, ale w tej chwili weszła służąca.

— Czy chciałby pan przyjąć pana Gritta? — zwróciła się do Sokratesa. — Powiada, że ma panu coś ważnego do zakomunikowania.

— Proszę go tu wprowadzić — powiedział Sok.

— Tylko, że on nie jest całkiem pewien siebie, proszę pana... — powiedziała służąca z wahaniem.

— Czy jest pijany? — spytał Sok z uśmiechem — nic nie szkodzi, proszę go tu wprowadzić.

Wszedł szczupły, niepozorny człowieczek, patrzący spode łba.

Stał z czapką w ręku przy drzwiach, dopóki Sokrates nie przywołał go bliżej.

— No, i cóż, Gritt, co mi powiecie?

— Chcę coś powiedzieć o zbrodni... — zaczął ochryplym głosem ten człowiek.

— Proszę bardzo.

— Otóż, ja wiem właśnie, kto popełnił tę zbrodnię — powiedział.

— Tak? I któż to taki? — spytał Sok.

— Mój dawny pan, pan Jetheroe, i mogę tego dowieść. — oświadczył Gritt.

Słowa jego wywarły na obu obecnych wielkie wrażenie.

Bob uśmiechnął się triumfalnie, a Sokrates szeroko otworzył oczy.

— Ach, tak? — powiedział — i nawet możecie tego dowieść?

— Oczywiście, że mogę! — zawołał Gritt. — Wiem kiedy i jak się to stało! Było to zaraz po wizycie młodej pani. Właśnie czyściłem buty w małej komórcie...

— Trochę było późno, jak na czyszczenie butów... — przerwał Sok.

— Tak, powinienem był zrobić to wcześniej — przyznał Gritt — ale zasiedziałem się pod Czerwonym Lwem, gdzie piłem trochę z przyjaciółmi...

— Rozumiem — rzekł Sok — a teraz powiedzcie, co się dalej stało owego wieczora. Było to przedwczoraj, prawda?

Człowiek pokiwał głową.

— Tak, panie, to było przedwczoraj. Właśnie czyściłem buty, gdy młoda pani przyszła do nas do domu. Nie wiem dlaczego, utykała trochę na nogę.

Widocznie Gritt nie słyszał nic o zgubionym pantofelku Molly i ani Sokrates, ani Bob nie wyjaśnili mu, jak się rzecz miała.

— W jakies dziesięć minut po przyjściu młodej

pani do naszego domu, pan mój wyszedł — ciągnął dalej Gritt. — Właśnie wracałem z wyczyszczonymi butami, wracałem frontem, bo kucharz zamknął już drzwi kuchenne, i widziałem pana Jetheroe, jak wychodził. Był tak bliźutko mnie, że mogłem, wyciągnąwszy dłoń, poklepać go po ramieniu. Ale nie zrobiłem tego — dodał, śmiejąc się ze swego dowcipu.

— I co dalej? — pytał Sokrates.

— Dalej... Wstąpiłem do komórki z butami, miałem tam butelkę piwa, więc napiłem się trochę, a potem pomyślałem, że skoro mój pan wyszedł, mogę zajrzeć do jego gabinetu. Okno gabinetu było otwarte, więc najpierw zajrzałem przez nie do wnętrza. Ujrzałem w pokoju młodą damę, miss Mandle. Leżała na kanapie przykryta pledem i czytała książkę. Pomyślałem sobie, że dziś nie sposób mi się przespać na kanapie i że trzeba wracać do siebie. Właśnie, patrzyłem jeszcze przez okno, gdy usłyszałem strzał. Młoda dama musiała go nie dosłyszeć, gdyż nie podniosła oczu znad książki. Nie rozumiałem skąd ten strzał może pochodzić. Kłusownicy nie grasują zwykle o tej porze roku. Pan Jetheroe nie wrócił jeszcze wówczas do domu, jestem

tego pewien, gdyż musiałbym go widzieć idącego przez ogród. Więc pomyślałem sobie, że to coś nie w porządku, i ukryłem się w ogrodzie w krzakach laurowych niedaleko furtki, czekając, co będzie dalej. Siedziałem tam z kwadrans, gdy usłyszałem kroki mego pana na ścieżce; ścieżka wysypana jest żwirem, więc każdy krok słyhać doskonale. Wyglądał strasznie. Błady był jak płótno i mrucał coś sam do siebie.

— Jakże mogliście widzieć po ciemku jego twarz?  
— spytał Sokrates.

— Nad furką wisi latarnia, a z hallu również padało światło, panie — odparł tryumfująco Gritt.

— Czy słyszeliście, co mrucał?

Gritt pokiwał głową.

— Słyszałem, jak mówił: nareszcie, nareszcie cię mam, a potem coś o wieszaniu. Przy schodach zatrzymał się, wyjął z kieszeni rewolwer i długo mu się przyglądał. Potem wsunął broń z powrotem do kieszeni, potem znowu wyjął go, otworzył, przełamał wpół, oglądał naboje i ostatecznie schował.

Bob Stone nie spuszczał oczu z twarzy mówiącego.

— No, i cóż teraz powiesz? — zwrócił się do

Sokratesa.

— Doskonale. Gritt — powiedział Sok. — Teraz wyjdźcie, a ja namyślę się nad tym, coście mi opowiedzieli.

Gritt wyszedł chwiejnym krokiem z pokoju.

— No, złapałeś go, Sok! Masz go wreszcie! — powiedział Bob.

— Złapałem go? — powtórzył Sok z uśmiechem.

— Mam go? Ależ w jaki to sposób?

— No, przecież to oczywiste chyba, że jest mordercą!

Sok potrząsnął głową.

— Oczywiście jest tylko to, że widział mordercę — odparł spokojnie.

— A rewolwer?

— Rewolwer, który Gritt widział, był zwykłym rewolwerem, słyszałeś, jak przełamał go wpół, by wyjąć, naboje, a...

— Więc — przerwał Bob niecierpliwie — czyż nie mógł zabić człowieka zwykłym rewolwerem?

Sok zgodził się:

— Mógł, ale John Mandle został zabity



automatycznym rewolwerem nr 35, który otwiera się zupełnie inaczej. Co się zaś tyczy pana Jetheroego — Sok wstał — skorzystam z pierwszej okazji dziś wieczorem, by porozmawiać z tym panem o tym, co widział i słyszał koło trzech dębów owej nocy, gdy John Mandle zakończył życie.

## ROZDZIAŁ XIII

### STRZAŁ W CIEMNOŚCIACH

Scotland Yard posiada pewnego człowieka, który całkowicie żyje przeszłością. Bez ustanku grzebie się w starych papierach, zapyłonych dokumentach i całą przyjemność swą upatruje w przypominaniu dawno przebrzmiałych spraw. Potrafi on z pamięci recytować każdy szczegół i każdy incydent procesów, które toczyły się w ubiegłym stuleciu.

Do tego właśnie człowieka napisał Sokrates Smith tegoż popołudnia długi, sekretny list, który wysłał ekspresem. Tymczasem Molly i Lex wrócili od Jetheroego, ale byli tak sobą wzajemnie zajęci, że Sok nie pytał ich o nic, a Bob Stone poszedł do domu wściekły.

W godzinę potem zjawił się rejent Johna Mandle'a, pragnąc mówić z miss Molly. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dowiedziała się, że jest jedyną

spadkobierczynią majątku Mandle'a. Zmarły zostawił bowiem tylko stary testament, pisany wkrótce po ślubie jego z matką Molly, mocą którego zapisywał cały majątek żonie. Po śmierci żony, nie pomyślał widocznie o tym, że teraz spadkobierczynią zostanie jego pasierbica, gdyż nie zmienił testamentu.

Była to sensacyjna wiadomość, gdyż John Mandle umarł jako człowiek bogaty.

— Wiem doskonale — powiedział prawnik w zaufaniu do Sokratesa — że pan Mandle nie chciał, by majątek jego odziedziczyła miss Templeton. Stało się to tylko dzięki niedbalstwu, z którym odkładał ostateczne sformułowanie ostatniej swej woli. Nie chciałbym, jednak, otwierać na to oczu miss Molly, która jest przepelniona wdzięcznością dla zmarłego.

— I ja sądzę, że to niepotrzebne — zgodził się Sok. — Lepiej niech dziewczyna myśli, że otrzymała majątek dobrowolnie od tego człowieka. John Mandle nienawidził jej tylko dlatego, że była mu żywym wyrzutem krzywd, które wyrządził jej matce. Nie wie pan, być może, o tym, że John Mandle podrobił akt zejścia ojca Molly, by przekonać jej matkę, że mąż jej

nie żyje i zmusić ją do ślubu, który był właściwie bigamią.

Prawnik został na obiedzie, który przeciągnął się dość długo. Była już blisko dziewiąta, gdy wyjechał pociągiem do Londynu.

— Już za późno dziś na spotkanie z Jetheroem — powiedział Sokrates.

— Czy chcesz się z nim widzieć? — spytał Lex zdumiony.

— Tak. Co sądzisz o tym człowieku?

Lex zawahał się.

— Doprawdy, nie wiem, co mam o nim sądzić — powiedział.

Palili cygara przed gospodą, gdy nagle Lexington przypomniał sobie:

— Przysłano ci jakąś paczkę z Haslemere. Wygląda, jak gruba księga.

— Ach, tak! — zawołał Sok. — Gdzież ona jest?

— Kazałem ją położyć w bawialni.

Sokrates pobiegł do bawialni i znalazł paczkę na stole. W pokoju Molly czytała przed udaniem się na spoczynek.

— Ciekawa byłam, co tam może być — mówiła z uśmiechem, podczas gdy rozrywał sznurki. — Mój Boże, jaka to duża książka!

— To najlepszy przewodnik po Anglii — powiedział Sok, przewracając szybko kartki.

— Czy szuka pan jakiej miejscowości? — pytała Molly, odsuwając swoją książkę.

— Pewna młoda dama zrobiłaby lepiej, szukając o tak późnej porze miejscowości, która nazywa się łóżko — odparł ze śmiechem Sokrates.

— Ma pan rację, panie Smith — zgodziła się Molly.

— Wkrótce już powie mi Sok — szepnął, ale Molly usłyszała.

— Dlaczego? — spytała.

— Może ty wiesz dlaczego, Lex?

Lex był zmieszany słowami brata.

— Niech pani nie zwraca na jego słowa uwagi, Molly — powiedział. — Sprowadzę panią ze schodów!

Sok roześmiał się wesoło i młoda para wyszła.

Lex wrócił po upływie kwadransa.

— Przechadzaliśmy się jeszcze chwilę po drodze — wyjaśnił bratu.

Sokrates nie podniósł oczu znad książki. Dwa klucze, które ocalały ze spalonego biurka leżały obok niego na stole.

— Pool... i jak dalej? — mówił, obracając na pół zwęgloną deseczkę w palcach.

— Czy to nazwa jakiejś wioski?

Sok potrzęsął głową.

— Zdaje mi się, że tak. Znam miejscowości, które nazywają się Slove-in-the-World i Widdicome-in-the-Moore, ale nie znalazłem jeszcze tej nazwy, o którą mi chodzi. Musi to być jakiś folwark, a jedyna prowincja, w której folwarki mają tak malownicze nazwy, to Devonshire.

Zamknął książkę.

— Dlaczego chcesz tak bardzo znaleźć folwark tej nazwy?

— Bo intryguje mnie, czemu John Mandle chciał tak bardzo ukryć nazwę tej miejscowości przed wszystkimi, że aż klucz z tym napisem trzymał w najtajniejszej skrytce biurka.

— Więc co zrobiłeś, by dowiedzieć się, gdzie leży ta miejscowość?

— Zatelegrafuję jutro rano do największego sprzedawcy majątków ziemskich w Devonshire z zapytaniem, czy mógłby wypuścić w dzierżawę folwark, dajmy na to Pool-in-the-Moore; jeśli się omylę w nazwie i będzie to Pool-in-the-Marsh, agent poprawi mnie z pewnością. A teraz — dorzucił, chowając oba klucze do kieszeni — przejdiesz się ze mną trochę po drodze. Wiem, że nie jestem piękny i że dłoń moja jest szorstka i twarda, nie jak...

— Nie ściskam niczyich dłoni — powiedział Lex — proszę cię, przestań mnie już raz nudzić, dobrze?

— Doskonale, chodź bracie, pójdziemy na pogorzelnisko domu; może stamtąd przyjdzie na nas natchnienie.

Szli ciemną szosą. Deszcz przestał padać i księżyc wzeszedł wysoko, oświecając dym, unoszący się z pogorzelniska Leśniczówki. Jedyne ocalony z pożaru pawilon letni wznosił się w głębi ogrodu.

— Czy doprawdy wierzysz w to, że Jetheroe wie coś o zbrodni? — spytał Lexington.

— Jestem tego pewien — odparł Sok.

Odpowiedź ta była dla Lexa niespodzianką, gdyż nie wiedział nic o opowiadaniu Gritta.

— Jestem pewien — ciągnął dalej Sokrates — że Jetheroe widział na własne oczy zbrodniarza. — Tu szybko opowiedział bratu zeznanie Gritta i dodał: — To, co Molly opowiedziała mi o swej wizycie u Jetheroe, zgadza się zresztą pod każdym względem z opowiadaniem Gritta. Jetheroe wyszedł z domu, by przekonać się, kto mógł ją tak przestraszyć w dolinie, a ona położyła się z książką na kanapie i przez otwarte okno słyszała nawet kroki Gritta na ścieżce ogrodowej.

— Nie usłyszała strzału?

— Nie. I to jest właśnie niewytłumaczone. Okna wychodzą co prawda na północną stronę, a strzelano w południowej czy południowo-zachodniej, ale mimo to...

W tej chwili umilkł. Obaj spojrzeli po sobie.

W ciszy nocnej rozległ się wyraźnie odgłos wystrzału. Zdawało się, że strzelano tuż obok.

— Co to było? — spytał z bijącym sercem Lex. — Wystrzał z rewolweru?

— Nie z rewolweru, ale z automatycznego



pistoletu. Odróżnić to można z łatwością po dźwięku — powiedział Sok spokojnie. — A strzelano koło trzech dębów.

Błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni latarkę i oświetlając ścieżkę, mówił:

— Droga wiedzie tędy. Biegnij tuż przy mnie.

Z lekkością i zwinnością młodego chłopca, puścił się w kierunku trzech dębów, a brat podążył za nim.

Cisza panowała w nieszczęsnym miejscu zbrodni. Sok oświetlił ziemię pod drzewami latarnią i w tejże chwili z piersi jego wydarł się okrzyk:

— Och, tak!

Na ziemi u stóp drzewa leżał człowiek z rozkrzyżowanymi ramionami. Z głowy jego spływał strumyk krwi.

— Jetheroe! — krzyknął Sokrates, pochylając się nad człowiekiem.

W tej samej chwili z gęstwiny leśnej doleciał długi przeciągły obłąkańczy śmiech: cho-cho-cho... Był to śmiech ścinający krew w żyłach. Sokrates skierował szybko swą latarkę w tym kierunku, z którego dolatywał głos, ale nie zobaczyli nikogo.

— Wyjdź, albo strzelam! — krzyknął.

Gwizdnęła kulka i cudem jakimś obiwszy się o gałąź drzewa, nie trafiła Sokratesa. Rzucił się w krzaki, skąd padł strzał. Na próżno w ciągu całego kwadransa wraz z bratem przetrząsał krzaki: ani śladu nie było złoczyńcy.

Gdy powrócili wreszcie do trzech dębów, czekała ich największa niespodzianka tego wieczoru.

Ciało Teodora Kennetha Warda, alias Jetheroego, zniknęło bez śladu.

## ROZDZIAŁ XIV

### PAMIĘTNIK

— Chwała Bogu, że Molly nie ma pojęcia o tym, iż zamordowany był jej ojcem — powiedział Sok po bolesnej rozmowie z dziewczyną. — Choć mam wrażenie że czuje ona jak gdyby straciła więcej niż zwykłego przyjaciela.

— Czy Stone nie powie jej tego czasami? — spytał Lexington.

Sokrates potrząsnął głową.

— Stone jest tak przerażony i przybity tym, co się stało, że z pewnością nic jej nie powie — odparł. — Słyszał w nocy strzał i rozesał całą swoją służbę, by szukała tego obłąkanego zbrodniarza.

— Co mówi służba Jetheroego?

— Nic nie wiedzą. Mówią, że siedział u siebie w bibliotece, nagle podniósł się i wyszedł bez słowa wytłumaczenia. Więcej go nie widziano.

— Czy okno jego gabinetu było otwarte?

— Tak, otwarte.

— Więc możliwe, że ktoś zawezwał go przez okno, by wyszedł, — powiedział Lexington.

— To nie tylko możliwe, ale nawet pewne — odrzekł Sok. — Jetheroe musiał spodziewać się tego wezwania. Znaleźliśmy u niego w mieszkaniu nabity rewolwer, nie zdążył go widocznie zabrać.

— Ale gdzie mogło się podziąć ciało? — pytał Lex. Cała noc zeszła nam przecież na bezskutecznych poszukiwaniach.

Sok również chciałby móc odpowiedzieć na to pytanie.

— Musi mieć współników — odparł. — Zastanówmy się nad tym, co wiemy o tym zbrodniarzu.

Usiadł na fotelu i zamyślił się. Po chwili mówił:

— Zabił Mandle'a. Miał zamiar zabić Boba Stone'a. Prawdopodobnie zabił Jetheroego. Na kogo teraz kolej?

Lex poruszył się niespokojnie:

— Dreszcz mnie przechodzi na myśl, że jeszcze chwila, a mógłbyś i ty zginąć ubiegłej nocy.

Sok pokiwał głową.

— Teraz najważniejszym zagadnieniem jest, czy Molly nie grozi śmierć z rąk tego zbrodniarza?

— Boże — krzyknął Lex, zrywając się z miejsca blady jak płótno. — Jakże możesz mówić z takim spokojem o czymś tak potwornym?

— Musimy się liczyć z każdą możliwością — odparł Sok. — Zależy to całkowicie od... — Zatrzymał się.

— Masz denerwujący zwyczaj przerywania w środku zdania — powiedział Lex. — Od czegoż to znowu zależy?

— Zależy od realizacji pewnych przypuszczeń — odparł Sok, nie chcąc mówić bratu, że zależy to całkowicie od znalezienia tajemnicy miejscowości o nazwie zaczynającej się od słów Pool-in..

Jeszcze tego samego dnia otrzymał w tej kwestii odpowiedź od przedsiębiorcy:

Pool-in-the-Moor, folwark położony o trzy mile od Ashburton przy szosie wiodącej do Newton Abbot. Właścicielem jest

Francuz, który nigdy nie odwiedza swego majątku. Kupił go przed dwudziestu laty od spółki Haggitt i George z Torquay.

— To się nazywa dokładna informacja — rzekł Sok z zadowoleniem. — Ale co to za krzyki, Lex, tam na dole?

— Aresztowano Gritta. Inspektor był tego zdania, że należy koniecznie kogoś aresztować, a ponieważ Gritt zbyt uparcie oskarżał swego pana, zdecydował, że to on właśnie jest winowajcą.

Sok pokiwał głową.

— Gdybym był posłuchał wówczas rady Boba Stone'a i aresztował Jetheroego, biedak byłby dzisiaj przy życiu.

Ale Lex myślał już znowu o tym, co go najwięcej zajmowało.

— Powiedz — zaczął — czy istotnie przypuszczasz, że Molly grozi niebezpieczeństwo?

— Uczciwie mówiąc, nie mogę ci nic powiedzieć na pewno — odparł. — Powiedziałem ci już, że musimy się liczyć z wszelkiego rodzaju

ewentualnościami... Ale czy zechciałbyś mi, Lex, odpowiedzieć zupełnie szczerze na jedno pytanie?

— Tak — odparł z powagą brat.

— Czy kochasz Molly?

— Tak — odpowiedział Lex tymże tonem.  
— Kocham ją z całego serca.

— Czyś jej to powiedział?

— Nie. Nie miałem odwagi, bałem się narazić na odmowną odpowiedź.

— A masz zamiar jej to powiedzieć.

— Przy pierwszej okazji powiem. Ale uważam za niestosowne mówić z nią o miłości, gdy jest tak przejęta stratą najlepszego przyjaciela.

— Rozumiem to doskonale — zgodził się Sokrates. — Ale jak ci się zdaje, co ona do ciebie czuje?

— Myślę, że mnie lubi — powiedział Lex.

— A może kocha?

— Tego nie wiem. Sądzę, że mnie nawet bardzo lubi, i że wie jak ją kocham, mimo iż nigdy jej tego nie mówiłem.

— To najważniejsze — rzekł Sok. — Jeżeli

kobieta wie, że mężczyzna ją kocha, a mimo to traktuje go jak człowieka, to dobry znak.

— Czy doprawdy tak myślisz? — spytał młodszy brat.

— Tak, choć nie jestem powołany do dawania instrukcji, po czym można poznać, jak kobieta kocha — rzekł Sok z uśmiechem. — Wiesz — ciągnął dalej — jesteś moją całą rodziną, mój chłopcze, to też muszę interesować się twoimi sprawami, zwłaszcza tymi... — tu zatrzymał się swoim zwyczajem.

— Jakimi? — spytał Lex.

— Tymi, które godzą w pewne zwyczaje w moim domu — powiedział Sok, ale Lex poznał, że nie to właściwie miał na myśli.

Zrodziło się w nim podejrzenie, więc spytał z niepokojem starszego brata:

— Nie sądzisz chyba, że Molly wie coś o zbrodni?

— Nie — odparł z wahaniem Sokrates, ale Lexingtona to nie zadowoliło.

— Sądzisz, że wie — rzekł z westchnieniem.

Sok roześmiał się głośno.

— Idź drogi chłopcze i kochaj się, a mnie zostaw



samego — rzekł wymijająco, a potem dorzucił:

— Czy nie zechciałbyś mi towarzyszyć dziś po południu na małej wycieczce inspekcyjnej?

— Jeśli ci nie grozi żaden strzał z ukrycia, wołałbym, byś poszedł sam — odparł Lex.

— Nie, nic mi nie grozi. Poprosiłem Boba na straż przyboczną. Możesz sobie romansować z czystym sumieniem.

Śledztwo w tajemniczej sprawie było prowadzone intensywnie. Zniknięcie Jetheroego nadawało morderstwu nowy charakter i Scotland Yard zainteresował się tym nie na żarty.

— Sądzę, że nie mogliśmy uczynić lepszego wyboru, panie Smith, nad ten, który uczyniliśmy, powierzając panu tę sprawę, — powiedział jeden z wyższych urzędników przybyły na śledztwo. — Jedynie dla formalności przysyłamy panu człowieka, który będzie miał nad wszystkim oficjalny nadzór.

Sokrates nie omieszkał poinformować urzędnika o strzale w ciemnościach.

— Czy sądzi pan, że to dzieło szaleńca?

— Możliwe — odparł Sok. — Wskazywałby na

to ów śmiech, ale z drugiej strony śmiech mógł być umyślnie udany dla zmylenia śladów, albo po prostu dla szarpnięcia nerwami. Na szczęście moje nerwy są dość silne — zakończył ze śmiechem.

— Nadzwyczajny z pana człowiek, panie Smith — rzekł z podziwem wysłannik policji. — Czemu nie został pan u nas na służbie?

— Z pewnością nie zabierałbym się wówczas z takim zapalem do sprawy, jak teraz — odparł Sok.

— Wypadek śmierci Mandle'a zawiera dla mnie dużo tajemnic — mówił funkcjonariusz policji. — Mówiono mi na przykład, że w kieszeni zmarłego znaleziono kajdanki. — Kogoż miał zamiar aresztować?

Rzeczywiście, po przeniesieniu ciała do Haslemere, znaleziono w kieszeni ofiary kajdany.

— Bóg to raczy wiedzieć — odparł Sok na pytanie.

Następnie rozmowa toczyła się o pożarze i o stratach stąd powstałych.

— Ja osobiście straciłem tylko jedną przywiezioną walizę — mówił Sok. — Żal mi nawet tej starej

towarzyszki mych podróży. Ale miss Templeton straciła wszystko prócz swego pamiętnika, który, zdaje się, trzymała pod poduszką. Z pewnością zgodnie ze swą dziewczęcą naturą ocalała, uciekając, i ten najdroższy skarb.

Urzędnik roześmiał się.

Po odejściu Boba do domu – Sok nie był w stanie namówić go, by spędził z nimi choć jeden wieczór od dnia pożaru – Sokrates zaczął żartobliwie dokuczać Molly pamiętnikiem.

— Nie wiedziałem nic o żadnym pamiętniku — powiedział Lex zdumiony, a starszy brat roześmiał się wesoło.

— To bardzo brzydko, panie Smith, że nazwał pan mój pamiętnik wobec tego urzędnika policji najdroższym skarbem — powiedziała rumieniąc się Molly. — Nie zapisuję tam żadnych tajemnic.

Sok mrugnął porozumiewawczo ku niej.

— Gdy widzę młodą panienkę piastującą książkę zamykaną na zameczek, nie mam już żadnych wątpliwości co do przeznaczenia owej książeczki — powiedział.

Molly z zawstydzeniem wyznała, że od lat pisze pamiętnik, że wszystkie poprzednie tomy zginęły w pożarze, a ten zupełnie mimo woli ścisnęła w dłoni, gdy straciła pod wpływem dymu przytomność.

— Dlaczego wypytywałeś tak Molly o jej pamiętnik? — spytał Lex, gdy został sam z bratem.

— Widocznie miałem w tym swój cel — rzekł Sok.

— Czy przypuszczasz, że pamiętnik może zawierać coś... — nie dokończył zdania.

— Coś? — zachęcał go brat.

— Coś o Jetheroem i Mandle'u? Coś co by było dla niej niebezpieczne?

— Możliwe — odparł Sok z taką powagą, że aż przeraził brata.

— Ależ ona z pewnością nie wie o sprawie nic nad to, co nam już powiedziała — zauważył Lex.

— Toteż powiedziałem tylko, że to możliwe.

Lex, przechadzając się po chwili z dziewczyną przed hotelem, usiłował przeprosić ją za postępowanie brata.

— Nie wzięła pani chyba na serio jego

dokuczania? — spytał.

— Pański brat to przemiły człowiek — odparła Molly.

— Naprawdę pani tak sądzi? — zdziwił się Lex.  
— Byłem pewien, że pani go nie lubi.

Roześmiała się serdecznie.

— Skądże to pan może wiedzieć kogo ja lubię, a kogo nie? — spytała.

— Tak, skąd mogę na przykład wiedzieć, czy pani mnie lubi? — odważył się spytać Lex.

— Pana? — powtórzyła. — Och, pan wie przecież, że lubię pana.

— A ja panią... — i oto była już w jego objęciach, a wargi jego spoczęły na jej wargach. Lexington Smith sam nie wiedział, jak się to stało, że zdołał przemóc swoją nieśmiałość. Czuł jedynie ogrom szczęścia, które przepelniało całą jego istotę.

W godzinę potem, Sok siedząc w bawialni ujrzał brata, który z twarzą promieniejącą radością wpadł do pokoju.

— Sok, mój kochany, mam ci coś do powiedzenia — powiedział.

— Zareczyłeś się z Molly Templeton — powiedział Sok spokojnie. Lex szeroko otworzył usta.

— Skąd wiesz?

— Wybrałeś dla twych oświadczyń i uścisków dość widoczne miejsce, mój mały. Ale to nic nie szkodzi — powiedział do Lexingtona czerwonego jak piwonia.

— Gdyby Molly wiedziała... — zaczął młodszy brat nieszczęśliwym głosem.

— Molly nie musi o niczym wiedzieć, a zresztą nie ma w tej całej sprawie nic tak dalece nadzwyczajnego ani oryginalnego, mój kochany. Czy macie zamiar ukrywać na razie wasze zaręczyny?

— Czy i rozmowę naszą słyszałeś?

— Nie, tylko się domyślam jej treści. Więc co, mam rację?

— Tak, Molly uważa, że nie wypada rozgłaszać zaręczyn zanim nie przejdzie okres żałoby po Mandle'u.

Sok słuchał, puszczając kłęby dymu ze swej fajeczki.

— Jutro przenosimy się do Prince's Place. Nie mogłem odmówić zaproszeniu pocziwego Boba.

— Czyż nie lepiej zostać w tym hotelu? — spytał Lex niezadowolony.

Sok potrząsnął głową.

— Musimy jeszcze jakiś czas pozostać tu w okolicy, dopóki nie zostanie ukończone śledztwo, a byłoby doprawdy nieuprzejmością mieszkać w hotelu, wtedy, gdy Bob nas tak usilnie zaprasza.

— Czy Molly wie, że przenosimy się do Prince's Place? — spytał Lex.

— Tak, wie.

— Nic mi o tym nie mówiła.

— Widocznie nie uważała tego za fakt tak ważny, jak uznajesz ty — odparł Sok z uśmiechem. — Doprawdy, Lex, nie bądź taki niemądry. Jest tam piękny dom z pięknym ogrodem. Będzie nam tam z pewnością doskonale.

— Nie sądzę — odparł Lex z powątpiewaniem.

Udając się na spoczynek, wsunął w drzwi pokoju Molly długi list. Nie było chyba potrzeby zapewniać jej, że w ciągu tak krótkiego czasu miłość jego nie ochłodziła, ale, jak wiadomo, dla zakochanych minuty rozłąki są wiekiem, a wieki spędzone razem jedną

chwilką.

Molly siedziała właśnie pogrążona w pisaniu swego pamiętnika, gdy list zjawił się w jej pokoju. List był pełen uwielbienia dla jej osoby, toteż po przeczytaniu go, złożyła starannie papier, wsunęła pod poduszkę i dodała jeszcze jeden paragraf do swego pamiętnika.

Położyła się do łóżka i zasnęła po wzruszeniach dnia.

Obudził ją jakiś szelest. Gdy otworzyła oczy, ujrzała żółty krąg światła latarki, skaczący po pokoju i w świetle tym jakąś czarną postać, stojącą przy biurku.

— Kto tu? — zawołała.

— Nie mów nic, jeśli ci życie mile!

Głos był wysoki i skrzeczący, a w blasku migotliwej latarki błysnęła stal broni.

— Po co pan tu przyszedł? — wybełkotała w śmiertelnym strachu, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Na przelotną chwilę ujrzała twarz przesłoniętą jedwabną niebieską chustką, potem widziała, jak nieznajomy znalazł na biurku coś, czego szukał, wsunął to do kieszeni i z wysuniętym w jej kierunku rewolwerem wycofał się z pokoju.



— Ani słowa — mruknął jeszcze w drzwiach — w ciągu dziesięciu minut nie wolno nikogo zawołać, inaczej...

Groźba zabrzmiała strasznie.

Drzwi zamknęły się cicho i Molly słyszała wyraźnie oddalające się kroki, potem skrzyp schodów. Minuty wydawały się jej wiekiem.. Wreszcie wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i wybiegła na korytarz. Zastukała do drzwi Sokratesa.

— Kto tam? — spytał głos z wnętrza.

— To ja, Molly.

W jednej chwili znalazł się na korytarzu.

— Co się stało?

Nieledwie z płaczem opowiedziała mu swą przygodę. Chwycił rewolwer i pędem zbiegł ze schodów. Ale już było za późno. Po upływie pięciu minut wrócił, mówiąc, że brama wejściowa jest otwarta, ale nie znalazł nikogo.

— A teraz zajrzemy do pani pokoju — powiedział, świecąc sobie latarką.

Weszli.

— Czy zabrał coś stąd? — spytał Sok.

— Szukał tu czegoś w biurku — odparła dziewczyna. — Może listów od pana Mandle’a.

Spojrzała na biurko i nagle krzyknęła.

— Mój pamiętnik!

— Pani pamiętnik? — spytał szybko Sokrates.

— Tak, mój pamiętnik — pokazała dłonią — był tutaj i zniknął.

## ROZDZIAŁ XV

### PROSZĘ NIE OPUSZCZAĆ MOLLY

— Istnieje tuzin dróg, którymi człowiek mógł się wkraść do Chequers — powiedział Sokrates, gdy rankiem spotkali się przy śniadaniu. — Toteż rad jestem, że przenosimy się do Prince's Place. Przynajmniej tamten dom jest, jak forteca.

— Nie rozumiem, czemu nie obudziłeś mnie dzisiaj w nocy — powiedział Lex z wyrzutem.

— Usiłowałem uspokoić miss Molly bez pomocy — odrzekł Sokrates — i doprawdy nie rozumiem, na co tyś był tam potrzebny, prawda, miss Molly?

Pokiwała głową, nie odrywając oczu od talerza.

— Ale co, u diabła, chciał ten tajemniczy łotr od pani pamiętnika? — ciągnął Lex. — Czy było tam coś ważnego?

— Było tam wiele bardzo ważnych rzeczy — powiedziała stanowczo — ważnych dla mnie. O, panie

Smith, ja umieram ze wstydu na myśl, że ktoś obcy przeczyta to wszystko, co napisałam.

Była tak szczerze zmartwiona, że Sokrates nie śmiał się już z niej ani trochę, tylko spytał z powagą:

— Czy były tam jakieś szczegóły, dotyczące się Mandle'a?

— Tak, było ich nawet bardzo wiele. Miałam zwyczaj pisać o nim, jeszcze przedtem, jeszcze zanim... dawniej — jąkała bezradnie. — Pisałam też bardzo dużo o panu Jetheroem. Byłam z nim przecież w takiej przyjaźni, a tak był romantyczny.

— Czy nie przypomina sobie pani, co pani tam pisała?

— Nie, tak dokładnie nie pamiętam. Wiem tylko, że pisałam stronę za stroną o przyzwyczajeniach pana Mandle'a. Życie w naszym domu było tak monotonne, że jedyną rozrywką była dla mnie obserwacja i notowanie spostrzeżeń. Pisałam więc o tym, co robi, o wszystkich jego dziwactwach i przyzwyczajeniach. Ulubionym jego miejscem była altana w ogrodzie. Znajdował się tam marmurowy stół, przy którym pisał nieraz całymi dniami, Timnes przynosił mu tam nawet

jedzenie. Marmurowy stół połączony był za pomocą elektrycznego dzwonka z kuchnią.

— Widziałem to — potwierdził Sok.

— Przed marmurowym stołem stało jego również marmurowe krzesło. Mandle lubił je bardzo, mówił, że to cenny antyk przywieziony z Włoch i kupiony przez niego w Londynie. Timnes wyścielał mu to krzesło poduszkami, tak że gdy usiadł na nim, wyglądał jak władca na marmurowym tronie. O tym wszystkim pisałam w pamiętniku, ale poza tym wydaje mi się, że nie było tam ani jednej wiadomości, której by złodziej pamiętnika nie dowiedział się z łatwością od służby domowej.

— To dziwne — mruknął Sokrates spokojnie.

To powiedziawszy, odszedł w kierunku Leśniczówki, zostawiając młodych samych.

Minał ruiny domu i skierował się ku altanie ogrodowej. Stała ona na wzniesieniu, z którego rozpościerał się widok na szosę, wiodącą do Godalmingu. Altanka zbudowana była z kamienia i robiła wrażenie wykwintnego domku. Wewnątrz za całe umeblowanie służył stół marmurowy i ów tron z

marmuru, o którym opowiadała Molly.

Sok jeszcze raz dokonał skrupulatnych oględzin altany i wrócił do hotelu. Zabawiło go ogromnie to, że młoda para, spłoszona jego widokiem jakoś głośno szurała krzesłami i bardzo była zmieszana.

— Sądzę, że trzeba się już pakować — powiedział. — Bob przyśle swój samochód o jedenastej.

Ujrzał cień niezadowolenia na twarzyczce dziewczyny.

— Czy nie ma pani ochoty przenosić się do Prince's Place, Molly? — spytał.

— Niewielką — odparła. — Bardzo lubię pana Stone'a, ale właśnie teraz — tu spojrzała na Lexa — nie mam chęci być pod jego dachem.

Sok widział jednak w zamieszkaniu u Stone'a wielkie korzyści dla sprawy. W prywatnym domu spodziewał się mniejszej kontroli i sądził, że będzie mógł wychodzić i wracać bardziej niepostrzeżenie i z większą łatwością korzystać bez świadków z telefonu. Przy tym Bob Stone dawał mu do rozporządzenia dwa auta, które w każdej chwili mogły go zawieźć do wsi.

Bob przyjechał właśnie jednym z nich i był zmartwiony, dowiedziawszy się o nocnej przygodzie Molly.

— Im prędzej przeniesie się pani do mnie, tym będzie lepiej, — powiedział rozgniewany. — Timmes, proszę znosić bagaż!

Molly zatrzymała całą służbę pana Mandle'a i jedną z przyczyn, dla których przyjęła zaproszenie Boba, była ta, że zabierał on do siebie wszystkich razem. Bagaże załadowano do limuzyny, a Molly oświadczyła, że woli się przejść kawałeczek z Lexingtonem, co bynajmniej nie wzbudziło zachwytu Boba.

— Chodźmy i my kawałek piechotą, Sok — powiedział. — Cóż, nie masz żadnych wieści o Jetheroem?

— Nie, żadnych i nie mam w dalszym ciągu pojęcia, w jaki sposób został tak szybko sprzątnięty.

— Może sam uciekł — podsunął Bob.

— Możliwe — zgodził się Sok. — Miałem wrażenie, że jest tylko ranny.

— Szkoda, że nie można było znaleźć żadnych śladów krwi na ścieżce — mówił Bob. — Jeżeli

doprawdy wstał o własnej sile, to czemu nie poszedł do własnego domu?

— Oto właśnie pytanie, które mnie dręczy — powiedział Sok. — Uważam sprawę zniknięcia Jetheroego za większą tajemnicę, niż zamordowanie Mandle'a, podpalenie domu i wizytę nocną w sypialni Molly,

Dotarli właśnie do trzech dębów i zatrzymali się przy fatalnym drzewie.

— Czy usiłowałaś kiedy zrekonstruować sobie zbrodnię? — spytał Bob.

— W niektórych szczegółach tak. Wiem na przykład, że Mandle sam wszedł na drzewo.

— Sam wszedł na drzewo? Przy takim stanie kolan? — zawołał Bob.

— Nie wiem, jaki był stan jego kolan, ale wiem, że sam wlaź na drzewo — powiedział Sok stanowczo. — Pierwszą rzeczą po odkryciu przeze mnie zbrodni były oględziny butów Mandle'a. Były to buty podkute mocnymi gwoździami. Pomiedzy gwoździami a podeszwą znalazłem kawałki kory, obejrzałem tę korę pod powiększającym szkłem. Nie ulega żadnej



wątpliwości, że to kora dębowa.

— W jakim sposobie wytłumaczysz wobec tego linę, oplątującą jego ciało?

Sok potrzaskał głową:

— Z tym samym skutkiem mógłbyś się mnie spytać, w jaki sposób Jetheroe wszedł w posiadanie rewolweru Johna Mandle'a.

Bob spojrział na niego zdumiony:

— Rewolweru? — powtórzył niedowierzająco.

— Tak. Przypominasz sobie zapewne, że na ścieżce znaleźliśmy rewolwer zgubiony przez Jetheroe. Zabrał ten rewolwer, gdy szedł na owo podejrzané spotkanie z nieznanym, który go zawezwał. Otóż Timmes twierdzi z całą stanowczością, że rewolwer ten był własnością jego pana. Należy przypuszczać chyba, że tej nocy, gdy zamordowano Mandle'a, Jetheroe znalazł ową broń, która wyslizgnęła się z kieszeni zamordowanego i przyniósł ją do domu. Przecież Gritt mówi, że Jetheroe oglądał jakąś broń przy blasku latarni. Opowiadał nawet, że oglądał ją dwukrotnie.

Stone pokiwał głową.

— To by się zgadzało — powiedział. — Oglądał dwukrotnie, gdyż broń ta była dla niego nowością.

— Oczywiście — zgodził się Sok. — Mimo, iż nie zdołałem jeszcze uczynić całkowitej rekonstrukcji zbrodni, wiem już, jaką drogą umknął nam zbrodniarz. Dróżka ta prowadzi do szosy. Gdybym zamiast jak szalenie przetrząsał krzaki, posłał Lexa do szosy, może by udało się nam go schwycić.

Stone kiwał głową.

— W każdym razie to tajemnicza sprawa. Diabelnie tajemnicza.

Tak rozmawiając dotarli do otwartej na rozcież bramy Białego Domu. Sokrates rzucił spojrzenie w głąb dziedzińca i nagle zatrzymał się.

— Co się stało? — spytał Bob.

W tejże chwili ukazała się na dziedzińcu jakaś zdyszana kobieta, pędząca ku nim co sił.

— To, zdaje się, gospodyni Jetheroego — powiedział Bob.

Kobieta podbiegła do nich bez tchu.

— Zobaczyłam panów przez okno i czym prędzej zbiegłam na dół, by panów zatrzymać. Panowie

prowadzą śledztwo w tej sprawie, czy tak?

— Tak — odparł Sok. — Co się stało? Czy pan Jetheroe wrócił?

— Nie — odparła zdyszana kobiecina — ale znalazłam w domu kilka dziwnych przedmiotów, które chciałabym panom pokazać.

Poszła przodem, Bob i Sok za nią.

— Już potraciliśmy wszyscy głowy po tym nieszczęściu — mówiła — ale ja powtarzam cały czas Tomaszowi - to służący pana Jetheroeego - że nasz pan z pewnością żyje.

— Czy słyszała pani coś o nim? — spytał Sok.

— Nie, nic nie słyszałam, proszę pana, ale jestem przekonana, że wkrótce już usłyszymy.

Weszła na pierwsze piętro i uroczystym ruchem otworzyła drzwi łazienki.

— Oto co znalazłam — powiedziała.

Na krześle leżały dwie czy trzy chustki do nosa, choć na pierwszy rzut oka nie wiadomo było, co to jest, gdyż pokryte były ciemną stwardniałą masą.

— Krew, powiedział Sok. — Gdzież pani to znalazła?

— Pod wanną, proszę pana. Sprzątałam tu dziś rano i znalazłam je wciśnięte pod wannę. Mogłabym przysiąc, że tydzień temu ich tam nie było. Pan Jetheroe wymagał zawsze bardzo dokładnego sprzątanía.

Sok w milczeniu przyglądał się zakrwawionym chustkom.

— Ale to jeszcze nie wszystko, co znalazłam — powiedziała kobieta tryumfująco. — Przypomniałam sobie, że pan Jetheroe miał w łazience podręczną apteczkę.

— Czy to ta? — spytał Bob, wskazując na białą skrzynkę, wiszącą na ścianie.

— Tak — odparła. — Zajrzałam dziś do tej szafki i oto, co w niej znalazłam.

Wyjęła zwitek bandażu i opatrunków.

— Od czasu, gdy robiłam tu ostatnio porządek, ktoś tu był i włożył te bandaże, w takim stanie... Pan Jetheroe był zawsze czysty i dokładny.

Sokrates oglądał uważnie plamy krwi i jodyny na opatrunkach.

— Po zrobieniu tego odkrycia — ciągnęła miss Howard — zrobiłam dokładne oględziny całej łazienki i

doszłam do wniosku, że ktoś używał tego pokoju do do obmywania swoich ran.

Sok pokiwał głową:

— Powinna pani być detektywem, miss Howard — powiedział z uśmiechem. — To, co mi pani mówi, nie ulega najmniejszej wątpliwości, prawda, Bob?

Bob zgodził się.

— Oczywiście, to jasne, że Jetheroe przyszedł tu, by obmyć i zabandażować swe rany.

— Ale czemu, wobec tego tu nie został? — pytał Sok. — Co skłoniło go do zniknięcia? Kiedy, pani sądzi, Jetheroe złożył w łazience potajemną wizytę? Czy ostatniej nocy?

Kobieta zawahała się.

— Mogło to być ostatniej, a mogło być i poprzedniej nocy — powiedziała. — Pan Jetheroe miał swój klucz od drzwi i nikt nigdy nie wiedział, kiedy wraca do domu. Gdyby owej nieszczęsnej nocy policja nie zbudziła nas o trzeciej nad ranem, nie mielibyśmy pojęcia o jego zniknięciu.

— Rozumiem — powiedział Sokrates. — Mogło się więc zdarzyć, że pomiędzy godziną, w której został

postrzelony, a ta, o której obudziła was policja, Jetheroe wpadł tu, obmył ranę i zniknął. Wszystko wskazywałoby na to.

Obejrzał raz jeszcze dokładnie apteczkę i wannę.

— Czy mogę zobaczyć sypialnię pana Jetheroe?  
— spytał.

— Właśnie chciałam prosić pana o oględziny. Nie zdążyłam sprawdzić nawet, czy nie brak jakichś ubrań pana Jetheroe w szafie.

Mr Jetheroe był systematyczny i porządny. Miał zwyczaj, według słów gospodyni, sam chować swoje rzeczy. W dużej szafie wisiały trzy, czy cztery ubrania. Jedno z nich było sportowym ubraniem. Sokrates obejrzał je pod światło.

— Oto ubranie, w którym go postrzelono — powiedział, wskazując krwawe plamy na ramieniu.  
— Teraz jestem pewien, że to Jetheroe tu był w nocy. Żyje i ukrywa się gdzieś.

— Ale gdzie? — spytał Bob.

Sok wzruszył ramionami.

— Równie dobrze mógłbyś się spytać dlaczego — odparł — ale mam nadzieję, że za parę dni będziemy

wiedzieli jedno i drugie. Dziękuję pani, Mrs Howard, ma pani bezsprzecznie zmysł detektywa. Do widzenia pani!

W kwadrans później Bob i Sokrates szli ścieżką ku Prince's Place. Szli w zupełnym milczeniu, nie zamieniwszy słowa od chwili, gdy opuścili Biały Dom. Pierwszy przemówił Sok:

— Ostatnie odkrycia uwolniły mnie od wielkiego niepokoju — powiedział.

Bob spojrział na niego ze zdziwieniem:

— Czyżbyś doprawdy był aż tak zmartwiony zniknięciem Jetheroego?

— W pewnym sensie tak. Choć zmartwiony nie jest tu określeniem na miejscu. Fakt, iż Jetheroe żyje uspokaja mnie o tyle, iż zabójca Johna Mandle'a będzie się z pewnością starał zabić najpierw Jetheroego, zanim zabierze się do mnie.

Bob spojrział na niego ze zdumieniem:

— Czy sądzisz, że jesteś w jakimś niebezpieczeństwie? — spytał powoli.

— Jestem tego pewien — odpowiedział tamten z powagą.

Lex przybył z dziewczyną wkrótce potem do Prince's Place.

Bob Stone przeznaczył dla Molly najpiękniejszy pokój w domu. Okna tego pokoju wychodziły na stary ogród, którego drzewa pamiętały rycerskie czasy Chequers.

Dziewczynę ucieszyły ogromnie ostatnie wiadomości. Była niemi jednocześnie uradowana i zasmucona.

— Nie rozumiem dlaczego nie został u siebie w domu — powiedziała. — To najdziwniejszy człowiek, jakiego znam, ale nigdy nie sądziłam, by mógł być aż tak tajemniczy. Czy sądzi pan, że on jest gdzieś w sąsiedztwie?

— Nie sądzę, aby był bardzo blisko — odparł Sok, przechadzając się z nią po lunchu po ogrodzie.

— Ale dlaczego się w ogóle ukrywa? — pytała dziewczyna. — Przecież nie zrobił nic złego, prawda?

— Nie, ostatnio nie zrobił nic złego — odparł Sokrates.

— Ostatnio? — powtórzyła ze zdziwieniem.

— Pan Jetheroe przeszedł w życiu bardzo wiele —



powiedział Sokrates, myśląc o tym, że kiedyś przyjdzie czas, gdy dziewczyna dowie się kim jest dla niej ten człowiek. — Ale trzeba pamiętać o tym, że każdy człowiek zmienia się co siedem lat. Może więc, obecny Jetheroe nie jest podobny do grzesznika, jakim był w czasach swej młodości. Powtarzam, że miał bardzo ciężkie życie i cierpiał niesprawiedliwie na skutek czyjejs podłości.

— Czy sądzi pan, że był on zamieszany w zabójstwo Mandle'a? — spytała, błędąc.

Potrząsnął głową.

— Nie ulega dla mnie wątpliwości, że jest całkowicie niewinny w sprawie tego morderstwa — powiedział — ale...

— Ale co? — powtórzyła.

— Ale otoczony jest tajemnicą, którą należy wyświecić.

— Czemu się ukrywa? Czego się obawia? — pytała.

— Obawia się, by się nie powtórzyły raz jeszcze wypadki przedostatniej nocy — odparł Sok z powagą — a teraz proszę nie łamać sobie ślicznej główki tymi

sprawami. Oto jest Lexington, który niewątpliwie potrafi opowiedzieć pani rzeczy bardziej interesujące niż ja.

W kwadrans później zatelefonowano z Londynu, iż w drodze do Prince's Place znajduje się wysłannik z londyńskiego Survey Bank z ważną wiadomością. Nie upłynęła nawet godzina, a wysłannik był już na miejscu.

— Przysłał mnie mój szef z London and Survey Bank, z filii w Lothbury.

— W jakiej sprawie?

— W banku naszym ma swoje konto pan Jetheroe...

— Chwileczkę...

Wprowadził gościa do jadalni.

— Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, przejdziemy do ogrodu. — powiedział Sok. — Dom pełen jest obcej służby, a nie chciałbym, by nas słyszało niepowołane ucho. Więc — ciągnął, gdy znaleźli się już w sadzie — mówił pan, że pan Jetheroe miał swoje konto w filii w Lothbury, banku London and Survey, czy tak?

— Tak, proszę pana — potwierdził urzędnik. —

Natychmiast potem, jak dowiedzieliśmy się o zniknięciu pana Jetheroego, zwróciliśmy uwagę na jego rachunek, ale było już za późno: godzinę przedtem podjął pięćset funtów ze swego konta.

Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd książeczkę czekową.

Sokrates obejrzał ją dokładnie. Podpis, nakreślony energicznym charakterem, był niewątpliwie ręki Jetheroego.

— Kto przedstawił ten czek?

— Kasjer mówi, że sam pan Jetheroe.

— Czy kasjer, zauważył w jego wyglądzie coś szczególnego?

— Tak. Miał zabandażowaną głowę, a na pytanie kasjera co mu się stało, odpowiedział, że spadł z motocykla... Kasjer dziwił się nawet, że taki niemłody pan, jak pan Jetheroe, jeździ motocyklem.

— Czy nie mówił dokąd się udaje?

— Nie. Powiedział tylko, że wkrótce będzie musiał podjąć jeszcze parę czeków, ale nie uczyni tego osobiście.

— Czy wolno mi spytać, jaką sumę posiada

jeszcze pan Jetheroe na rachunku bankowym?

— Mój szef przewidział, że pan będzie o to pytał i dał mi dokładny wykaz. Posiada on przeszło cztery tysiące funtów gotówką i wielką ilość deponowanych u nas papierów wartościowych. Przed sześciu laty odziedziczył po swej ciotce dużą sumę pieniędzy i wówczas zdeponował ją w naszym banku. Prowadzimy jego interesy, odbieramy dywidendy, słowem, jesteśmy jego przedstawicielami, gdy przebywa za granicą. Mój szef, przeczytawszy wiadomości o panu Jetheroem, zaniepokoił się ogromnie, dał znać do Scotland Yardu, a stamtąd przysłano mnie do pana.

— Dziękuję panu — powiedział Sokrates zamyślony. — Wiedziałem, że Jetheroe żyje. Miałem nawet na to dziś dowód. Kiedy czek został zrealizowany?

— Wczoraj rano koło wpół do dwunastej, a ze względu na dopisek na czeku...

— Na dopisek? — spytał Sokrates ze zdziwieniem. — O czym pan mówi?

— O, Boże, zapomniałem panu o tym powiedzieć!  
— odparł urzędnik zakłopotany. — Z drugiej strony

czeku pan Jetheroe coś napisał.

Napis zrobiony był ołówkiem i nieco zamazany.  
Sokrates wziął czek pod światło i przeczytał:

Do S.S. Proszę nie opuszczać Molly. J.

## ROZDZIAŁ XVI TRON MARMUROWY

Nie ulegało wątpliwości, że dopisek skierowany był do Smitha. Jetheroe przewidział, że czek powędruje przez Scotland Yard do niego.

— Do S. S. Proszę nie opuszczać Molly. J. — przeczytał raz jeszcze.

Więc dziewczyna była w niebezpieczeństwie i Jetheroe o tym wiedział.

— Kasjer nie zauważył tego dopisku na czeku — mówił urzędnik. — Dopiero potem, gdy czek powędrował do innego wydziału, zwrócono uwagę na ten napis.

A więc Jetheroe miał zamiar ukrywać się w dalszym ciągu, skoro polecał Molly opiece detektywa.

Sok Smith odwiózł urzędnika na stację kolei jednym z samochodów Boba i wrócił do Prince's Place na obiad. Bob wiedział, że ktoś odwiedził Smitha, ale

detektyw nie mówił ani jemu, ani Lexowi, kto to był i co mu opowiedział.

Bob Stone, widząc jego zamyślenie, sądził, iż myśli on o odkryciu uczynionym rano w łazience Białego Domu. Mimo iż Sokrates był zajęty myślami, nie uszło jego uwadze, że Bob zmienił swoje zachowanie w stosunku do Molly i Lexingtona. Widocznie jako mądry człowiek rozumiał, że los złączył tych dwoje i doszedł do wniosku, że lepiej pogodzić się z faktem.

— Przeżyliśmy trzy przykre dni — powiedział Bob, gdy rozstawali się, udając się na spoczynek.

— Trzy dni? — zdziwił się Sok. — Mnie się wydaje, że to trzy lata.

— Rozmawiałem dziś wieczorem z Molly o Leśniczówce — powiedział Bob. — Postanowiła odbudować dom, a potem sprzedać go. Zbyt wiele łączy ją z tym domem przykrych wspomnień, by mogła tam mieszkać. Zgadzam się zresztą z nią w zupełności.

— Spodziewam się, że nie rozpoczną tam robót, dopóki nie skończę na miejscu koniecznych dla sprawy poszukiwań — powiedział Sok.

— Czy doprawdy spodziewasz się znaleźć coś w

tych gruzach? — spytał Bob.

— Tak. Już od rana pracuje na pogorzeliśku trzech ludzi. Jeden z nich to najlepszy specjalista w swoim fachu przysłany mi z Londynu.

— Widziałem na pogorzeliśku paru ludzi — odparł Bob — ale nie sądziłem, że pracują dla ciebie. Ja osobiście sądzę, że to daremny trud.

— Być może — odparł krótko Sok — ale mimo to, muszę przeprowadzić te roboty.

Nazajutrz rano udał się do Leśniczówki, ale strażacy nie mogli powiedzieć mu jeszcze nic pomyslnego.

— Jeszcze nigdy nie widziałem tak doszczętnego zniszczenia — powiedział kierownik robót.

— A w szczątkach biurka?

— Kazałem przesiać te szczątki przez sito i również nic nie znalazłem. Był pan tu też wczoraj wieczorem spojrzeć na roboty, prawda?

— Ja? — zdziwił się Sok. — Nie, nie byłem nawet w tej okolicy.

— Jeden z naszych ludzi widział postać, krążącą po pogorzeliśku z latarką elektryczną. Byłem więc



pewien, że to pan.

— Która to była godzina? — spytał szybko Sok.

— Wkrótce po zachodzie słońca — odparł strażak. — Robotnik, który to widział, mieszka w miasteczku przy szosie. Po drodze do domu wstąpił do oberży w Chequers, gdy wyszedł stamtąd musiało być najdalej wpół do dziesiątej, gdyż o tej porze oberżę zamykają. Wówczas to widział z daleka jakiegoś człowieka z latarką na pogorzelsku, ale tak był pewien, że to pan, że nawet się tam nie zbliżał. Kiedy mi to rano opowiedział, także myślałem, że to był pan.

Sokrates Smith milczał przez chwilę.

— Trzeba — rzekł w końcu — by pan zawsze na noc zostawiał jakiegoś człowieka na straży. A poza tym już dawno chciałem panu powiedzieć: nie trzeba pozwalać robotnikom na to, by jadali śniadania w altanie w ogrodzie. Widziałem wczoraj, że to robią.

Strażak pokiwał głową.

— Zabroniłem im już. To prawdziwie artystyczna budowla.

Szli ścieżką, wiodącą do altany.

— Marmur, z którego wykute są stół i fotel, jest

drogocenny i rzadki — mówił Sok. — Szkoda więc go niszczyć.

Zbliżyli się do wejścia, gdy z ust Soka wydarło się przekleństwo.

— Znowu tu ktoś był — zawołał. — Proszę popatrzeć.

Stół pochylony był na jeden bok i pęknięty na dwoje, a wspaniałe marmurowe fotele, „tron”, jak go nazwała Molly, strącony był ze swej podstawy.

— Tego już doprawdy za wiele — powiedział Sok.

— Moi ludzie nic zrobiliby tego nigdy w życiu, powiedział kierownik robót, zbliżając się do stołu.

Nagle krzyknął:

— Proszę, niech pan tu spojrzy, panie Smith!

Podstawa tronu, która zdawała się być solidna, była wydrążona, wewnątrz znajdowała się szkatułka. Szkatułka była otwarta, wszystko z niej wyjęto z wyjątkiem jednej karteczki, którą spłoszony złoczyńca musiał w pośpiechu zostawić.

Sokrates podniósł karteczkę do światła. Była zapisana dobrze mu znanym charakterem pisma Johna

Mandle'a.

Sprawozdanie Johna Mandle'a eks-inspektora policji państwowej o wypadkach, które miały miejsce w Pool-in-the-Moor, 27 lutego 1903 roku

Sokrates przeszukał szybko całą altanę, ale nie znalazł ani śladu innego papierka. Gość, który przybył tu ubiegłej nocy świetnie spełnił swoje zadanie.

Więc istniało takie sprawozdanie, ale w czyich było rękach?

Zawołano robotników i polecono im przymocować z powrotem fotel do podstawy. Okazało się, że uszkodzanie go było zupełnie zbyteczne, gdyż otwierał się łatwo za pomocą najłżejszego ruchu.

Sokrates po powrocie nie zastał Boba w domu. Był on na fermie oddalonej o dziesięć kilometrów i płacił tam robotnikom.

Lex natomiast w cieniu drzewa parkowego zajęty był ważną czynnością motania włóczki dla Molly.

Sok odwołał go do pokoju.

— Wybacz, że ci przeszkadzam — powiedział —

ale zrobiłem przed chwilą ważne odkrycie, znalazłem tajną skrytkę, gdzie John Mandle ukrywał dokumenty.

— Czyś znalazł i dokumenty? — spytał Lex.

— Jedną karteczkę. Przeczytaj to i powiedz mi, co sądzisz.

Lex przeczytał.

— To oczywiście karta tytułowa. Czy sądzisz, że i reszta znajdowała się w tejże skrytce?

Sok pokiwał głową.

— Ktoś, kto miał ważne powody do zniszczenia tego dokumentu, zdążył go niestety usunąć. Ten sam ktoś, kto podpalił Leśniczówkę. Na sumieniu Johna Mandle'a musiał ciążyć jakiś grzech, jeszcze cięższy od tego, że zmusił matkę Molly do popełnienia bigamii. Ten to tajemniczy grzech był zapewne przyczyną jego nieustających wyrzutów sumienia. Ktoś postronny musiał znać jego tajemnicę i przed tym to człowiekiem zabezpieczał się tak nieustannie. Dokument zaś ukrył w altanie i według słów Molly spędzał tam długie godziny.

— Więc sądzisz — powiedział Lex po chwili namysłu — że to ten wtajemniczony chodził ubiegłej nocy po pogorzeliśku? A może to był po prostu Bob? I

on przecież interesuje się tą sprawą.

— Boba za mało to obchodzi. A zresztą Bob był ze mną cały wieczór od obiadu do północy, a nieznanego widziano o wpół do dziesiątej z latarką.

— A Jetheroe? — rzekł Lex. — Może to był Jetheroe?

— Możliwe — odparł krótko Sok.

— Gdyby to był Jetheroe i gdyby w jego interesie leżało zniszczenie tego dokumentu, musiałby on być zabójcą Mandle'a.

— Niekoniecznie — rzekł wymijająco Sok. — Wiesz — dodał, zmieniając temat — przyjąłem nowego służącego.

— Chyba nie odprawiłeś Septimusa? (Stary Septimus był w służbie Soka od wielu już lat.)

— Nie. Ale nie mogłem sprowadzić Septimusa tutaj. Nie znosi nowych miejsc i nowych ludzi i nie wiem, czy oddalił się kiedy bodaj o dwa kilometry od Regent's Parku. Przyjąłem więc Franka.

— Któż to znowu, u diabła, Frank?

— Frank jest wzorem służącego. Jest to człowiek wykształcony, był sekretarzem dwu pomocników

komisarza. Sam wygląda jak komisarz — powiedział Sokrates ze śmiechem.

— Słowem to rodzaj detektywa — powiedział Lex.

— Mówiąc po prostu, to wywiadowca — powiedział Sok. — Potrzebny mi jest do tego, by krążyć koło domu.

— Nie wiem, czy Bob będzie z tego zadowolony.

— Bob nie będzie o niczym wiedział, a ja otrzymałem tego rodzaju instrukcje (miał na myśli dopisek na czeku), że muszę za wszelką cenę zapewnić bezpieczeństwo Molly. Bob zaś, swoimi środkami tego bezpieczeństwa jej nie zapewni. Ty znowu jesteś zbyt w dziewczynie zakochany, byś mógł na trzeźwo o niej i jej bezpieczeństwie myśleć. Tę rolę spełni znakomicie tylko Frank.

— Oczywiście, skoro uważasz, że ja nie potrafię opiekować się dostatecznie Molly... — zaczął obrażonym tonem Lexington.

— Nie chodzi o to, co potrafisz — odparł surowo Sok. — Musi tu być ktoś zaufany przy Molly na wypadek twego wyjazdu. Nie będę dalej przed tobą

ukrywał: muszę jechać do Devonshire do folwarku, zwanego Pool-in-the-Moor, a ciebie muszę zabrać ze sobą.

— Teraz rozumiem dopiero, po co zawezwałeś Franka — rzekł Lex.

— Tak; i mogę cię uspokoić, że Frank jest zaręczony ze śliczną dziewczyną, miss Staines, nie masz się więc potrzeby obawiać, że odbije ci twoją damę

Frank przyjechał po południu. Wyglądał bardzo pocziwie i znakomicie grał rolę służącego: wyczyścił obuwie i ubranie i udał się do pokoju dla służby.

— Chyba me gniewasz się na mnie, że sprowadziłem sobie tu służącego, Bob? — spytał Sokrates.

— Ani trochę, ale co się stało z tym pocziwym staruszkim, który służył ci tak wiernie w Regent's Parku?

— Septimus nie lubi podróżować, a zresztą tego służącego przyjąłem raczej dla Lexingtona.

Bob pokiwał głową.

— A teraz chodźmy do mego gabinetu — powiedział.

— No i cóż to za ważne zrobiłeś odkrycie? — spytał, gdy zostali sami.

Sokrates opowiedział, co znalazł w altanie.

— A więc chował swe tajemnice w marmurowym fotelu, co? — spytał powoli i jak gdyby z namysłem Bob. — Cóż to był za skryty człowiek! Jaki skryty! Czy masz pojęcie o tym, co zawierał ów zaginiony dokument?

— W każdym razie coś okropnego. Teraz będę się starał dojść co robił Mandle 27 lutego 1903 roku.

— Będę ci mógł być w tym pomocny — rzekł Bob, zbliżając się do szafki, stojącej w rogu pokoju. — W roku 1903 pracowałem razem z Mandle'm i wiem co robił w tym czasie, choć nie prowadziłem dziennika. Biedna Molly — dorzucił z uśmiechem — nie odzyskała swego pamiętnika, co?

Sok potrzęsnał głową.

Bob sięgnął do szafki i mówił dalej:

— Mam tu rok po roku prowadzone notatki z ważniejszych naszych spraw. Zaraz.. oto 1903 — przewracał szybko kartki. — 27 luty, to był piątek. Byłem wówczas w Cardiff w sprawie śledztwa



Deveroux. Pamiętam robiłem poszukiwania na statku, jadącym do Bilbao.

— Czy Mandle był z tobą razem? — spytał Sok ze zdziwieniem.

— Tak. Oto notatka: Poszukiwania wraz z Mandle'm na parowcu „Antrim”. Ani śladu Deveroux'a. Wracamy do Londynu. Pamiętam wróciliśmy wówczas w niedzielę.

— Wobec tego, jeśli w owym dniu stało się coś w Pool-in-the-Moor, Mandle nie był przy tym obecny, tylko dowiedział się o wszystkim potem — rzekł Sok.

— Oczywiście — potwierdził Bob. — Ale gdzie jest to Pool-in-the-Moor? Wygląda mi na Devonshire.

— Tak. To folwark, leżący przy szosie wiodącej do Ashburtonu, należący do jakiegoś Francuza. O ile mi wiadomo, nikt tam na stałe nie mieszka.

— Czemu chcesz tam jechać? — spytał Bob.

— Mam w tym swoje powody — rzekł Sok.  
— Zabiorę też ze sobą Lexa. Czy Mandle nigdy nie mówił ci o tej miejscowości?

— Nie. A czy wiesz, co ja sądzę o Mandle'u?

— Nie.

— Że był obłąkany.

— Obłąkany?

— Tak. Miał wyraźną manię prześladowczą, jestem pewien, że nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo i że te wszystkie pułapki, dzwonki alarmowe i inne środki bezpieczeństwa były rezultatem jego choroby.

— Okazało się jednak, że miał powody do obawy — rzekł zgryźliwie Sok.

— To, że go zamordowano? To jeszcze niczego nie dowodzi. Czyż nie mogło się zdarzyć, że zamordowano go przypadkiem, a nie ta osoba, myślę: ta urojona osoba, której się obawiał? Mandle jeździł często autem po Devonshire, lubił ogromnie tę prowincję. Jest więc zupełnie możliwe, że natrafiwszy tam na folwark Pool-in-the-Moor przywiązał do niego jakąś urojoną romantyczną treść.

— Nie twierdzę bynajmniej, że twoje przypuszczenia są fałszywe, ale mimo to pojedę sam zobaczyć ów tajemniczy folwark — powiedział stanowczo Sok.

— I zapewne wrócisz bardzo rozczarowany —

odparł Bob. — Biedny Mandle robi nam więcej kłopotu po śmierci niż za życia.

— Jak sądzisz, czy Frank nie mógłby spać w moim saloniku? — spytał Sokrates. — Mam tam parę przedmiotów będących ważnymi dowodami dla sprawy i chciałbym, by Frank ich pilnował.

— Mógłbyś dać mi je do kasetki ogniotrwalej, ale jak wolisz, Frank wygląda na poczciwego chłopaka, choć nie ma pojęcia o czyszczeniu butów. — To mówiąc, Bob patrzył na nogi Soka.

W parę minut później Sok mówił do Franka:

— Weldon, nie umie pan czyścić butów, Bob Stone to spostrzegł.

— Pan wybaczy, panie Smith, ale czyszczenie butów było zawsze moim słabym punktem, postaram się nauczyć, gdy wrócę do miasta.

— Będzie pan spał tutaj — powiedział Sok, otwierając drzwi do saloniku. — Tu obok jest pokój miss Templeton. Niech pan stara się jak najwięcej spać w dzień, by móc czuwać nad jej bezpieczeństwem w nocy.

Frank pokiwał głową.

— Czy spodziewa się pan jakiegoś napadu na tę młodą damę? — spytał.

— Sądzę, że nastąpi on z całą pewnością — powiedział Sok z powagą.

## ROZDZIAŁ XVII

### POOL-IN-THE-MOOR

Nazajutrz wczesnym rankiem Sok opuścił w towarzystwie Lexa Prince's Place; Molly odwiozła ich autem na dworzec.

Po uciążliwej podróży przybyli późnym wieczorem do Exeteru i byli obaj tak znużeni, że nie mogli myśleć o niczym innym jak o wygodnych łózkach w hotelu Pod Koroną. Przed udaniem się na spoczynek Sokrates połączył się jeszcze telefonicznie z domem Boba i miał szczęście rozmawiać z Molly. Lex, ku swej szczerzej rozpaczy, dowiedział się o tym dopiero po rozmowie.

Otrzymawszy nazajutrz rano szczegółowe informacje co do położenia folwarku Pool-in-the-Moor, Sok wyruszył po wczesnym śniadaniu samochodem w drogę.

Przez Dartmoor i Ashburton dostali się w okolicę o gruncie bagnistym

— To musi być tutaj — powiedział Sok, zaglądając do listu z informacjami, który otrzymał od agenta. I wskazując na dom w oddali, dodał:

— Zapewne ten dom.

— Czy to drzewa naokoło domu? — spytał Sokrates szofera, wskazując mu ciemną masę wokół budynku.

— Nie, panie, to mur, okalający dom — odpowiedział szofer.

— Porządnie wysoki mur — rzekł Sok.

— O, tak — odparł szofer ze śmiechem — właściciel folwarku polecił go wznieść pewnemu budowniczemu z Ashburtonu. Mówią, że mur kosztował go więcej niż cała ferma jest warta. Tu w okolicy nazywają to miejsce Szaleństwem Francuza.

Gdy podjechali bliżej, mur okazał się tak wysoki, że zasłaniał cały dom. Sam domek był niewielki i posiadał naokoło małeńki kawałek terenu.

— To mały folwarczek — zauważył Sok.

— To raczej willa nie folwarczek — potwierdził szofer. — O kwadrans drogi stąd znajduje się źródelko i strumyczek, jest to jedyna woda w okolicy.

Wysiedli z auta i obeszlí wokół folwarczek. Mur wznosił się na wysokość czternastu stóp i zakończony był żelaznymi kolcami oraz tłuczonym szkłem. W murze znajdowały się jedne tylko drzwi z solidnego dębowego drzewa.

— A teraz wejdźmy do środka — powiedział Sok.

Wydobył z kieszeni wielki zardzewiały klucz i włożył do zamka. Klucz zrazu nie chciał się przekręcić, dopiero gdy naoliwiono go, zgrzytnął przeraźliwie, poruszył się i ciężkie drzwi obróciły się na swych zawiasach. Ale tu okazała się nowa trudność: u wejścia do ogrodu wyrósł gęsty krzak, zasłaniający dostęp.

— Przynieś od szofera siekiere, którą kupiłem w Exeter — powiedział Sok.

Lex przyniósł siekiere, i po paru chwilach krzak został zrąbany.

Znajdowali się teraz na miejscu, które dawniej było ogrodem, a dziś zapuszczonym, porośłym chwastem zakątkiem. Dom był rzeczywiście niewielką willą, okna jej były zabite, całość robiła przykre wrażenie opuszczenia i zdziczenia.

— Sądzę, że odłożymy na później przetrząsanie

ogrodu — rzekł Sok — a teraz pójdziemy do domu.

Drugi wydobyty z kieszeni klucz otworzył z łatwością drzwi wejściowe.

Weszli do dość obszernego hallu. Gruba warstwa kurzu pokrywała dębowy stół i skupione wokół niego krzesła. Prócz tych mebli znajdowała się tam jedynie lampa pokryta siecią pajęczyn. Z hallu prowadziło dwoje drzwi w głąb mieszkania: jedno na prawo, drugie na lewo. Drzwi z lewej strony nie były zaryglowane i Sokrates tam skierował właśnie swe kroki.

Po otwarciu drzwi rozległy się za nimi dziwne szelesty i piski.

— Sądzę, że to myszy — powiedział Sok.  
— Szczury nie lubią błotnistych okolic.

Wyjął kieszonkową latarkę i świecąc nią sobie, podszedł do okiennic, które otworzył na oścież.

Wówczas dopiero ujrzeli pokój. Dywan był na pół zjedzony przez liczne pokolenia myszy, które tu miały swe gniazda, a meble i obrazy pokryte były tak grubą warstwą kurzu i pajęczyn, że nie sposób było rozróżnić, jak wyglądają.

— Chodźmy dalej — zakomenderował Sok.



Następny pokój był obszerniejszy od pierwszego. Na środku znajdował się stół, na którym pod warstwą pyłu odróżnić było można nakrycie do jakiegoś posiłku, na stole widać było wyraźnie jakiś owalny przedmiot. Sokrates wziął ten przedmiot do ręki.

— Cygaro — powiedział. — Przypaliło z lekka stół.

Rzeczywiście, można było z łatwością odróżnić ślad po palącym się cygarze na brzegu stołu.

Sok uważnie oglądał cygaro. Było ono cienkie, nie z tego gatunku, którego używają w Anglii. Krzesło było w ten sposób odsunięte, jak gdyby ten, kto na nim siedział, odsunął je gwałtownie, rzucając cygaro jednocześnie na stół.

— Postaram się znaleźć szczotkę do zamiatania — powiedział Sok i wyszedł z pokoju.

Po chwili wrócił z miotłą.

— Otwórz okno, Lex. Wymiotę choć trochę tego kurzu!

Ale ledwo rozpoczął robotę, zatrzymał się z okrzykiem:

— Patrz, Lex! Krew!

Na podłodze z pod warstwy kurzu ukazały się ciemne plamy.

— Krew? Czy jesteś tego pewien?

— Za parę minut przekonam się na pewno — odpowiedział Sok.

Za pomocą szkła powiększającego obejrzał plamę i pokiwał głową.

— Miałem rację, to krew. Ale czyja krew? Oto pytanie.

W paru jeszcze miejscach podłogi i na dywaniku przed kominkiem znajdowały się podobne ślady. Sok odskrobał parę takich plam scyzorykiem i wsypał to, co osiadło na scyzoryku, do koperty.

— Patrz — mówił — ślady kiwi prowadzą aż do drzwi, sądzę że znajdziemy dalszy ich ciąg w hallu.

Wyszedł na dwór i po drodze przekonał się, że ślady istotnie prowadzą do ogrodu.

Wrócili do jadalni i tu Sok zabierał się do dalszych poszukiwań, gdy przypadkowo spojrzął na sufit nad stołem.

— Co to jest? — zawołał.

W suficie nad stołem widoczny był dość duży

otwór. Sokrates wszedł na stół i za pomocą noża zaczął badać otwór.

— Poświęć mi, Lex, muszę powiększyć tę dziurkę — powiedział.

Chwilę pracował w milczeniu.

— Mam to, czego szukałem — rzekł wreszcie i wydłubał z otworu metalową bryłkę.

— Co to jest? — spytał Lex.

— Kula, i to kula, która zanim się tu dostała, przeszła przez ciało ludzkie.

Lex patrzył na brata, pełen przerażenia.

— Więc sądzisz, że tu miało miejsce jakieś morderstwo? — spytał cichym głosem.

— Tak mi się wydaje. Albo morderstwo, albo...

— Albo?

— Albo usiłowanie morderstwa — odparł wymijająco Sokrates.

Włożył kulę do pudełka od zapalek i udał się wraz z bratem na piętro.

Znajdowały się tam dwie sypialnie, w każdej z nich było łóżko, ale łóżka te nie zawierały wcale pościeli. Szafa stojąca w jednym z pokoiów również była pusta,

tak jak stojący obok jednego z łóżek skórzany kufer. Kufer ten zresztą wskazywał swoim wyglądem na wizytę, jaką złożyli temu domowi włamywacze, gdyż wieko jego wyrwane było siłą a zamek wyważony.

— Hm — mruknął Sok. — Ludzie, wyjeżdżając, nie mają zwyczaju zabierać rzeczy bez kufrów. Może znajdziemy więcej wskazówek w kuchni.

Kuchnia znajdowała się w tyle domu, była to obszerna izba z na glucho zamkniętymi okiennicami. Musieli zużyć dobre pół godziny, zanim zdołali odbić okiennice i wpuścić do kuchni nieco światła. Pierwszym przedmiotem, który się rzucił w oczy Sokowi, był komin, był on bardzo duży, staroświeckiego kształtu, zaopatrzony w mosiężne sztaby i wypełniony popiołem. Popiół unosił się w powietrzu wraz z pyłem, tworząc nad ich głowami prawdziwą chmurę.

Obok komina stała skrzynia z węglem i porąbanym drewnem. Sok wyjął jedną ze szczap ze skrzyni i powąchał.

— Parafina — powiedział. — Komuś zależało na rozpaleniu porządnego ogniska.

Wrócili następnie do jadalni i tu Sok skierował

natychmiast swe kroki do kominka. Teraz dopiero stwierdził, że i kominek pełen był popiołu. Przy pomocy szczypiec grzebał tak długo w popiele, aż wydobył coś istotnie ciekawego: był to skrawek błękitnego papieru, który dostawszy się widocznie między cegły kominka cudem uniknął spalenia.

— Patrz, Lex, patrz! — zawołał Sok z zapalem, którego prawdę powiedziawszy młodszy brat nie mógł dobrze zrozumieć. — Co sądzisz o tym papierku? — spytał Sok, podając mu zdobycz i powiększające szkło.

— Jakaś kartka — odparł Lex, oddając mu ją.

— A ja ci powiadam, że to kawałek oderwany z banknotu, nie wiem tylko czy stu-, czy też tysiąc frankowego. Pod światło zobaczyć można wyraźnie znak wodny.

— Banknot? — spytał niedowierzająco Lex. — Któżby palił pieniądze?

— Zapewne ktoś, kto miał pieniądze na spalenie — brzmiała kwaśna odpowiedź. — Ale nie mamy już tu czego szukać, gdyż brak nam do tego potrzebnych narzędzi. Chodźmy do hotelu się wykapać. Chyba się nam to należy.

Musieli doprawdy wyglądać szczególnie, gdyż szofer, który ich oczekiwał, otworzył szeroko oczy ze zdumienia, mówiąc:

— Panowie się nieco zakurzyli.

— O, tak i nawet wynieśliśmy nieco tego kurzu ze sobą na drogę.

— Panowie chcą kupić folwark? — pytał w drodze szofer, nie mając wyobrażenia o tym, jaki był cel przybycia nieznajomych.

— Prawdopodobnie — odparł Sok. — Może zna pan jakiego dobrego ogrodnika, któryby doprowadził do jakiegoś możliwego stanu ogród?

— Mógłbym się sam tym zająć, proszę pana. Mieszkam w Ashburtonie i będę miał teraz miesiąc urlopu z mojej służby.

Plan ten przypadł ogromnie do smaku Sokratesowi: nie chciał on bowiem, by zbyt wielka ilość ludzi wiedziała o jego wizytach w folwarku. Szofer wzbudzał w nim swym wyglądem i zachowaniem pełne zaufanie.

— Przyślę panu klucz od furty ogrodowej — powiedział Sok do szofera — ale pod żadnym pozorem nie wolno panu wchodzić do wnętrza domu.

Przed odejściem zamknęli z powrotem okiennice.

— Nie mam potrzeby wchodzić do domu, proszę pana — powiedział szofer. — I tak będę miał dość roboty w ogrodzie.

— Niech pan nie sądzi, że każę panu hodować w ogrodzie kwiaty — rzekł Sok. — Chodzi mi po prostu o wyrabianie zbyt wielu krzaków i wypalenie zielska, a także o to, by uważnie przeszukać, czy nie znajdzie się coś w trawie.

W godzinę potem, wychodząc z łazienki odświeżony, Sok powiedział:

— Uważam za wcale niezły pomysł zaangażowanie tego szofera na ogrodnika. Gdybym zaczął sprowadzać ludzi do roboty z miasta, zaczęto by o tym gadać wiele niepotrzebnych rzeczy. A tak będą nas uważali w dalszym ciągu za reflektantów na kupno tego folwarku.

— Co spodziewasz się znaleźć w domu i ogrodzie? — spytał Lex.

— Niewiele — powiedział Sok — ale kto wie...

— Czy domyślasz się już co mogło się tam stać?

— Mam dwa przypuszczenia, a nawet trzy, prawdę mówiąc... — odparł Sok spokojnie. —

Najwidoczniej człowiekiem, który został zabity w tym domu był Deveroux, bandyta, który obrabował bank Lyoński, a zabójcą jego, sędzę, że był Mandle.



## ROZDZIAŁ XVIII

### MOLLY ZNOWU ZNIKA!

— Zabił go Mandle? — powtórzył Lex powątpiewającym tonem. — Ależ ten człowiek uciekł przecież do Ameryki Południowej?

— I to jest możliwe — rzekł spokojnie Sok. — Nie zapominaj, mój drogi o tym, że ja operuję jedynie przypuszczeniami.

— Ależ Bob Stone twierdzi, że tego dnia był z Mandle'em w Cardiff.

— Tak, był z nim tam może 17 lutego, ale przecież Deveroux mógł być zabity i po tej dacie, prawda? Bob może odpowiadać za to, co robił wówczas Mandle, tylko do chwili, gdy przybyli razem do Londynu, to jest, wedle jego słów, do niedzieli. Po tym terminie, o ile sobie przypominasz, co nam mówił, Stone udał się na miesięczny urlop do Szwajcarii. Sądzę, że ten wyjazd jego był wynikiem niezadowolenia ich szefa z tego, że

dali umknąć takiemu przestępcy, jak Deveroux. Bob skorzystał z okazji, by wyjechać zagranicę.

— Dobrze, ale co się stało 17 lutego? — nalegał Lex.

— To właśnie należy odkryć — brzmiała odpowiedź.

Ruszyli w powrotną drogę, zatrzymawszy się na noc w Londynie. Nazajutrz rano wyruszyli wcześniej dalej, tym wcześniej, że Lex niepokoił się, iż nie uzyskał z Londynu telefonicznego połączenia z Hindhead. Linia była wciąż zajęta, a gdy się zwolniła, powiedziano mu w Haslemere, że w Prince's Place nikt nie zgłasza się do aparatu.

— Czy opowiesz Bobowi o twoich odkryciach? — spytał Lex brata.

— Nie — odparł niespodziewanie Sok. — W takich wypadkach, jak ten, należy się zawsze obawiać zbyt dużej ilości informacji, a Bob z pewnością zacząłby mi pomagać informacjami.

— Nie bardzo rozumiem, o co chodzi — mruknął Lexington.

— Zaraz ci wytłumaczę — rzekł Sok ze śmiechem.

— Gdybym powiedział Bobowi, iż Mandle zabił tego człowieka, Bob zacząłby mi natychmiast dowodzić, że tak nie jest i pomieszałby mi tylko moją planową robotę...

— Więc co mu powiesz?

— Powiem mu, że znalazłem zapuszczony, zapyłony stary dom, a w nim nic godnego uwagi. Będę miał czas opowiedzieć mu wszystko, gdy będę miał dowody, że John Mandle popełnił zbrodnię w Pool-in-the-Moor. A gdy zdobędę te dowody, będę miał w ręku człowieka, który w nocy 3 czerwca zastrzelił Johna Mandle'a.

Gdy zajechali przed dom, zastali Boba siedzącego na tarasie z cygarem w zębach.

— Jak się macie? — zawołał serdecznie. — Już z powrotem? Jakież zdobycze?

— Niewielkie — odparł Sok.

Bob zajrzał w głąb samochodu:

— Nie przywieźliście z powrotem Molly?

— Molly? Z powrotem? — powtórzył Sok szybko. — Nie rozumiem, co mówisz!

— Wczoraj po południu wyjechała do miasta —

powiedział Bob, a słowa jego wywarły piorunujące wrażenie na obu braciach. — Prosiła mnie, bym ją odwiózł na pociąg odchodzący o trzeciej piętnaście, ale było już trochę późno, więc pojechaliśmy samochodem aż do Guilford, by dogonić pociąg.

— Czy zabrała ze sobą jakiś bagaż? — pytał Sok.

— Tyko neser. Ale dlaczego jesteś taki niespokojny? Czyżby stało się coś złego?

— Nie, nic — odparł Sok zmienionym głosem. — Tylko obiecała mi, że nie wyjedzie stąd przed naszym powrotem.

— To dziwne — rzekł Bob — miałem wrażenie, że wiecie o jej wyjeździe...

— Czy nie mówiła dokąd jedzie? Nie zostawiła żadnego adresu?

Bob potrząsnął głową.

— Nie chciałem jej zadawać żadnych pytań, by jej nie krępować — odparł.

Sokrates wściekły wpadł do pokoju. Frank zajęty był tam czyszczeniem ubrania.

— Frank — powiedział cicho, — co się stało z miss Templeton?

— To samo pytanie zadaję sobie dziś od rana — odparł Frank. — Wczoraj po południu położyłem się spać i nie wiedziałem nic o tym, że wyjechała, aż do wpół do szóstej, kiedy to służąca przyniosła mi filiżankę herbaty. Ale i ona nie umiała mi nic więcej powiedzieć, prócz tego, że miss Molly wyjechała do miasta.

— Czy miss Templeton nic nie mówiła panu, że ma zamiar wyjechać?

Frank potrząsnął głową przecząco:

— Nie. Rozmawiałem z nią tegoż dnia rano. Przyniosłem jej do biblioteki książkę; pytała mnie, czy nie miałem od panów żadnej wiadomości; powiedziałem, że nie, wówczas prosiła mnie jeszcze bym jej przybił gwóźdź sterczący w jej balowym pantofelku.

— I nic nie wspomniała o tym, że tego dnia wybiera się do miasta?

— Nie, przeciwnie, mówiła wyraźnie, że czeka na pański powrót. Kiedy wychodziłem z pokoju, słyszałem dzwonek telefonu, ale już potem miss Molly nie widziałem.

Bracia zamienili między sobą szybkie spojrzenia.

Lex był śmiertelnie blady, Sok poklepał go pocieszająco po ramieniu.

— Prawdopodobnie ktoś zawezwał ją telefonicznie do miasta — powiedział. — Może to był jej adwokat. Zresztą dam natychmiast znać do Scotland Yardu, musimy ją odnaleźć.

— Nie mogę sobie darować, że nie zdołał jej upilnować — jęknął Frank.

— Któż mógł coś podobnego przewidzieć? — rzekł Sok. — Spełniał pan wszystkie moje instrukcje, mnie samemu nie przyszło do głowy, że mogą ją wykraść w jasny dzień.

— Czy sądzisz... — zaczął Lex.

— Sądzę — przerwał mu brat — że to sprawa bardzo poważna. Pierwsze zniknięcie było głupstwem, to zaś niepokoi mnie prawdziwie.

Zjawił się Bob.

— Czy odprowadziłeś ją aż na peron? — spytał Sok — czy też pożegnałeś u wejścia na stację?

— Zostawiłem ją w poczekalni — odparł Bob. — Ach, jakież ze mnie głupiec! Dlaczegoż nie spytałem jej...

— Mniejsza o to. Już się stało — przerwał Sok

nerwowo. — Sądzę — rozumował dalej — że wypytywanie personelu stacyjnego nie doprowadzi do niczego. Guilford jest stacją tak ożywioną, że przewija się przez nią co najmniej pięć tysięcy osób dziennie.

— Pojadę tam jednak i rozpylam się — postanowił Bob. — Nie wiem, czy pojechała do Londynu, czy też może był to tylko pretekst.

— Jaki pretekst?

— Wydaje mi się, że w tej sprawie z pewnością umaczał palce Jetheroe — odparł Bob — nie trzeba zapominać, że Jetheroe żyje, że ma olbrzymi wpływ na dziewczynę i że mógł ją gdzieś zwabić.

— Jetheroe — powtórzył Sokrates — zapomniałem o nim zupełnie.

Bob wyjechał wkrótce potem i wrócił dopiero przed wieczorem. Jednocześnie z nim zajechał przed dom chłopak z depeszą.

— Do mnie — powiedział Sok, i szybko otworzył kopertę.

— Od Molly! — zawołał ze zdumieniem i czytał:

Proszę przyjechać natychmiast Quaker

Street 479. Jestem zdrowa, zrobiłam niezwykle odkrycie. Proszę przywieźć Lexa i powiedzieć Frankowi, że Janet chce go widzieć.

— Janet? — spytał Sokrates. — Któż to jest, u diabła, Janet?

— Wszystko jedno. Przynajmniej wiemy, że Molly jest zdrowa! — zawołał Lex, a Bob uśmiechnął się z zadowoleniem.

Sokrates odszukał swego „służącego” i pokazał mu telegram. Frank przeczytał i zaczerwienił się gwałtownie.

— Któż to jest Janet? — spytał Sok.

— Moja narzeczona. W jaki sposób znalazła się razem z miss Molly? — pytał ze zdumieniem. — I czego ode mnie potrzebuje?

— Czy mieszka przy Quaker Street?

Frank potrząsnął głową.

— Mieszka na Portman Square, ale to bardzo blisko tamtej ulicy — powiedział.

— Dobrze. A teraz szybko zbierajmy się na



pociąg. Jedzie pan z nami. Może uda nam się rozwiązać drugą zagadkę. Bo jest ich dwie.

— Dwie! — zawołał Frank — sądzę, że jest ich dwadzieścia dwie!

Pociąg zajeżdżał właśnie na stację Waterloo, gdy Sokrates uderzył się w kolano z przekleństwem:

— A do diabła!

Frank, siedząc naprzeciw niego, podniósł oczy znad ilustracji.

— Co się stało, panie Smith?

— Nic, prócz tego, że jestem szaleńcem — powiedział Sok gorko i potem spytał. — Czy zaręczyny pańskie są wszystkim znane?

— Oczywiście — uśmiechnął się Frank. — Ogłosiliśmy nasze zaręczyny jeszcze w ubiegłym miesiącu.

Sokrates jęknął.

— I założyłbym się, że w pismach była pańska fotografia z podpisem, że jest pan obiecującym urzędnikiem Wydziału Śledczego.

— Tak, było coś w tym rodzaju — rzekł Frank — ale dlaczego pan o to pyta?

Ale Sok nie odpowiedział. Zamyślił się z gniewnym wyrazem twarzy.

W kilka chwil potem zajeżdżali samochodem przed dom 479 na Quaker Street.

— Zdaje się, że musieliśmy się pomylić — powiedział Lex, spoglądając na miedzianą tabliczkę nad drzwiami. — Tu jest szkoła przygotowawcza dla dzieci.

Służąca, która otworzyła im drzwi, zdawała się być bardzo zdziwiona wizytą. Oznajmiła im, że tu rzeczywiście jest szkoła, i że jeśli chcą, mogą zobaczyć się z nauczycielem.

Nauczyciel przyjął ich grzecznie, a gdy Sok wyłożył mu powód wizyty, odparł:

— Prócz mnie i żony mojej nikt tu nie mieszka. Czy panowie są pewni, że to ten adres?

Sok zajrzał do depeszy.

— Tak — odparł — ale wobec tego, musiała się omylić osoba, która depeszę wysłała.

— Chwileczkę — powiedział Frank. — Skoczę tylko do mojej narzeczonej. Mieszka tu zaraz w sąsiedztwie.

I wówczas dowiedzieli się najgorszego. Narzeczona Franka nigdy nie widziała Molly, nie wiedziała nawet o jej istnieniu. Nie miała pojęcia o żadnej depeszy. Cała historia okazała się mistyfikacją.

— Tak, już w pociągu wiedziałem, że to mistyfikacja — powiedział Sok gorzko.

— Ale z jakiego powodu to zrobiono?

— Chciano nas za wszelką cenę oddalić od Hindhead, Lex. Powinniśmy wracać tam jak najszybciej.

Spóźnili się na jedyny pośpieszny pociąg odchodzący z Londynu po południu, pojechali do Guilford, a stamtąd autem dostali się do Prince's Place i zajęchali tam dopiero o wpół do jedenastej.

Boba nie było w domu, ale służący jego wręczył Sokowi dwie kartki. Otworzył pierwszą i czytał. List pisany był ołówkiem najwidoczniej w pośpiechu.

Drogi Soku.

Przed chwilą telefonowała do mnie Molly. Znajduję się nie w Londynie, ale w Weston-Super-Mare. Jadę tam natychmiast.

Sokrates powoli złożył liścik i długą chwilę milczał, patrząc na podłogę. Potem otworzył drugą kartkę. Była z poczty z Haslemere. Przeczytał ją, ale nie pokazał nikomu. Spojrzał tylko na Franka i uśmiechnął się.

— Dobrze, żeśmy wrócili — powiedział i poszedł na górę.

Lex zastał go po paru minutach uśpionego w ubraniu na łóżku. Nie dowiedział się więc o tym, że Sok zna nazwisko osoby, która telefonowała do Prince's Place owego popołudnia, gdy Molly zniknęła. Kartka, którą otrzymał z poczty z Haslemere, brzmiała:

Telefon do Prince's Place o 3.40 po poł.  
był z Instytutu Jevingtona, Londyn,  
Marylebone 7979.

Sok Smith spał mocno całą noc.

Lex i Frank spędzili noc na czuwaniu i byli nazajutrz rano bardzo znużeni, gdy Sok wyspany i wyświeżony zjawił się na dole.

— Czy Bob wrócił? — spytał.

Lex potrząsnął głową przecząco.

— Więc idźcie teraz spać. Chyba nie sądziliście, że powróci z Weston-Super-Mare w nocy, co? — spytał ironicznie. — Bob wróci o dziewiątej trzydzieści.

Tak się też stało. Kwadrans przed dziesiątą limuzyna Boba zajęła przed dom. Stone był niewyspany i zły.

— Zabrałem samochód, bo byłem pewien, że ją przywiozę — wyjaśnił. — Mój Boże, jaką ja miałem noc!

— Czy znalazł ją pan? — spytał Lex.

Bob potrząsnął głową.

— Czy wiecie, jak wygląda droga stąd do Weston i co to znaczy przebywać ją w nocy samochodem?

Zawrócił i wszedł do hallu.

— Tu nic nowego? — spytał.

— Nie — odparł Sokrates.

— Idę się wykapać i spać — powiedział Bob.

— I wy zróbcie to samo, chłopcy — rzekł Sokrates — a ja przejdę się po ogrodzie.

— Pójdę z tobą — rzekł Lex.

— I mnie również nie chce się wcale spać —

oświadczył Frank, — mógłbym teraz zrobić dziesięciokilometrowy spacer.

— Sądzę, że ogród będzie na razie wystarczającą przestrzenią — uśmiechnął się Sokrates.

Szli ścieżką biegnącą równoległe do głównej alei wjazdowej, gdy nagle Frank zatrzymał się, jak wryty.

— Co się stało? — spytał Sokrates, patrząc w tym samym, co młodzieniec, kierunku.

Na środku ścieżki leżał kobiecy trzewik. Sok nachylił się i podniósł go.

— To pantofel Molly! — zawołał. — A wczoraj rano nie było go tutaj, mogę na to przysiąc!

Frank chciał coś mówić, ale Sok zatrzymał go szybkim ruchem ręki.

— Chcę być teraz sam — powiedział niecierpliwie. — Proszę was, idźcie do waszych pokojów i nie pokazujcie mi się wcześniej jak o pierwszej po południu!

## ROZDZIAŁ XIX

### DUSICIEL

Trzej mężczyźni spali głębokim snem, gdy tymczasem Sokrates biedził się nad rozwiązaniem zagadki, roztrząsając szczegół po szczególe, rozważając każdy najdrobniejszy fakt. Ubiegłej nocy miał wrażenie, że rozwiązał już zagadkę zniknięcia Molly i teraz widział, że nie odeszła ona dobrowolnie. Bucik znaleziony na ścieżce był tego najlepszym dowodem. W związku z tym wiele faktów stało się dla niego jasnymi i aby prędzej znaleźć potwierdzenie swych przypuszczeń, udał się natychmiast do Haslemere i tu zatelefonował do Scotland Yardu. Odbywwszy rozmowę z szefem, wracał do Prince's Place, śpiesząc, by zdążyć jeszcze zanim Lex się obudzi.

Miejscowy pociąg, niezatrzymujący się w Guilford, przejeżdżał właśnie przez Clapham Junction, gdy w tym

samym momencie z tejże stacji wyruszał pociąg lokalny w przeciwnym kierunku. Sokrates wyglądał przez okno i nagle wzrok jego padł na twarz mężczyzny siedzącego w tamtym pociągu przy oknie.

Mężczyzną tym był Jetheroe! Odwrócił głowę i Sokrates ujrzał wyraźnie plastry, zakrywające mu rany na głowie. W tej chwili oba pociągi ruszyły.

Jetheroe! W pierwszej chwili Sok chciał pociągnąć za sygnał alarmowy, ale szybko się rozmyślił. Zanim zatrzymano by pociąg, tamten odjechałby już daleko, a Jetheroe mógłby z łatwością zniknąć w tłumie pasażerów.

Lex przywitał go, niespokojny już nieco z powodu jego zniknięcia.

— Nic mi się nie stało; widziałem Jetheroe — rzekł Sok z uśmiechem — czy Frank już wstał?

— Tak — odparł Lex. — Żadnych wieści o Molly?

— Nie — rzekł Sok. — Muszę się widzieć z Frankiem; powiedz mu, by przyszedł do ogrodu. Gdzie jest Bob?

— Jeszcze śpi.



Frank zjawił się po chwili w ogrodzie.

— Pan chciał mnie widzieć, panie Smith?

— Tak. Przypomina pan sobie proces Instytutu Jevingtona sprzed siedmiu miesięcy?

Frank pokiwał głową.

— Oczywiście, przecież brałem udział w śledztwie. Instytut Jevingtona był to prywatny zakład dla obłąkanych, utrzymywany bez zezwolenia władz przez kobietę, nazwiskiem Barn. W zakładzie tym działały się różne tajemnicze sprawy.

— Na co ją skazano?

— Pół roku więzienia — odparł Frank.

— Ten czas już minął. Skazana może już być na wolności, prawda?

— Tak, zwłaszcza, że darowano jej miesiąc kary za dobre sprawowanie się w więzieniu.

— Telefonowałem tam dziś — powiedział Sok — i jakiś mężczyzna oświadczył mi, że pani Barn wyjechała za interesami. Oczywiście, to może być kłamstwo. Wobec tego, musi się pan udać do Londynu, do tego zakładu, zobaczyć się z owym mężczyzną, przypuszczalnie jej mężem i dowiedzieć się od niego,

gdzie jest pani Barn i czekać dalszych moich rozporządzeń.

— Czy sądzi pan, że ta kobieta jest wmieszana w naszą sprawę? — spytał Frank zdziwiony.

— Jest to moje przypuszczenie — rzekł Sok. — Staralem się wczuć w sytuację zbrodniarza i doszedłem do wniosku, że jedyną osobą, której mógłby użyć za narzędzie, byłaby pani Barn. No, a teraz niech pan już jedzie i proszę mi zatelefonować na posterunek policyjny w Haslemere odpowiedź.

Frank wyszedł.

Bob Stone pokazał się dopiero późnym wieczorem i wyglądał jeszcze ogromnie znużony. Ręka, którą nalewał wodę sodową, drżała mu silnie.

— Bob, starzejesz się — powiedział Sokrates.

Stone spojrział na niego obrażony.

— Nie jestem jeszcze tak stary, jak ci się wydaje — rzekł ze złością.

— Obraził się na mnie — powiedział Sok do brata z uśmiechem, — poszedł i kazał nam zakomunikować, że nie zejdzie na obiad. Będziemy więc jedli sami.

Tu spojrział uważnie na Lexa, i widząc jego bładą,

jakby zszarzała twarz, położył mu dłoń na ramieniu.

— Nie można się tak dręczyć, chłopcze; przecież w ten sposób można oszaleć. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, tylko trzeba mieć odrobinę cierpliwości.

— Odrobinę cierpliwości! — jęknął brat. — Cierpliwości, gdy Molly jest... Bóg wie gdzie...

— Po obiedzie zagramy sobie w pikietę.

Biedny Lex nie miał ochoty na karty, ale mimo to usłuchał brata.

Służący Stone'a, William, przygotował stolik.

— Pan Stone nie zejdzie już dziś wieczorem? — spytał Sok.

— Nie, proszę pana. Mój pan jest bardzo zmęczony. Właśnie zaniósłem mu do gabinetu kawę, kazał panów przeprosić.

Bracia byli w środku drugiej partii, gdy Sok odłożył karty i zaczął nadśluchiwać.

— Co się stało? — spytał Lex, ale brat wzrokiem nakazał mu milczenie.

Z hallu prowadził szeroki korytarz, na którego końcu znajdował się gabinet Boba przylegający do biblioteki.

— Nic nie słyszę... — zaczął szeptem Lex, ale słowa zamarły mu na ustach, gdyż w tejże chwili z pokoju Boba doleciał wyraźnie jęk, zakończony dziwnym okrzykiem: U-u-up!

W ciągu jednej sekundy Sok znalazł się na korytarzu, a Lex za nim. Rzucili się na drzwi gabinetu Boba; były zaryglowane.

— Otworzyć!

Nie było odpowiedzi. Sok zatrzęsł drzwiami i dwoma uderzeniami wywalił je.

Przy biurku siedział Bob Stone. Twarz jego miała kolor czarno-fioletowy, oczy wylazły na wierzch, a język wysunął się z ust w ohydny sposób.

Szyja jego ściśnięta była jedwabną chustką. Sokrates, wbiegając do pokoju, ujrzał znikającą za oknem postać jakiegoś mężczyzny. Przede wszystkim rzucił się ku Stone'owi i rozluźnił mu chustkę na szyi.

— Zajmij się nim! — zawołał do Lexa.

Otworzył okno, wymierzył okiem odległość do ziemi i skoczył na trawnik, jednocześnie strzelając przed siebie.

Na odgłos strzału przybiegli szofer i ogrodnik,

pytając, co się stało.

— Przeszukajcie ogród! — powiedział Sok — i przyprowadźcie mi tego człowieka, jak go znajdziecie!

Sam wrócił do gabinetu. Bob odzyskał już przytomność i szybko dłonią usiłował zakryć papier, leżący przed nim na biurku. Papier był świeżo zapisany, tak że atrament nie zdążył jeszcze obeschnąć, widniały na nim tylko cztery litery Pool.

Bob, dysząc ciężko, zaczął opowiadać, co zaszło.

— Siedziałem przy biurku i pisałem — mówił — myślałem o tym przeklętym domu w Pool-in-the-Moor, jak widzisz, Sok, i mimo woli kreśliłem tę nazwę na papierze, gdy z okna rozległo się wołanie: Ręce do góry! Spojrzałem do okna: stał tam człowiek z zakrytą twarzą, ale poznałem natychmiast Jetheroego. Z zadziwiającą zręcznością zeskoczył z okna, zaryglował drzwi i skrepował mi ręce i nogi. Na szczęście zdążyłem jeszcze krzyknąć w nadziei, iż krzyk ten zwabi Williama lub którego z was.

— Co było potem? — pytał Sok.

— Zaciskał mi coraz mocniej chustkę na szyi...

— I to wszystko?

— Wszystko — odparł Bob. — Cóż jeszcze ma być?...

— Dlaczego nie zadusił cię od razu? Bez przygotowań.

— Skądże mogę wiedzieć? — jęknął Bob Stone. — Może się jego spytasz... Ale wybacz mi, nerwy moje odmawiają mi posłuszeństwa: ta śmierć Johna, zniknięcie Molly... — położył głowę na biurku i rozplakał się serdecznie.

— Zaraz wrócę, Bob; zostawiam cię na chwilę samego — powiedział Sok, wychodząc do ogrodu.

Ogrodnik i szofer oznajmili mu, że nie znaleźli nikogo.

Poszukiwania Soka nie wydały żadnego rezultatu. Wracając, spotkał w hallu Lexa.

— Lex, pójdziesz na posterunek policji do Haslemere. Będzie tam telefonował Frank z wiadomościami.

Bob tymczasem zdążył już otrząsnąć się z wrażenia.

— Nie przypuszczałem, Sok, że jesteś tak silny — powiedział z uznaniem.

— Ale za to nie jestem zręczny — rzekł Sokrates

— inaczej byłbym schwycił pana Jetheroego i wytłumaczył mu, że to nieładnie dusić byłych inspektorów policji.

Bob uśmiechnął się.

— Tak, to była przykra historia. Zapewne myśleli, że już ze mną raz na zawsze skończą. Ale omylili się.

— Jacy oni?

— Jetheroe i jego banda. Ci, którzy zabili Johna Mandle'a i porwali Molly. Przyznam, że to najbardziej zagadkowa sprawa, jaką spotkałem w życiu.

— Tak — potwierdził Sok — i w dodatku to nie jedna sprawa i nie dwie, to cały splot zagadek... Ale rozwiążę je wszystkie — zakończył z błyskiem w oczach.

— Co masz na myśli? — spytał Bob.

— Dowiesz się we właściwym czasie — powiedział Sokrates. — Na razie, wiem to na pewno, że Molly została wywieziona z tego domu wczoraj.

— Chyba przedwczoraj! — zawołał Bob z przerażeniem.

— Powtarzam, że dnia wczorajszego była jeszcze w tym domu, — powiedział Sokrates. — Przez cały

czas, kiedy szukaliśmy jej w Londynie była tu, w tymże domu uwięziona. Depesza miała na celu odciążenie mnie i Franka, który, jak ci wiadomo jest ze Scotland Yardu, od twego domu.

— Ten sam cel miał telefon wzywający mnie do Weston-Super-Mare — powiedział Bob. — Ale gdzież ona mogła być ukryta?

Musimy przeszukać cały dom, a z pewnością znajdziemy po niej jakiś ślad — rzekł Sok. — Zaczniemy od tego pokoju.

— Od tego pokoju? — zdziwił się Bob.

— Tak. Dokąd prowadzą te drzwi?

— Do biblioteki — odparł Bob — a te drugie do mojej pływalni. Nie jest ona co prawda zbyt obszerna, ale na moje potrzeby starcza. Nie byłeś tam nigdy?

Otworzył drzwi, i Sok ujrzał dużą salę o ścianach wykładanych białymi kafelkami. Pośrodku pokoju znajdował się duży basen.

— Co jest w tej szafce? — Sok wskazał na białe lakierowane drzwi w ścianie.

— Mój kostium kąpielowy. Nic więcej.

Sok otworzył drzwi.



—A co robi tutaj ten fotel?

Bob potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem tu przedtem fotela.

Sok rozglądał się po pokoju.

— Kiedy byłeś tu ostatnio?

— Nie pływałem już przeszło tydzień.

— I nie wchodziłeś do tej sali?

— Nie.

— A te drzwi... dokąd prowadzą?

— Do ogrodu.

— A kto ma dostęp do twego gabinetu?

— Prawie cała służba, ale William przychodzi najczęściej.

— A do pływalni? Czy służbie pozwalasz używać basenu?

— Nie. Nikomu prócz mnie nie wolno się tu kąpać. Służba nie ma potrzeby nawet czyścić basenu, gdyż czyści się go sposobem automatycznym.

Wrócili do gabinetu i Sok, stojąc przed kominkiem, zamyślił się zapatrzony w ogień.

— No, i cóż, spytał go Bob — do jakiego

doszedłeś wniosku?

Sok rozejrzał się wokoło, szukając wzrokiem brata, ale przypomniał sobie, że Lex jest w Haslemere i powiedział:

— Bob, w tej całej sprawie są dwie zagadki. Jedną rozwiązałem. Wiem, dlaczego Jetheroe zjawił się dzisiaj u ciebie. Wiem dokładnie, o co się pytał. Wiem wszystko o kobiecie nazwiskiem Barn z Instytutu Jevingtona i wiem, co się stało z Molly.

Bob milczał.

— A teraz opowiem ci, Bob, małą historyjkę, która, sądzę, zainteresuje cię tak samo, jak i mnie zajęła. Nie mam tu na myśli sprawcy zabójstwa Johna Mandle'a. Chcę ci tylko opowiedzieć historię człowieka, który mając lat pięćdziesiąt zakochał się w dziewczynie mającej lat dwadzieścia dwa i w chwili, gdy ujrzał, że zbliża się do niej młodszy od niego kandydat, popełnił przestępstwo.

Bob zbladł jak płótno.

— Na razie, nie oskarżam cię jeszcze o zamordowanie Johna Mandle'a, gdyż nie rozumiem dobrze, jaki miałbyś w tym interes...

— Och, cóż za łaska — powiedział ironicznie Bob.

Sok ciągnął dalej, jakby nie słysząc tej uwagi:

— W dzień po śmierci Mandle'a, przybyłem do twego domu i mimo woli usłyszałem że rozmawiasz z kimś przez telefon. Telefonowałaś do kogoś nazwiskiem Barn i słyszałem, jak mówiłeś: To warte dla was z pięćset funtów. Potem usłyszałem jeszcze wyraz Jevington i zapamiętałem go dobrze. Przypominasz sobie może naszego starego kolegę ze Scotland Yardu, który pamięta wszystkie możliwe procesy? Otóż ten urzędnik archiwum policyjnego opowiedział mi chętnie historię Instytutu Jevingtona i dzieje pani Barn, a ja dodałem sobie dwa plus dwa...

— I wypadło pięć — zaśmiał się szyderczo Bob.

— Nie, wpadło stare, pocziwe cztery — odparł spokojnie Sok. — Kochałeś Molly, a Molly nie kochała ciebie. Pokochała nadto mego brata i sądzę, że uczyniła dobry wybór. Wówczas to postanowiłeś wziąć ją siłą. Prawdopodobnie, przyszło ci to do głowy jeszcze za życia Mandle'a, ale to nie jest ważne. Nie byłeś jednak jeszcze pewien uczuć Molly względem Lexa; w czasie śledztwa dowiedziałeś się, że

dziewczyna pisze pamiętnik i przyszło ci do głowy, że tam znajdziesz odpowiedź na dręczące cię pytania. Gdy po pożarze dowiedziałeś się, że Molly uratowała swój dziennik, zakradłeś się do gospody w Chequers, przestraszyłeś dziewczynę i porwałeś jej skarb. Tam dopiero ujrzałeś czarno na białym, że Molly kocha Lexa.

— Przeklęty chłopak! — mruknął. — Gdyby nie on...

Sokrates przerwał mu:

— Gdyby nie on, zjawiłby się tu zamiast niego jakiś Tom, Jim lub Harry. Molly w żadnym wypadku nie zostałaby twoją. Ale mówię dalej. Otóż, gdy przeczytałeś już czarno na białym w dzienniku, że jest dla ciebie stracona, powziąłeś śmiały i oryginalny plan. Skomunikowałeś się wówczas z panią Barn, o której wiedziałeś, że za pieniądze zrobi wszystko, czego od niej zażadasz i którą na skutek tego uważałeś za idealną opiekunkę dla Molly. Być może, wpadłeś nawet na genialną myśl przedstawienia Molly jako wariatki; jest to przecież wypróbowany sposób, prawda? Kiedy zostawiłem dla opieki Molly, Franka, szybko

zorientowałaś się, że młodzieniec ten pilnuje jej baczniej w nocy, niż w dzień. Postanowiłaś działać w dzień. Molly widziano po raz ostatni w bibliotece sąsiadującej z twoim gabinetem, potem zniknęła.

— Widzę, że wypracowałaś cały plan oskarżenia przeciw mnie, Sokratesie Smith — powiedział Bob z ironicznym uśmiechem.

— Tak jest — odparł Sok — akt oskarżenia i to w bardzo nieładnej sprawie, Bobie Stone. Otóż, jak powiedziałem, widziano ją ostatnio w bibliotece i widział ją tam Frank, który, wychodząc, słyszał dzwonek telefonu. Telefon ten pochodził od pani Barn. Od tej chwili nie widziano już więcej miss Molly. Nie mówię bynajmniej, że pan natychmiast potem wywiozłeś Molly z tego domu. O, nie! Przeciwnie. Wyjechałeś sam Guilford, ona zaś została zamknięta w pańskiej pływalni i w dodatku w szafie stojącej w pływalni. Nie jestem jeszcze pewien, czy uśpiłeś ją jakimiś sztucznymi środkami, ale zdaje mi się, że tak było. A potem, gdy ja, idiota, dałem się złapać w pułapkę i pojechałem do Londynu wskutek podrobionej przez ciebie depeszy, skorzystałeś z

nieobecności nas wszystkich i wywozłeś dziewczynę, pozorując swój wyjazd wezwaniem do Weston-Super-Mare. Dokładna ilość kilometrów, którą zrobiłeś owej nocy pomiędzy ósmą wieczorem a wpół do dziesiątej rano, wynosi trzysta dwanaście kilometrów. Jest to akurat odległość, dzieląca Prince's Place od Pool-in-the-Moore i z powrotem.

Bob Stone zagryzł wargi.

— Jest to również odległość między Prince's Place a Weston-Super-Mare — wtrącił.

Sok ciągnął niewzruszenie dalej:

— Molly znajduje się obecnie w Pool-in-the-Moor pod opieką pani Barn. Nie wiem tylko, co zamierzałeś z nią dalej uczynić.

— A cóż ty zamierzasz teraz uczynić? — spytał Stone chłodno.

— Przede wszystkim uwolnię uwięzioną, a następnie zwrócę się do Scotland Yardu z zapytaniem, co mam zrobić z tobą.

— Hm — powiedział Bob Stone z uśmiechem. — W takim razie, lepiej będzie jeśli dodam trochę prawdziwych faktów do twojej dzikiej fantazji.

Zerwał się, przeszedł do pływalni i otworzył szeroko szafę, w której stał jeszcze wciąż fotel.

— Chcesz wiedzieć prawdę? Będziesz ją wiedział. Zrobiłem tak — tu z błyskawiczną szybkością wyciągnął rewolwer — przyprowadziłem ją tu tak, jak w tej chwili ciebie, i powiedziałem jej tak, jak mówię teraz do ciebie: jeśli poruszysz się lub wydasz dźwięk, zastrzelę cię. Ręce do góry!

Sokrates podniósł ręce do góry, ale na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Teraz wiem już przynajmniej, Bob, że istnieje tylko jedna tajemnica — wzrok jego padł na automatyczny pistolet, błyszczący w dłoni Stone'a. — To ty zabiłeś Johna Mandle'a.

Tamten drgnął.

— Tak. Zabiłem Johna Mandle'a, zabiłem go wbrew mojej woli, tak samo, jak zabiję ciebie. Wchodź do szafy! Natychmiast!

— Zawsze odznaczałem się rozsądkiem — rzekł Sok ze spokojem, wchodząc do szafy.

Zatrzasnęły się za nim ciężkie drzwi i klucz dwa razy zgrzytnął w zamku.

— Trzeba mi kwadransa, by spakować moje rzeczy — powiedział głośno Stone. — Będę tu obok w gabinecie. Jeśli w ciągu tego czasu będziesz usiłował hałasować, nie zawaham się strzelać do zamkniętej szafy i mam wrażenie, że nie chybię celu.

Sokrates Smith nie odpowiedział. Nawet wówczas, gdy wielka limuzyna przejechała koło okien pływalni, nie wydał dźwięku.



## ROZDZIAŁ XX

### CO SIĘ STAŁO Z MOLLY

Pan Bob Stone był człowiekiem posiadającym talent literacki, a tacy ludzie z łatwością schodzą z drogi prawdy. Toteż jego rozmowa z Molly, którą opowiedział Sokratesowi, miała w gruncie rzeczy nieco inny przebieg.

Molly siedziała w gabinecie, zagłębiała się w czytaniu interesującej powieści, choć prawdę mówiąc, myśl jej była daleko od stronic książki, gdyż krążyła ustawicznie koło młodzieńca znajdującego się w tym momencie w Devonshire.

Gdy zadzwonił telefon, zjawił się w gabinecie Bob Stone i rozmawiał z kimś przez chwilę, lecz Molly nie zwróciła żadnej uwagi na tę rozmowę. Stone skończywszy mówić, zbliżył się do dziewczyny.

— Mam dla pani niespodziankę, panno Molly — rzekł — niech pani zgadnie jaką?

— Trudno mi się domyślić — odparła ze śmiechem.

— Obmyśliłem podarunek ślubny dla pani.

Zaczerwieniła się po uszy i zawołała:

— A nie powie mi pan jaki to podarunek?

— Właśnie chcę to pani powiedzieć — odrzekł.

— Ale proszę się ze mnie nie śmiać. Sam narysowałem projekt tego podarunku.

— Ale jaki to podarunek? — powtórzyła zaciekawiona.

— Nowy rodzaj walizki podróżnej. Tylko... jestem w kłopotcie, gdyż nie wiem, co pani chciałaby mieć wewnątrz tej walizki.

— Proszę, niech pan pokaże mi ten rysunek, dobrze?

— Przedtem chciałem panią o coś prosić. Niech pani będzie tak dobra i przyniesie mi na dół swój neseser ze wszystkim, co pani by zabrała, jadąc na jednodniową wycieczkę.

— Po cóż to? — spytała ubawiona.

— W ten sposób zorientuję się, co pani jest potrzebne...

— Doskonale — zawołała. — Teraz rozumiem!  
Biegnę i przyniosę panu wszystko!

Po chwili wróciła, niosąc neseser ze wszystkimi niezbędnymi na drogę drobiazgami.

— Nie zgorszy się pan tym, że jest tam i pizama?  
— powiedziała ze śmiechem.

Bob wziął walizeczkę z jej rąk i postawił ją na biurku.

— Zapomniałem powiedzieć, że potrzebny mi jest też pani kapelusz.

— Ale przecież kapelusza nie pakuje się do neseseru — zaprotestowała.

— Na tym polega nowość i niezwykłość mojego neseseru — powiedział uroczyście. — Poproszę też o pani parasolkę.

Roześmiała się wesoło, ale przyniosła mu wszystko, czego żądał. Gdy wróciła z góry z żądanymi przedmiotami, Stone'a nie było w gabinecie. Drzwi były otwarte do jakiegoś pokoju, w którym nigdy jeszcze nie była.

Weszła tam.

— To moja pływalnia — objaśnił uprzejmie Bob.

— Proszę, niech pani ją obejrzy.

Ale gdy tylko usłuchała zaproszenia, gospodarz zatrzasnął za nią gwałtownie drzwi, zaryglował je i twarz jego straciła natychmiast miły i uprzejmy wyraz. Patrzyła na niego pełna zdumienia, a jakiś nieznany jej przedtem lęk ścisnął ją za serce.

— Molly — zaczął. — Pani wie o tym, że panią kocham...

— Panie Stone — odparła chłodno — zdawało mi się, że sprawa ta jest między nami raz na zawsze skończona. Dziwię się tylko, że pan mówi o tym i to pod pańskim dachem.

— Kocham panią — powtórzył. — Dotychczas w życiu moim zdobywałem wszystko, co chciałem, muszę więc zdobyć i panią.

— Czy zechce pan przede wszystkim otworzyć te drzwi i wypuścić mnie? — spytała.

— Nie otworzę tych drzwi i nie wypuszczę pani. Nie wyjdzie pani z tego pokoju, dopóki...

Poczuła, że kolana uginają się pod nią, ale spytała odważnie:

— Dopóki co?

— Nic. Chciałem tylko powiedzieć, że wyjdzie pani stąd dopiero wówczas, gdy ja zechcę.

— Gdyby pan Smith... — zaczęła.

— Sokrates Smith nie dowie się o niczym — odparł. — Po jego powrocie powiem mu, że pani pojechała do miasta.

— To nie ma sensu — wybuchnęła — to niemądry żart z pańskiej strony, panie Stone! Nie może mnie pan przecież tu więzić!

— Owszem, mogę i nawet pokażę pani, jak mogę — odparł z całym spokojem. — Widzi pani tę szafę? Ma ona dość grube ściany, umieściłem w niej jeden z foteli z mego gabinetu, aby nie było pani tam zbyt niewygodnie. Jeśli pani będzie mi stawiała opór, zwiążę pani ręczki i nóżki i umieszczę w szafie. Będzie to bardzo nieprzyjemne. Jeśli jednak będzie się pani zachowywała grzecznie, pozwolę pani chodzić po całej pływalni, będę tylko zmuszony panią prosić o zdjęcie obuwia, gdyż mogą usłyszeć pani kroki. A gdyby pani usiłowała w jakikolwiek sposób hałasować lub wzywać pomocy, będę musiał... — zatrzymał się.

— Co? — spytała.

— Zastrzelić panią. Tak, zastrzelić, mimo, iż panią kocham; zabić, tak jak zabiłem Johna Mandle'a.

Zachwiała się, podnosząc dłonie do ust.

— Pan zastrzelił Johna Mandle'a? — spytała głucho. — Pan? Nie, nie!

— Tak, to ja. Zrobiłem to. I może pani być pewna, że miałem po temu dość ważne powody. Gdybym chciał powiedzieć to bardzo krótko, wyjaśniłbym pani, że zabiłem go, gdyż się go obawiałem.

— Pan jest obłąkany! — krzyknęła. — Pan nie mógł tego zrobić, a gdyby pan to zrobił, nie mógłby mi tego opowiadać!

— Opowiadam to tej, która będzie moją żoną. Porwę panią stąd i będę tak długo trzymał uwięzioną, dopóki, dopóki... — zatrzymał się — dopóki sama pani nie zrozumie, że lepiej ustąpić.

Przesunęła dłonią po czole. Teraz rozumiała, że to nie sen, tylko okropna rzeczywistość. Bob Stone, ten poczciwy Bob, którego wszyscy tak lubili, któremu tak wierzyli – mordercą. Mordercą najlepszego swego przyjaciela. To nie do uwierzenia.

— No, i cóż postanowiliśmy? — spytał Bob. —

Czy będziemy cichutko? Czy też wolimy, by zamknięto nas w szafie? Proszę pamiętać też o tym, że jeśli ktoś usłyszy pani krzyk, to może i jemu przytrafić się nieszczęście, a cóż by to była za szkoda, gdyby to właśnie był ukochany przez panią Lexington.

— Pan jest obłąkany, obłąkany — powtarzała ze zgrozą. — To pan strzelał do Jetheroego?

Pokiwał głową.

— Tak, tak, pan oszalał — mówiła na pół już przytomnie. Pan Smith opowiadał mi przecież o tym obłąkanym uśmiechu, który słyszał w lesie...

Bob uśmiechnął się.

— Sok jest mądrzejszy niż to pani przypuszcza. Nie dał się wziąć na mój udany śmiech, który miał na celu rozstrojenie mu nerwów. Myślałem, że go złapię, a tymczasem to on omalże mnie nie przychwycił. O, proszę popatrzeć.

Szybko odgarnął dłonią włosy na skroni i ukazał małą, czerwoną jeszcze bliznę.

— Oto kulka Soka. Oduczyła mnie od zbyt donośnego śmiechu. — Spojrzał na nią. — I cóż? Pójdziemy do szafy?

Potrząsnęła głową, milcząc.

— Będę spokojna — powiedziała po chwili.  
Spodziewam się, że się pan opamięta i zrozumie, iż popełnia nową zbrodnię.

— Proszę zdjąć pantofle, — rozkazał.

Spełniła rozkaz w milczeniu.

— A teraz radzę jeszcze raz zachowywać się cicho. Posiłki będę sam tu przynosił.

— Ależ nie może mnie pan przecież tu trzymać wiecznie!

— Nie mam wcale tego zamiaru. Przygotowałem dla pani śliczny mały domeczek i milutką gospodynię — zaśmiał się.

Wyszedł, starannie zaryglowując drzwi za sobą. Została sama. Pierwszym odruchem rzuciła się ku oknom: były zasłonięte żelaznymi kratami. W całej obszernej sali nie znalazła nic, czym mogłaby zwrócić na siebie uwagę kogoś, znajdującego się poza jej więzieniem. Bała się krzyczeć, wiedziała bowiem, że to, co Bob mówił, nie było czczą pogroźką. A nuż Lex byłby usłyszał jej wołanie? Krew uderzyła jej do głowy na samą myśl o strasliwym niebezpieczeństwie, które



by mu wówczas groziło.

W pokoju odkryła jeszcze drugie drzwi. Musiały prowadzić do ogrodu, ale zabite były na głucho. W pewnej chwili usłyszała odgłos auta, jadącego przez ogród: a może to Lex wraca z bratem? Ale równie dobrze mógł to być Bob.

Przed wieczorem zjawił się Stone z jedzeniem. Milcząc, przyglądał się jej, jak jadła, potem zauważył:

— Za mało pani jadła. Zostawiam pani tu ciasteczka i mleko. Wkrótce przyniosę tu polowe łóżko.

Rzeczywiście, o dziesiątej zjawił się z łóżkiem, rozstawił je, i życząc jej dobrej nocy, wyszedł.

Nie wiedziała, jak przeszła jej bezsenna noc. Nie zmrużyła oczu, a świt witała jak wyzwolenie. Tymczasem dzień okazał się jeszcze gorszy od nocy. Dłużył się w nieskończoność. Raz, zdawało jej się, że słyszy głos Sokratesa, ale po chwili nadzieja, która w nią wstąpiła, opuściła ją znowu, gdyż przypomniła sobie, jak jest bezsilna.

Po południu z drzemki, która ją ogarnęła na skutek znużenia, zbudził ją głos Boba.

— Proszę wstać — powiedział twardo. —  
Jedziemy.

— Dokąd?

— Pojedzie pani ze mną w niewielką podróż.

— Nie pojedę! — krzyknęła z rozpaczą. — Nie  
pojedę! Nie pojedę!

— Niech pani nie robi głupstw. — powiedział  
brutalnie.

— Może mnie pan zabić — krzyczała dziko — ale  
uprzedzam, że gdy innie pan dotknie, będę krzyczała.

Bob uśmiechnął się.

— Może pani krzyczeć, jeśli ma pani na to ochotę.  
Całą służbę posłałem do Haslemere do kina, a jedyny  
William, który został, jest w piwnicy, gdzie kazałem mu  
przelewać wino. A teraz radzę pani napić się kawy i  
zjeść to, co przyniosłem.

Molly poczuła straszny głód. Przez głowę  
przemknęło jej, że będzie musiała mieć dużo sił do  
dalszej walki wzięła więc filiżankę z rąk Boba. Ale już  
po paru łykach głowa jej zaczęła ciążyć i runęła na  
łóżko jak martwa. Kawa zawierała środek nasenny.

Obudził ją powiew świeżego powietrza. Czowała, że

jest na dworze i że ją niosą. Na pół przytomnie pomyślała, że została oszołomiona sztucznie, że Bob ja wywozi i pragnęła za wszelką cenę zostawić na swej drodze jakiś ślad dla tych, którzy będą jej szukali. Przypomniała sobie, że raz już Sok natrafił na jej ślad za pomocą zgubionego bucika. Potrząsnęła nogą i pantofel zsunął się ze stopy i upadł na ścieżkę ogrodową. W chwilę potem posadzono ją w samochodzie. Zasnęła znowu.

Molly nie pamiętała zbyt dobrze, co się potem działo. Miała jakieś niejasne wspomnienie domu otoczonego wysokim murem, zarośniętego chwastami ogrodu, jakiejś kobiety, która rozbierała ją do łóżka, ale to wszystko było mętne i jak gdyby we śnie. Zasnęła znowu na przeciąg dwunastu godzin.

## ROZDZIAŁ XXI W DOMU TAJEMNIC

Molly Templeton obudziła się z silnym bólem głowy. Pokój pogrążony był w ciemnościach. Wyglądał tak, jak gdyby nie było w nim wcale okien. Potem przekonała się, że okna zasłonięte były, w braku okiennic, ciemnymi zasłonami.

Wyciągnęła dłoń, szukając w mroku zapalek lub świecy przy łóżku, ale nic nie znalazła, a wysiłek sprawił jej taki ból, że aż jęknęła. Jęk ten musiał ktoś usłyszeć, gdyż drzwi otworzyły się natychmiast i w progu ukazała się, niosąc zapaloną lampę naftową, jakaś nieznajoma kobieta.

— Czy to pani jęknęła? — spytała troskliwie. —  
Może pani głodna?

— Głowa mnie boli okropnie — poskarżyła się Molly.

— Zaraz na to poradzimy.

Kobieta wyszła, zabierając ze sobą lampę i zostawiając dziewczynę na chwilę w ciemnościach. Gdy wróciła, niosła na tacy filizankę herbaty i jakieś białe proszki.

Molly spojrzała podejrzliwie na lekarstwo.

Niech się pani nie boi, to pani nie zaszkodzi — powiedziała kobieta. — Najgorsze jest u was, wariatów, to, że zawsze myślicie, że ktoś was chce otruć.

Molly spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Wariatów? — powtórzyła. — Pani myśli, że jestem wariatką?

— Ma się rozumieć, że tak myślę, a ja już się znam na tym. Nie darmo byłam trzydzieści pięć lat pielęgniarką u czubków.

Molly mimo woli roześmiała się.

— Ja mam być obłąkana? Co też pani mówi?

Zażyła jeden z białych proszków i popiła herbatą.

— Jeżeli pani chce posłuchać dobrej rady, niech pani uwierzy, że pani jest wariatką. Wtedy nawet łatwiej jest się wyleczyć. To dowiedzione naukowo — mówiła pani Barn.

— Jak długo tu jestem? — pytała Molly — i gdzie jestem?

— Jest pani na wsi, na świeżym powietrzu. Trochę to na uboczu od ludzi, ale jakież to piękny mógłby być folwarczek — mówiła kobieta.

Molly spojrzała na zegarek. Była piąta po południu.

— Ależ o tej porze musi być jeszcze jasno na dworze — powiedziała.

— Toteż jest jasno — odparła kobieta, wskazując na zasłonięte okna.

— O, proszę, niech pani zechce odsłonić szyby — prosiła dziewczyna. — Obiecuję, że nie będę wołała o pomoc.

Gdyby nawet pani zsiniała z krzyku i tak by pani to nic nie pomogło — odparła spokojnie pani Barn i zdmuchnąwszy lampę, zabrała się do odsłaniania okien. — Proszę też nie spodziewać się jakiegoś pięknego widoku.

Za oknem ujrzała Molly czerwony blask zachodzącego słońca padający na wysoki mur wokół ogrodu.

— Przecież to Dartmoor — zawołała dziewczyna.

— To Pool-in-the-Moor! Poznaje!

— Co za okropna nazwa — powiedziała pani Barn — ale to nic, folwark jest ładny i gdy włożę trochę pieniędzy w remont, zrobię z tego cacko.

— Czyż ten folwark należy do pani? — spytała Molly zdumiona.

— Będzie mój.

Wówczas Molly zrozumiała. Bob Stone obiecał podarować Pool-in-the-Moor tej strasznej kobiecie za jej usługi.

— Kiedy będę mogła stąd odjechać? — spytała Molly.

— Wtedy, gdy pani dobry mąż panią stąd zabierze, a wujaszek na to się zgodzi.

— Mój mąż?! — zawołała Molly. — O kim pani mówi? Bob Stone mógł się podać za mego wuja, o którym pani przed chwilą wspominała, ale mąż!

— Przywiózł panią tu mąż z polecenia pani wuja — mówiła kobieta. — Mąż pani to bardzo sympatyczny mężczyzna.

— Ależ ja nie mam męża!

— Właśnie na tym polega pani złudzenie

— wyjaśniła łagodnie pani Barn — ale to nic, to przejdzie.

— Ależ ten człowiek porwał mnie siłą. Czy nie mogłaby pani mi pomóc, pani..

— Nazywam się Barn — odparła kobieta. — Chętnie pani we wszystkim pomogę.

— Czy mogłaby pani zawiadomić policję, Scotland Yard?

W oczach kobiety zabłysło chytre światełko.

— Nie mogę wprowadzać w błąd Scotland Yardu — powiedziała — zbytnio szanuję tę instytucję.

— Kiedyż ja doprawdy zostałam porwana gwałtem!

— I to się pani wydaje. Niech pani nie krzywdzi tak swego dobrego męża.

Serce zamarło Molly w piersiach. Skoro ta kobieta sądzi, że ona jest obłąkana i wierzy Bobowi, to jakież może być dla niej ratunek?

Siląc się na spokój, spytała:

— Czy on prędko przyjedzie tu znowu?

— Spodziewam się go za dwa, trzy dni — odrzekła pani Barn. — A co by pani teraz zjadła?



Pierwszą myślą Molly było odmawiać wszelkiego pożywienia, ale to byłoby rzeczywiście aktem szaleństwa, powiedziała więc spokojnie:

— Proszę mi przynieść cokolwiek. Czy mogę wstać?

Kobieta zawahała się.

— Tak, może pani — powiedziała po chwili — ale proszę się ubrać przy mnie.

Molly podniosła się z łóżka. W głowie czuła szum, ale gdy się ubrała, poczuła, że wstępuje w nią spokój.

— Nie wiem, czy pani spostrzegła, że zgubiła jeden pantofel — powiedziała pani Barn. — Pożyczę pani moje obuwie.

Przyniosła jej parę obrzydliwych, skrzypiących za każdym krokiem trzewików. Molly pomyślała, że w nich nie będzie mogła uciekać ze swego więzienia, ale przyjęła z podziękowaniem.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu, pani Barn pozwoliła jej na przechadzkę po ogrodzie. Molly, stąpając po zachwaszczonych alejach, myślała z natężeniem nad sposobami ucieczki. Przy posiłku, który spożyły we dwie w ciemnej jadalni, pani Barn opowiadała Molly,

jak bardzo napracowała się nad jakim takim uporządkowaniem tego domu.

— Nie jestem przyzwyczajona do sprzątania — mówiła — i sędzę, że powie pani mężowi, jak wróci..

— On nie jest moim mężem — zaczęła Molly, ale widząc, że to beznadziejne, dodała:

— Cóż mam mu powiedzieć?

— Że nie umiem sprzątać. Ten dom to okropna rudera. Proszę, niech pani spojrzy.

Dłonią wskazała na otwór w suficie nad stołem, powiększony jeszcze przez Sokratesa Smitha.

— Wygląda to na robotę szcurków, choć, na szczęście, szcurków tu nie widziałam. Nie odważyłam się jeszcze wejść do piwnicy.

— A tu jest piwnica? — spytała Molly.

— O, nawet dwie — odrzekła pani Barn.

Molly zasnęła tej nocy dopiero nad ranem, a nazajutrz natychmiast po marnym śniadaniu znowu zeszła do ogrodu. Pani Barn opowiadała jej, że tego rodzaju domy, zbudowane w pobliżu bagien, bywały często schronieniem dla przemytników i wobec tego zaopatrzone były w podziemne korytarze. W sercu

Molly zbudziła się nadzieja.

— Czy mogę zejść do piwnicy? — spytała po południu.

— Jeśli pani chce, to proszę, — odparła pani Barn. — Klucz wisi w kuchni na gwoździu.

Piwnice okazały się mało ciekawe.

Wszedłszy do drugiej piwnicy, Molly miała chwilę, w której wstąpiła w jej serce nadzieja. W jednym kącie wykładanych ceglami ścian, cegły były względnie nowe i odbijając się od pociemniałych od starości ścian, tworzyły jaśniejsze półkole.

A może tu było przejście? Ale gdyby nawet było, w jaki sposób uda się jej usunąć ścianę z cegieł? Rozejrzała się wokoło i wzrok jej padł na złożone w kącie narzędzia służące do rozbijania cegieł. Molly wróciła na górę, by przekonać się, co robi jej opiekunka. Pani Barn siedziała w ogrodzie na fotelu i drzemała w słońcu. Urządziła się w ten sposób, że ręka jej spoczywała na klamce jedynej furtki w murze. Gdyby więc Molly chciała wyjść, pani Barn obudziłaby się natychmiast. Dziewczyna zbiegła szybko do piwnicy i drżącymi dłońmi ujęła narzędzia. Były straszliwie

ciężkie, ale nie ustąpiła. Po półgodzinnej pracy skruszyła parę cegieł; za nimi ukazało się głębokie, czarne zagłębienie.

W tej chwili usłyszała z góry kaszel pani Barn, i rzuciwszy robotę, wybiegła na górę. Spotkała ją w ogrodzie.

— Co pani robiła? — spytała podejrzliwie kobieta.

— Przechadzałam się — odparła Molly, chowając za siebie powalane ziemią i gliną dłonie.

W ciągu kolacji Molly myślała z napięciem o tym, kiedy będzie mogła wykonać swój plan. Pani Barn mimo woli sama odpowiedziała jej na to pytanie.

— Zawsze zamykam na noc drzwi pokoju, w którym śpię — powiedziała. — Sen mam bardzo mocny, a na skutek przestawiania z wariatami nauczyłam się mieć na baczności. Kiedyś pewna młoda panienka o bardzo miłym wyglądzie, cierpiąca na taką samą, jak pani, chorobę omalże mnie nie zamordowała we śnie.

Molly słuchała uważnie.

— Więc pani ma taki twardy sen? — upewniła się raz jeszcze.

— Tak jest — odpowiedziała pani Barn. — Nie weźmie mi pani chyba za złe tego, że zarygluję na noc drzwi mego pokoju?

— Ależ oczywiście, może się pani zamknąć — odparła Molly.

— Wkrótce już przyjedzie zresztą, chwała Bogu, pani mąż — zakończyła kobieta i te ostatnie słowa ostatecznie utwierdziły Molly. Postanowiła działać tejże nocy.

Leżąc w łóżku, Molly czekała cierpliwie aż kobieta zaśnie. Serce waliło jej jak młotem. Nie ulegało przecież wątpliwości, że przez piwnicę można się wydostać na wolność. Ale czy słabe jej dłonie podolają temu zadaniu? Czy starczy jej odwagi na straszną wędrówkę w nocy?

O dziesiątej pani Barn życzyła jej głośno dobrej nocy i udała się do siebie. Molly przeczekała jeszcze dwie godziny, potem cichutko wstała. Była całkowicie ubrana, jedynie skrzypiące trzewiki pani Barn niosła pod pachą. Zatrzymała się pod drzwiami pokoju swej opiekunki. Usłyszała głośne chrapanie, przeszła więc do kuchni. Tu znalazła zapalki i lampę. Potem cichutko jak

myszka zeszła do piwnicy. Postawiła lampę na podłodze, podniosła ciężki kilof i uderzyła. I tu zaszło coś niespodziewanego. Od jednego uderzenia cała ściana runęła, cegły posypały się z hukiem na ziemię. Molly uskoczyła szczęśliwie w bok, ale serce przestało jej na chwilę bić z przerażenia. Pani Barn musiałaby mieć niezwykle mocny sen, by nie słyszeć tego przerażającego hałasu. Nie namyślając się długo, dziewczyna pobiegła z powrotem na górę, stąpając jak najciszej po skrzypiących schodach. Za ledwie zdążyła wsunąć się do łóżka, gdy za drzwiami rozległy się ciężkie kroki, drzwi otworzyły się i na progu stanęła postać kobieca w fantastycznym, czerwonym szlafroku ze świecą w ręku.

— Co to był za hałas? — spytała.

Molly otulona kołdrą znakomicie odegrała rolę osoby przebudzonej ze snu.

— Co się stało? — spytała.

— Czy nie słyszała pani tego huków?

— Nie — odparła Molly.

Pani Barn obeszła cały dom ze świecą w ręku, ale nie odważyła się zejść do piwnicy, więc nie natrafiła na

ślady pracy Molly. Wreszcie dziewczyna usłyszała, że jej opiekunka wraca do swego pokoju. Zgrzyt ryglowanych drzwi był dla niej najśłodszą muzyką. Przeczekała nową godzinę i dopiero gdy chrapanie pani Barn doleciało aż do jej uszu, wyszła znowu z łóżka. Za chwilę, zapaliwszy porzuconą w piwnicy lampę, stała przed otworem, ostrożnie wyjmując z niego jedną cegłę po drugiej dla rozszerzenia dziury.

Nagle, w mrocznym otworze, ujrzała coś białego i długiego.

Cóż to mogło być? Molly wzięła lampę i poświeciła nią sobie. Nogi ugięły się pod nią, zimny pot oblał całe jej ciało. Resztkami świadomości powtarzała sobie: Tylko nie upaść, tylko nie upaść!

We wnęce ściany stał szkielet ludzki. Puste oczodoły spoglądały na dziewczynę z wyrzutem, a straszliwe zęby śmiały się do niej złośliwie.

## ROZDZIAŁ XXII

### CZŁOWIEK W OKNIE

Cofnęła się ku wyjściu i nie mając odwagi odwrócić się od tego potwornego widoku, szła wciąż tyłem, aż dotarła do drzwi piwnicy. Wówczas zamknęła je za sobą i po chwili znalazła się cała drżąca na górze.

Na progu hallu zatrzymała się. Wyraźnie słyszała czyjeś kroki w przedsionku. Nie były to kroki pani Barn. Ktoś wyraźnie chodził. Czyżby wyobraźnia podsuwała jej takie złudzenie? A może to Bob Stone wrócił? Cichymi krokami przebiegła hall, po chwili była już w swoim pokoju, przebrała się i wsunęła do łóżka.

Jaką to straszną tajemnicę krył ów zrujnowany dom? Jakie duchy go nawiedzają? Jakie zbrodnie zostały popełnione w tych murach?

Jasno już było, gdy Molly, wyczerpana zasnęła. Obudziła ją pani Barn.

— Przyniosłam pani filiżankę herbaty —



powiedziała — ale proszę sobie nie wyobrażać, że będę to robiła co rano. Powiem to pani mężowi, jak przyjdzie, że nie myślę pani usługiwać.

Molly usiadła na łóżku.

— Przepraszam panią, pani Barn — powiedziała — zdaje mi się, że nie spałam zbyt dobrze.

— Ręce pani są całe podrapane. Co to się stało? Ładnie będzie pani wyglądała na przyjazd męża. Spodziewam się, że dziś przyjdzie.

Przyjdzie! A więc jeszcze nie przyjechał. Nie on był tą tajemniczą postacią, która przemknęła w nocy przez ciemny hall. Na krótką chwilę zbudziła się w niej nadzieja, że może to był Jetheroe, który już nieraz był pomocą w jej smutnym życiu.

— Czy mogę wziąć kąpiel? — spytała.

Pani Barn roześmiała się.

— Kąpiel? Nie ma tu żadnej kąpeli. Zresztą, jest pani dość czysta, wystarczy umyć twarz, i koniec. Czekam na dole ze śniadaniem.

Śniadanie składało się z czerstwego pieczywa i skondensowanego mleka. Najwidoczniej zapasy były dostarczane tu z miasta tylko raz na parę dni.

Po śniadaniu usłyszały, że ktoś puka do furty. Pani Barn przezornie zamknęła Molly na klucz w domu, a sama poszła otworzyć. Wróciła, niosąc cały kosz pełen prowiantów.

— Teraz nie umrzemy przynajmniej z głodu — powiedziała, kładąc na stole dwa bochenki chleba. — Co pani będzie robiła teraz? Znowu urządzi pani małą wycieczkę do piwnicy?

Molly zadrżała.

— O, nie — powiedziała — posiedzę sobie w ogrodzie.

— Czy umie pani gotować?

— Nie — przyznała się dziewczyna.

— Już najwyższy czas byłby się nauczyć — mruknęła pani Barn i poszła do kuchni.

Molly obeszała dom wokoło, a potem, nie chcąc być sama, wróciła do kuchni. Zastała panią Barn stojącą przed stołem kuchennym, na twarzy jej malowało się zdumienie.

— Ile bochenków chleba przyniosłam tu dzisiaj, czy pani widziała? — spytała.

— Dwa — odparła dziewczyna. — Dlaczego pani

o to pyta? — Gdzie jest drugi? — zapytała, wskazując dłonią tylko jeden bochenek na stole. Drugi zniknął.

— Czy pani jest pewna, że były dwa bochenki? — spytała pani Barn.

— Tak. Jak najpewniejsza — rzekła Molly.

— Nie ma tu szcurów, a gdyby były, również nie mogłyby porwać bochenka chleba.

Molly serce zabiło mocno. Przypomniała sobie tajemniczą postać, przemykającą się w nocy przez hall. Miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Nerwy jej były mocno nadszarpnięte.

— Musiałyśmy się omylić, pani Barn — powiedziała. — Jestem tak zmęczona, że nie wiem, co się ze mną dzieje. Może widzę przedmioty, których nie ma.

— Ale ja nie jestem tak zmęczona — rzekła pani Barn surowo. — Czy pani nie wzięła tego chleba?

— Po cóż mi chleb? Nie jestem głodna, a pani nie broni mi jeść ile zechcę — powiedziała dziewczyna spokojnie.

Pani Barn bez słowa odpowiedzi schowała zapasy do szafki.

Molly usiadła w kuchni na krześle. Nie miała ochoty wychodzić z domu; była pewna, iż widziała dwa bochenki. Jeden bledszy, drugi bardziej wypieczony. Ten drugi właśnie zniknął.

— Dziwne rzeczy dzieją się w tym domu — gderала pani Barn. — Chciałabym, żeby przyjechał już raz pani mąż.

Molly westchnęła. W strachu, który przeżyła tej nocy zapomniała o realnym niebezpieczeństwie, jakie jej groziło – o Bobie Stonie. Teraz przypomniła sobie, że jedyna nadzieja jej ucieczki rozwiąła się w nicość, i że będzie musiała zostać w tym domu tajemniczych szelestów, westchnień, ukrytych szkieletów i zagadkowych cieni...

O, jakże bała się nadchodzącej nocy!

Po południu, gdy pani Barn oddała się swej zwykłej drzemce, Molly odważyła się raz jeszcze wyjść do ogrodu.

Podniósłszy głowę do góry, przyglądała się tajemniczemu domowi. Nagle wzrok jej padł na małe, trójkątne okienko, przysłonięte matową szybką. Okienko to należało do pokoju znajdującego się w

sąsiedztwie jej sypialni. Molly nie była tam nigdy, ale pani Barn powiedziała, że to jest schowek.

Molly poczuła że lodowaty dreszcz przebiega całe jej ciało...

Za oknem wyraźnie mignęła blada jak płótno twarz. Dziewczyna upadła zemdlna.

Pani Barn, zwabiona łoskotem upadającego ciała, wybiegła z domu. Podniosła Molly, ale na próżno potrząsała nią, dziewczyna długo nie dawała oznak życia.

Dopiero po dłuższej chwili otworzyła oczy.

— Co się z panią dzieje? — spytała pani Barn. — Czy pani naprawdę zwariowała?

— Zdaje się, że oszalałam — odparła dziewczyna, łkając.

— Co pani zobaczyła? — pytała podejrzliwie kobieta.

— Nic, nic — odrzekła dziewczyna, a w myśli pocieszała się, że to może było złudzenie, które stworzył blask słońca na mlecznej szybie okienka.

Gdy nadszedł wieczór, Molly zwróciła się do pani Barn z prośbą.

— Czy nie mogłabym spać u pani w pokoju dzisiejszej nocy?

— W moim pokoju? O, nie! Czyż nie mówiłam pani, że boję się spać z wariatami?

— Ależ pani wie przecież doskonale, że nie jestem obłąkana...

— Czy jest pani, czy nie, to mi jest obojętne. Nie będzie pani nocowała w moim pokoju, gdzie chowam wszystkie klucze! Zostanie pani u siebie na noc.

— Czy pani ma klucz od mego pokoju?

— Czy mam, czy nie, i tak go pani nie dostanie! — brzmiała odpowiedź. — Będzie pani spała u siebie i sama, chyba... — tu zły uśmiech rozjaśnił jej brzydką twarz — chyba że przyjedzie mąż pani...

— Mój mąż?! — zawołała. — Chyba pani nie wpuści tego człowieka do mojej sypialni! Pani wie, że on nie jest moim mężem! Pani wie! Pani to wie!

Pani Barn pokiwała smutnie głową.

— Na tym polega właśnie cała pani choroba... Biedna, mała wariatka!

Molly w obliczu nowego niebezpieczeństwa, zapomniała na chwilę o szkielecie w piwnicy i bladej

twarży w oknie. Położyła się całkowicie ubrana do łóżka; chciała zabarykadować drzwi, ale w pokoju nie było ani jednego dość ciężkiego mebla.

— Nie zasnę... — obiecywała sobie, ale nie spała przecież i poprzedniej nocy, toteż natura wzięła górę i po chwili spała już młodym, zdrowym snem.

— Obudź się!

Jakaś dłoń dotykała jej twarzy, a nad uchem rozlegał się głos Boba Stone'a.

— Obudź się, Molly!

Usiadła na łóżku. Obok niej stał Bob w zakurzonym płaszczu podróżnym. We drzwiach ujrzała panią Barn w jej czerwonym szlafroku, ze świecą w ręku. Musiała być jeszcze głęboka noc.

— Wstań, Molly — powtórzył Bob, — ach, pani jest ubrana? To bardzo dobrze...

— Czego pan chce? — spytała szeptem.

— Wiesz, Molly, że chcę ciebie i że będę cię miał. Odwrócił głowę ku stojącej w drzwiach kobiecie.

— Może pani odejść — rzekł — i zamknąć drzwi za sobą.

— Niech pani nie odchodzi — błagała Molly.

Ale drzwi już się zatrzasnęły. Tuż nad jej twarzą pochylała się wykrzywiona i pokryta pyłem twarz Boba.

— Wiedzą już wszystko, — powiedział chrapliwie.  
— Sok Smith będzie tu za dwie godziny...

— Tutaj? Czy wie, że jestem?

— Tak, Smith wie. Toteż zabiorę cię stąd. Pojedziemy do pięknego kraju – do Brazylii; tam mnie pokochasz, tam...

— A jeśli ja nie zechcę? Co się ze mną wówczas stanie? Czy to samo, co z owym człowiekiem w piwnicy?

Ledwo wymówiła te wyrazy, już ich pożałowała. Twarz Boba zzieleniała.

— Człowiek w piwnicy? Człowiek w piwnicy? — bełkotał. — Boże Wielki! Pani go znalazła?

Molly zrozumiała, że nie powinna była o tym mówić teraz. Ale było już za późno.

Bob trząsnął jej ramieniem.

— Niech pani odpowiada! Jak pani go znalazła? Kiedy? Czy ta kobieta wie?

Opowiedziała mu wszystko tak, jak było



naprawdę.

Słuchał ze spuszczoną głową.

— Biedactwo — powiedział niezwykle łagodnym głosem, tego powinienem być pani oszczędzić.

Nagle spojrzął na zegarek.

— Jadę do Plymouth — powiedział i ku zdumieniu Molly dodał:

— Nie biorę pani jeszcze ze sobą. Wrócę po panią.

— Sądzę, że pan nie wróci! — powiedział jakiś męski głos.

Molly i Bob odwrócili się gwałtownie. W drzwiach stał młody mężczyzna, w ręku trzymał rewolwer. Molly poznała go natychmiast. Tak, ta sama twarz mignęła jej w tajemniczym okienku i zapewne ta sama postać przemykała się w mrokach hallu.

— Jestem podinspektor Frank Weldon ze Scotland Yardu — powiedział. — Aresztuję pana, panie...

W tej chwili huknął strzał. To Bob Stone zdążył wyciągnąć z kieszeni swą mechaniczną bron. Frank zachwiał się i upadł na twarz.

Molly krzyknęła. W drzwiach ukazała się przerażona pani Barn.

— Co pan zrobił? — zawołała.

Bob Stone podniósł bezwładne ciało, zarzucił je sobie na plecy, i wyszedł z pokoju; przeszedł przez ogród i zniknął wraz ze swym ciężarem za bramą.

— Mój Boże! Mój Boże! — jęczała pani Barn. — Morderstwo, przyjdzie tu policja! Będzie śledztwo. Ach, po co ja się w to mieszałam! Po co brałam od niego pieniądze!

— Skąd się tu wziął ten wywiadowca? — Musiał być cały czas w domu — odparła drżącym głosem Molly, a pani Barn dalej łamała dłonie.

— Ale pani powie, pani powie policji, że ja nie byłam obecna przy zbrodni? Pani powie, że jestem niewinna w tej całej sprawie? Dał mi pięćset funtów za to, żebym pani pilnowała, ale czy mogłam wiedzieć, że zabije człowieka?

Molly przerwała jej:

— Proszę mnie zostawić samą, pani Barn — powiedziała — chcę trochę pomyśleć.

— Ale pani będzie świadczyła o mojej

niewinności... — jęczała dalej pani Barn — ja przecież nic nie wiem...

Widok tej przekupnej istoty, drżącej przed wymiarem sprawiedliwości był doprawdy obrzydliwy. Rzecz dziwna, im więcej pani Barn rozpaczała, tym większy spokój wstępował w Molly. Obudziła się nawet w niej pewna przekora, zapragnęła przestraszyć jeszcze więcej swą dręczycielkę.

— Spytają panią z pewnością o szkielet znajdujący się w piwnicy — powiedziała z uśmiechem.

— Szkielet? — jęknęła pani Barn. — Jaki szkielet w piwnicy?

— Widocznie już przedtem zamordowano kogoś w tym domu — powiedziała Molly.

Pani Barn całkowicie złamana poszła się położyć, wciąż jęcząc. Molly została sama.

Nie słyszała, że furtka ogrodowa otworzyła się i wszedł z powrotem Bob Stone. Zatrzymał się po cichu w hallu i nasłuchiwał. Usłyszał wyraźnie, jak pani Barn jęczy w swym pokoju:

— Szkielet... Szkielet...

Zrozumiał, że Molly musiała jej powiedzieć o swym

odkryciu. Nie martwiło go to jednak zbyt. Przeciwnie, w ten sposób był przynajmniej pewien, że żadna z dwu kobiet nie przeszkodzi mu w piwnicy. Bezszelestnie zszedł na dół do piwnicy, świecąc sobie latarką elektryczną. Przyszedłszy tam, wyjął z kieszeni dwa automatyczne pistolety i sprawdził, czy są w porządku.

Bob Stone nie był obłąkany. Był przy zupełnie zdrowych zmysłach. Popelniał zbrodnię za zbrodnią na skutek straszliwego splotu okoliczności. Pierwsza zbrodnia pociągnęła za sobą wszystkie następne. Zdawać się mogło, że oplątała go jakaś potworna sieć, z której już nigdy się nie wydostanie. Chcąc zatrzeć ślady pierwszego morderstwa, musiał popelniać wciąż nowe i nowe, i popelniał je z zimną krwią.

Frank Weldon żył jeszcze w chwili, gdy wynoszono go z domu. Nie namyślając się wiele, Bob rzucił go do pobliskiego stawu, samochód swój ukrył o milę od domu i ukrył się tu w piwnicy, oczekując przybycia Sokratesa Smitha, jego brata i Jetheroego. Tak, Jetheroego.

Wiedział o tym, że przybędzie tu i Jetheroe, ten

sam, który omal go nie zadusił w chwili, gdy pisał nazwę miejscowości, do której wywiózł jego córkę. Jetheroe też tu przybędzie! Tego był pewien. Zgasił latarkę i spokojnie czekał.

Wiedział, że Sok nie potrzebował wiele czasu na wydostanie się z zamknięcia. Wiedział, że natychmiast będzie się chciał skomunikować z policją w Ashburtonie, ale wszelkie linie telefoniczne i telegraficzne do Ashburtonu prowadzą przez Exeter, a słupy telegraficzne ciągną się wzdłuż szosy Exeter-Taunton. Bob Stone był w swoim czasie, gdy służył w policji, najwytrawniejszym specjalistą spraw telegrafii, toteż teraz nie omieszkał skorzystać z tej umiejętności i objechawszy całą drogę, za pomocą specjalnych nożyc tak znajstrował druty, że Exeter na dłuższy przeciąg czasu odcięte zostało od świata. Wyliczył dokładnie, że reperacja drutów potrwa co najmniej sześć godzin i w ciągu tego czasu mógł przeprowadzić swój plan. Była jeszcze ta możliwość, że Sok, nie mogąc porozumieć się w inny sposób, pojedzie sam do Ashburtonu, by pomówić z policją, ale znając Soka, Bob przypuszczał że raczej będzie się śpieszył, by wybawić dziewczynę i

sam dostać w swe ręce zabójcę Johna Mandle'a.

Bob miał ochotę zapalić papierosa, ale bał się, że dym może zdradzić jego kryjówkę, siedział więc beczynnie i po cichutku. Tymczasem, Molly, siedząc przy oknie i czekając w napięciu, co dalej nastąpi, usłyszała warkot motoru. Pani Barn wpadła natychmiast do pokoju.

— To z pewnością on wraca! — jęczała.

Furta ogrodu otworzyła się szeroko i wbiegł Sokrates. Molly zbiegła mu naprzeciw ze schodów i ukryła się w jego ramionach jeszcze zanim Lex zdążył jej dopaść.

Plącząc ze wzruszenia, opowiadała bezładnie wszystko, co zaszło.

— Trafił Franka Weldona — zawołał Sok. — Czy pani sądzi, że go zabił?

Pokiwała smutnie głowią.

— Obawiam się, że tak — powiedziała. — Upadł na twarz jak nieżywy. — Wstrząsnęła się. — O, Sok, cóż to za okropny, okropny dom!

Lexington objął ją ramieniem i szeptał jej do ucha:

— Zaraz pojedziemy do domu, kochanie. Cicho

już, cicho...

Sok wypytywał panią Barn, ale niewiele mógł się od niej dowiedzieć. Była tak pełna przerażenia i tak bała się aresztowania, że mówiła bez związku.

— Czy Stone mówił, że wróci tu jeszcze? — pytał Sok.

— Tak mówił, ale nie wiem, czy wróci — jęczała. — O, biedny, młody pan. Tak go zabić.

— Nie pytam panią o młodego człowieka. Będzie pani odpowiadała przed sądem za swoje grzechy w tej sprawie.

— Jestem niewinna, jak nowo narodzone dziecko. Powiedział mi, że ta młoda pani jest obłąkana.

— Wiedziała pani doskonale o tym, że ona jest przy zdrowych zmysłach, pani Barn — powiedział surowo Sok. — Nie po raz pierwszy będzie pani oskarżona o coś podobnego i sądzę, że tym razem nie miną panią ciężkie roboty.

Upadła przed nim na kolana i wołała:

— Ja nie wiem nic! Nic! Nie wiedziałam nawet nic o szkielecie, dopóki...

— O szkielecie? — powtórzył Sok. — O czym

pani mówi?

— To ona, ona sama go znalazła. Ja nic nie wiem.

— Jaki szkielet? Kto znalazł szkielet? — powtórzył

Sok.

Pani Barn, płacząc, wskazała na Molly:

— To ona znalazła w piwnicy szkielet człowieka.

— O, proszę, nie każcie mi teraz o tym mówić — szepnęła Molly.

— Dobrze, dobrze, moje biedactwo, pomówimy potem, powiedział Sok łagodnie. — Wiedziałem, że tu musi być gdzieś szkielet, ale nie sądziłem, że go znajdziemy.

Polecił wystraszonej kobiecie zająć się przygotowaniem jakiegoś posiłku i zostawiwszy młodych samym sobie, poszedł szukać śladów samochodu Boba.

Znalazł z łatwością ślady zostawione przez opony olbrzymiego samochodu. Ślady te skręcały raptownie z drogi na lewo i Sok dziwił się, czemu Bob, mając doskonałą szosę, skręcił z niej w bezdroża. Przypomniawszy sobie Franka i przyśpieszył kroku. Nie wątpił teraz o tym, że Bob porzucił gdzieś w błotach



żywego czy zmarłego wywiadowcę.

Ślady doprowadziły go istotnie do samochodu stojącego w zaroślach. Ale nie było tam ani Boba ani Franka. Obejrzał uważnie wóz i znalazł ślady krwi na poduszkach samochodu. Zaledwie o dwanaście jardów stamtąd znajdował się staw. Sok przedarł się przez krzaki i wydostawszy się nad staw, natknął się nagle na jakiegoś młodzieńca, siedzącego na ziemi i chusteczką od nosa usiłującego obandażować sobie ranę.

— Frank! — krzyknął radośnie.

Młodzieniec podniósł głowę.

— Halo, Sok — zawołał. — Wiedziałem, że pan przyjdzie. Czy go pan złapał?

— Widzę, że dobrze ci dogodził, chłopcze — rzekł Sokrates, klękając obok rannego na ziemi.

— Nic strasznego. Mogło być gorzej — odparł tamten wesoło. — Powiedz mi lepiej, czyś go schwycił?

— Jeszcze nie — rzekł Sokrates — ale co on zrobił z panem, biedny chłopcze?

— Zaraz panu opowiem. Kiedy mnie zranił, straciłem na chwilę przytomność, a kiedym ją odzyskał, udawałem zemdlonego w nadziei, że porzuci mnie

gdzieś na drodze. Rzucił mnie najpierw do auta (to chłop silny jak lew) a potem wywiózł aż tutaj i wrzucił do stawu. Wygramoliłem się jakoś na szczęście, choć nie było to bynajmniej łatwe ze względu na błotniste dno. A gdzież on się podział?

— Samochód zostawił — powiedział Sok.  
— Chyba nie uciekł piechotą.

— Z pewnością miał tu gdzieś w pobliżu drugie auto — powiedział Frank. — Niech pan się nie obawia, już on dobrze wszystko obmyślił. Ale chyba nie zdążył uprowadzić miss Molly? — dodał z niepokojem.

— Nie — powiedział Sok.

Pomógł Frankowi wstać i powoli poszli w kierunku domu.

— Czy widział pan Jetheroego? — zapytał nagle Sok.

Frank wstrząsnął głową przecząco.

— Czy pan myśli, że Jetheroe wie, gdzie jest panna Templeton — spytał.

— Sądzę, że wie — odrzekł Sok. — Dowiedział się wówczas, kiedy to omal nie zadusił Boba w jego własnym gabinecie. Ale, prawda, pan nie zna tej historii

— i pokrótce opowiedział, co się wydarzyło w Prince's Place.

— I pan strzelał do niego, wiedząc, po co się zjawił u Boba? — spytał Frank.

— Nie zrobiłem mu tym strzałem żadnej krzywdy. Chciałem tylko dla jego własnego dobra, by zniknął.

\* \* \*

Molly była prawdziwie uradowana, widząc, że Frank żyje.

— Lękam się, że pani się przeze mnie bardzo przestraszyła — powiedział Frank. — Zobaczyła mnie pani w oknie, ale byłem pewien, że pani mnie pozna.

— Wyglądał pan okropnie — powiedziała dziewczyna. — Kiedy zobaczyłam pana po raz pierwszy...

— Po raz pierwszy? — zdziwił się Frank. — A czy pani widziała mnie dwa razy?

— Tak, widziałam pana przechodzącego przez hall w nocy.

— Cóż pani robiła tak późno w nocy w hallu?

— Opowiem to wszystko po śniadaniu —  
odrzekła.

Mimo obecności pani Barn i mimo wyczerpania, które ogarniało wszystkich, było to jedno z najweselszych śniadań.

Po jedzeniu, gdy pani Barn odeszła do kuchni, Sokrates opowiedział zebranym historię zabójstwa Johna Mandle'a.

## ROZDZIAŁ XXIII

### HISTORIA ZABÓJSTWA

— Całą tę historię — zaczął swe opowiadanie Sok — zrekonstruowałem z małych fragmentów. Składają się na nią relacje otrzymane przeze mnie ze Scotland Yardu i Wydziału Śledczego, opowiadania służby Johna Mandle'a oraz Boba Stone'a, zeznania Molly...

— Moje? — zdziwiła się dziewczyna.

— Tak, i pani. Wreszcie moje własne obserwacje — ciągnął Sok. — Gdy przeszło tydzień temu otrzymałem zaproszenie od Johna Mandle'a z prośbą, bym zechciał spędzić u niego na wsi koniec tygodnia, wyznaję, że byłem ogromnie zdziwiony. Nie widziałem Mandle'a od lat, a gdy kolegowaliśmy ze sobą, byliśmy w dobrych stosunkach, ale nigdy w przyjaźni. Ja osobiście nie uznawałem nigdy metod Mandle'a, nie godziłem się z jego bezwzględnością w stosunku do

więźniów, a zwłaszcza potępilem ostro jego postępowanie w sprawie Kennetha Warda, którego pani, Molly, zna pod nazwiskiem Jetheroego.

— Czy Jetheroe był przestępcą kryminalnym? — spytała Molly ze zdumieniem.

Sok zawahał się z odpowiedzią.

— Człowiek ten wpadł w bardzo złe towarzystwo i na skutek tego został wplątany w parę nieprzyjemnych spraw — powiedział wreszcie oględnie. — Był on wówczas jeszcze bardzo młody. Skazano go na karę więzienia. Gdy go wypuszczono, dostał się pod wpływ tejże bandy, brał udział w paru jej sprawkach i został aresztowany przez Johna Mandle'a. Za sprawą Mandle'a skazano go na bardzo surową karę długotrwałego więzienia. Mandle jednak nie postąpił w tym wypadku wyłącznie w imię sprawiedliwości. Bowiem dowiedział się w międzyczasie, że Ward był żonaty z prześliczną dziewczyną, która nie miała pojęcia o przestępstwach swego męża. Ward poślubił ją zresztą, pod przybranym nazwiskiem. — Sokrates zatrzymał się na chwilę. —

Nazwisko to brzmiało Templeton.

Dziewczyna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Templeton? — powtórzyła. — Czyżby... czyżby to była moja matka?

— Tak, to była pani matka — potwierdził z powagą Sokrates.

— Więc Jetheroe...

— Jest pani ojcem, i niech pani pamięta, drogie dziecko, że przeszłość jego jest już tylko przeszłością... Człowiek ten wiele cierpiał, ale od lat prowadzi już uczciwy tryb życia i miałem okazję się przekonać, że majątek, który posiada, zdobył drogą uczciwą. Po wyjściu z więzienia otrzymał znaczny spadek od swej krewnej, która nic nie wiedziała o tym, co na nim ciąży.

Molly miała oczy utkwione w twarzy mówiącego. Nie trudno było spostrzec, jak ważną jest dla niej kwestia rehabilitacji cudem odzyskanego ojca.

— Jetheroe zniknął — ciągnął Sok. — Nie pisał wcale do żony, gdyż nie śmiał, żyjąc pod cudzym nazwiskiem, i Mandle, który zdołał zdobyć jej miłość i zaufanie, wmówił jej, że mąż jej umarł. Mam wrażenie, że musiał nawet podrobić akt zgonu. Młoda kobieta

uwierzyła mu, że jest wdową i wyszła za niego za mąż.

— Teraz rozumiem — przerwała Molly. — Rozumiem dlaczego mnie tak nienawidził! Nie mógł mi darować, że byłam córką mego ojca!

— To możliwe — odparł Sok. — W każdym razie Mandle robił, co mógł, by znowu uwięziono pani ojca i skazano go na jak najdłuższe więzienie. Ale posłuchajcie dalej. Przeszło dwadzieścia lat temu Mandle i Stone rzucili służbę i osiedlili się w okolicy Hindhead. Pozornie byli najlepszymi przyjaciółmi. Mandle bywał u Stone'a wraz z żoną i jej dzieckiem i przyjmował go często u siebie. W miarę jednak, jak płynęły lata, dwaj pozorni przyjaciele zaczęli się sobie wzajemnie śmiertelnie obawiać. Nikomu nie przyszło do głowy, że kiedy siedem lat temu Mandle zaczął otaczać swój dom pułapkami i wszelkimi środkami obrony – było to zabezpieczanie się przed najlepszym przyjacielem. W każdym razie i Stone poszedł za jego przykładem i wprowadził u siebie te same urządzenia. Katastrofa nadeszła wówczas gdy Bob Stone przystąpił do bractwa religijnego. Wiadomość o tym, że Stone ma zamiar wziąć udział w zjeździe religijnym w Godalming



doprowadziła Mandle'a do panicznego lęku.

— Ale dlaczego? — spytał Lex ze zdumieniem.

— To bardzo proste. Na tego rodzaju zjazdach ma zwykle miejsce publiczna spowiedź — wyjaśnił Sokrates. — Jest to jedna z form egzaltacji religijnej, przy czym uczestnicy zjazdu starają się sami jak najwięcej poniżyć wobec wszystkich innych. Mandle'a ogarnął strach, że Bob Stone w przystępie takiej egzaltacji wyzna publicznie ich wspólne grzechy i w ten sposób go wyda. Nie chcąc być w tym niebezpiecznym okresie sam (nie zapominajmy, że wciąż obawiał się śmierci z ręki Boba), zaprosił mnie do siebie pod pretekstem zwykłej wizyty. Zapraszając mnie, miał przede wszystkim na myśli stworzenie sobie alibi poświadczonego przez tak wiarygodnego dla sądu i policji świadka, jakim ja jestem. Chodziło o to, abym ja poświadczył, że owego nieszczęsnego wieczora nie mógł chodzić o własnej sile i wobec tego nie był w stanie powiesić Roberta Stone'a.

— Powiesić go? — spytał Frank. — Więc to tak było?

Sokrates pokiwał głową.

— Mandle i Stone — mówił dalej — porozumiewali się za pomocą świetlnych znaków systemu Morse'a. Mandle postanowił zamordować Stone'a w nocy 3 czerwca. Zależało mu więc na tym, abym ja był u niego tej nocy. Stąd jego irytacja, gdy nie przybyliśmy wcześniejszym pociągiem i ciągle niecierpliwie wypytywanie Molly, czy nie ma depeszy. Kiedy był już pewien, że przyjeżdżamy, symulował ciężki atak reumatyzmu i mówił, że nie może się o własnej sile poruszać. Stone'owi zaś, który odwiedził go po południu powiedział, że musi go widzieć tej jeszcze nocy, ale że da mu znak, gdy wszyscy zasną. Istotnie Bob otrzymał sygnał i udał się na zwykłe miejsce ich spotkań przy trzech dębach. Mandle musiał wyjść z domu jeszcze przed Molly. Szelest, który usłyszała w krzakach to były właśnie jego kroki. Przeczekał aż Molly go minęła i ruszył naprzód dobrze mu znaną ścieżką. Ze sobą wziął grubą linę z pętlą na końcu. Miał zamiar zarzucić tę linę na szyję Stone'owi i skrepowawszy go, powiesić na drzewie.

Molly zadrżała.

— W kieszeni jego znaleźliśmy kajdanki ręczne.

Tymi kajdankami chciał skrepować ręce swej ofiary, a po jej śmierci zdjąć je i nadać wszystkiemu charakter samobójstwa. Już od dłuższego czasu Mandle przygotowywał grunt, opowiadając wszystkim, a między innymi i inspektorowi Malletowi, o manii religijnej Stone'a i o jego nienormalnych fantazjach. Ale Bob zjawił się na miejscu spotkania z bronią w kieszeni i przy pierwszym usiłowaniu ataku odparł go natychmiast. Tą samą liną, która była przygotowana dla niego skrepował Mandle'a, a gdy ten się bronił, wystrzelił i nie chybił... W czasie szamotania się Mandle natrafił zębami na linę i odgryzł kawałek. Częsteczki tego sznura utkwily mu między zębami.

— I to właśnie były owe kawałeczki sierści, które znalazłeś potem na jego poduszce — zawołał Lex.

— Tak — ciągnął Sok — ale jeszcze fatalniejsze było to, że zobaczył go Jetheroe. Jetheroe, który wyszedł z domu, by się przekonać, kto to przestraszył tak Molly.

Od tej chwili miał jedną myśl: zrzucić winę na Jetheroe'go i oplątać go tak, by nie miał wyjścia.

— Stone musi być obłąkany — szepnęła Molly,

pełna przerażenia.

— Nie sędzę — odparł Sok — przeciwnie, wydaje mi się, że jest zupełnie zdrow. Muszę przyznać, że niekiedy mi go nawet żal. Nie ulega wątpliwości, że zabił Mandle'a, działając we własnej obronie, ale na to nie ma żadnego dowodu.

— A ów wybuch obłądnego śmiechu, który pan słyszał w lesie? — pytała Molly.

— Był udany, jak to już kiedyś mówiłem, by przestraszyć mnie i skierować dochodzenie na fałszywe tory.

— Tak, to słuszne — potwierdził Frank.

— A teraz, Molly — powiedział Sok — opowie nam pani o szkielecie.

Molly opowiedziała wszystko dokładnie.

— W piwnicy? — rzekł zamyślony Sok. — A ja byłem pewien, że znajdę zwłoki zakopane w ogrodzie, nawet kazałem w tym celu skosić całą trawę, by znaleźć mogiłę zamordowanego.

Lex spojrział na niego zdumiony.

— Doprawdy spodziewałeś się znaleźć szkielet? — rzekł z podziwem.

— W każdym razie zwłoki — odparł Sok. — A teraz, Lex, Molly tu zostanie, a my pójdziemy do piwnicy.

— Pójdę z panem — powiedział Frank. — Trzeba zabrać lampę.

Molly podała im lampę i trzech mężczyźni ruszyli po schodach na dół.

Sokrates przyklęknął przed niszą i poświecił sobie lampą.

— Ładny strzał, co? — spytał.

Palcem wskazał na niewielki otwór w czaszce.

— Tędy przeszła kula.

Nachylił się jeszcze bardziej, ale w tej samej chwili, zanim towarzysze zdolali się zorientować co się stało, cisnął lampę na ziemię i upadł na wznak. Piwnicę zaległy grobowe ciemności. W ciemnościach tych rozległ się strzał, potem drugi.

Z góry doleciał pełen przerażenia głos Molly:

— Co się tam dzieje?

— Niech pani natychmiast zabarykaduje się w swoim pokoju! — brzmiała odpowiedź Soka. — Prędko!

W tej chwili, tuż koło głowy Soka gwizdnęła kulka. Bob Stone skorzystał z tej chwili, gdy Sok odchylił się, by uniknąć śmierci i jednym skokiem znalazł się na schodach piwnicy. W ten sposób panował nad sytuacją, gdyż każdego, który by go chciał ująć mógł zasypać z góry kulami. Zdawało się, że wszystko stracone. Ale w tej chwili gdzieś w głębi domu otworzyły się drzwi, rozległy się jakieś kroki. Ktoś nieznajomy wdarł się do domu. Bob opuścił swój posterunek na schodach i rzucił się w głąb mieszkania. Sok puścił się za nim. W hallu natknął się na Jetheroego. Nie zdziwił się wcale; wiedział, że nieznajomym, który wtargnął do domu, był Jetheroe. Zanim zdolali dosięgnąć Boba, słyszeli, jak wali on w drzwi pokoju Molly, krzyząc jak oszalały:

— Otworzyć! otworzyć natychmiast!

Na krzyk ten otworzyły się drzwi pokoju pani Barn.

— Niech pan ucieka, panie! — zawołała do niego.

— Już dość narobił pan złego!

— Precz! — wrzasnął Bob. W tej chwili rozległ się strzał i kobieta upadła na podłogę trafiona śmiertelnie.

Bob nie spojrział nawet na swą ofiarę, tylko dalej napierał na drzwi pokoju Molly.

Drzwi zaskrzypiały, zamek puścił, rozległ się przeraźliwy krzyk dziewczyny, ale w tej samej chwili na barki Boba skoczył Lex. Upadli razem na podłogę, potoczyli się w śmiertelnym uścisku aż do schodów, stoczyli razem ze schodów. Gdzieś z boku padł strzał, Bob jęknął i zaciężył w ramionach Lexa. Sok dopadł walczących, odepchnął brata i nachylił się nad Stone'em.

Konał.

Otworzył na chwilę oczy, a widząc nad sobą pochyloną twarz Sokratesa, uśmiechnął się słabo i coś szepnął.

Sok pochylił niżej głowę i usłyszał niewyraźne słowa.

Były to słowa przysięgi, przysięgi, którą Bob w agonii składał przed jakimś nieistniejącym, upiornym sądem.

— Przysięgam, że będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę... tak mi Boże dopomóż. Amen...

Głowa opadła mu na piersi. Umarł.

\* \* \*

Było już przed wieczorem, gdy Sok opuścił dom śmierci. W jadalni na podłodze leżały dwa zakryte ciała. Sok posłał jeszcze parę godzin przedtem Molly z bratem i Jetheroem do Londynu, a Franka, którego rana okazała się groźniejsza niż przypuszczali, wysłał do szpitala hrabstwa Devonshire.

Policja opieczętowała dom w Pool-in-the-Moor i zajęła się pogrzebem ofiary w piwnicy.

Sok wyjechał pociągiem, wychodzącym z Exeter o piątej i o wpół do dziesiątej był już w Londynie.

W mieszkaniu swym zastał całe towarzystwo, zebrane w jadalni.

— Nie, dziękuję, jadłem obiad w pociągu — powiedział na zaproszenie Lexa i tym zmartwił ogromnie Septimusa, który chciał koniecznie podać obiad ukochanemu panu.

— Późno przybył pan do Pool-in-the-Moor, Jetheroe — powiedział Sok, siadając.



— Musiałem jechać pociągiem, a to trwa długo — rzekł Jetheroe. — Muszę przyznać, że nie spodziewałem się was tam zastać. Na szczęście frontowe drzwi były otwarte; i tak już dość było dla mego wieku wysiłku przy przełazeniu przez ten potwornie wysoki mur.

— No, teraz wszystko się skończyło — rzekł Sok z westchnieniem.

— Masz taką minę, jak gdybyś się z tego powodu martwił — powiedział Lex.

— To była istotnie niezwykła i interesująca sprawa — rzekł Sok — i tak prędko się skończyła. Dziś mamy dopiero 10 czerwca, a więc akurat tydzień temu przybyliśmy do Hindhead. A teraz, panie Ward — uśmiechnął się do szczęśliwego ojca — proszę, niech pan mi da papier, który nas interesuje.

— Papier?

— No, tak. Sprawozdanie Johna Mandle'a, które pan znalazł w marmurowym tronie w altanie ogrodowej.

Jetheroe uśmiechnął się.

— Czekałem, aż pan tego zażąda — powiedział, wydobywając dokument z kieszeni i podając go

Sokowi.

— Czy rzuca on jakieś światło na tajemnicę Pool-in-the-Moor? — spytał Sokrates.

— Tak. Okazuje się, że tych dwu ludzi przeznaczenie od dawna pchało do zbrodni, ale że wówczas jej nie popełnili.

— Czy w dokumencie tym nie ma nic takiego, co by raziło pana, gdybym przeczytał go na głos? — spytał Sok.

— Ależ nie, proszę bardzo, niech pan czyta — rzekł Jetheroe.

Sok rozłożył papier, wzrok jego padł na ostatnią kartkę i zdumienie odmalowało się na jego twarzy.

— Panie Smith — powiedziała z wyrzutem Molly, nie wolno czytać końca zanim się nie przeczytało początku.

— Wiem, że nie wolno, a mimo to czynią tak często ci, którzy czytają powieści — powiedział Sok z uśmiechem. — Ale zaczynam! — I zaczął odczytywać na głos niezwyklej dokument.

## ROZDZIAŁ XXIV

### TAJEMNICA POOL-IN-THE-MOOR

Pozostawiam ten dokument na wypadek mojej śmierci do wiadomości tych, którzy pozostaną.

Robert Stone i ja wstąpiliśmy na służbę policji razem i jednocześnie awansowaliśmy w naszej karierze. Przyszła taka chwila, kiedy mieliśmy już wkrótce być mianowani naczelnikami wydziałów w służbie wywiadowczej.

Byliśmy obaj bardzo ambitni, zależało nam na awansach, toteż wszelkimi środkami staraliśmy się odznaczyć. Bob robił mi nawet wyrzuty, że jestem człowiekiem bez skrupułów. Przyznaję, że niekiedy nim byłem.

Służyliśmy już dłuższy czas w Scotland Yardzie, gdy banda spekulantów zdołała nas wciągnąć w swe transakcje. Muszę przyznać sprawiedliwość Bobowi, że on, zarówno jak i ja, nie orientował się, iż wpada w

nieczystą sprawę. Tymczasem spekulanci sprytniejsi od nas, wyciągali od nas coraz to większe sumy i była chwila, w której długi nasze wynosiły koło pięciu tysięcy funtów. Zwierzchnik nasz był człowiekiem bardzo surowych zasad i wiedzieliśmy o tym doskonale, że nigdy nie daruje nam, gdy się dowie, że wdaliśmy się w podejrzaną spekulację giełdową i w dodatku z ludźmi podejrzanymi.

Należało pieniądze jak najszybciej spłacić, a nie mieliśmy żadnego źródła dochodu. W tym to czasie wręczono mi rozkaz uwięzienia pewnego przestępcy. Przestępcą tym był kasjer Banku Lyońskiego, Emil Deveroux, który uciekł z trzydziestoma milionami franków. Policja francuska wiedziała, że schronił się on przed ich władzą w Anglii. Poznał go woźny banku przy ulicy Królowej Wiktorii. Był to jedyny punkt, o który można się było zaczepić w poszukiwaniach, jeśli nie liczyć zeznania pewnej znajomej Deveroux'a, która obiecała, jeśli zajdzie tego potrzeba, dostarczyć policji jego fotografię.

Bob i ja mieliśmy więc wyszukać Deveroux'a i aresztować go. Sprawa przedstawiała się beznadziejnie.

Pewnego wieczora siedzieliśmy z Bobem w restauracji w Soho i rozmawialiśmy o naszym strasliwym położeniu finansowym, gdy nagle zwróciliśmy uwagę na jakiegoś mężczyznę opuszczającego restaurację.

— Podobny jest do Deveroux'a — powiedział Bob, zrywając się nagle z miejsca. Nie widziałem tego podobieństwa, ale mimo to zapłaciliśmy rachunek i pośpiesznie opuściliśmy lokal. Na ulicy dogoniliśmy nieznanego.

Wsiadł do dorożki. Pojechaliśmy za nim. Zajechał na dworzec Zachodni. Zanim wydostaliśmy się z naszej dorożki, niezajany już siedział w pociągu. Znaleźliśmy go jednak z łatwością i dowiedzieliśmy się od tragarza, który wysyłał jego bagaż, że rzeczy nadane zostały do Ashburtonu. Nazajutrz rano i my zajechaliśmy do Devonshire. Ranek ów, było to 27 lutego, był bardzo zimny, toteż nie byliśmy zachwyceni, dowiedziawszy się na dworcu, że człowiek, którego ścigaliśmy, udał się do zapadłego folwarku leżącego przy szosie wiodącej do Newton Abbot. Mówiono nam w okolicy, że człowiek ten był Francuzem, i że przed trzema laty kupił folwark,

a następnie wydał wiele pieniędzy na wybudowanie wokół posiadłości wysokiego muru.

Nie chcieliśmy mieszać do tej sprawy miejscowej policji, ani niepokoić okolicy wiadomościami, że w sąsiedztwie mieszka niebezpieczny bandyta. Postanowiliśmy działać na własną rękę.

Padał śnieg z deszczem, gdy wyruszyliśmy z Bobem w uciążliwą drogę do folwarku Pool-in-the-Moor.

Mur, okalający dom, okazał się doprawdy bardzo wysoki, a jedyna furтка była zbyt masywna, by móc ją wyważyć. Nie było innej rady, tylko przeleźć przez mur. Stałem na ramionach Boba, podsadził mnie i zeskoczyłem do ogrodu. Moje usiłowania w kierunku wciągnięcia Boba tą samą drogą spełzyły na niczym, to też poradziłem mu, by zaczekał przy furcie, a spróbuje mu otworzyć.

W ogrodzie nie było żywej duszy, ale z komina unosił się dym.

Skradałem się jak najciszej pod murem ku furcie. Na szczęście klucz tkwił w zamku. Przekręciłem go i wpuściłem Boba do ogrodu. Bob chciał zrazu, byśmy

zadzwonili i udawali kupców z Ashburtonu, ale ja oparłem się temu projektowi, a zresztą przy bramie nie było nawet dzwonka.

Ku naszemu zdumieniu drzwi wejściowe otwarte były na oścież. Weszliśmy do ciemnego hallu

Z prawej strony, z pokoju doleciał nas jakiś szmer. Weszliśmy tam. Przy stole siedział jakiś mężczyzna, paląc cygaro. Jedno spojrzenie na jego przerażoną twarz wystarczyło, by się przekonać, że mamy ptaszka, o którego nam chodziło.

— Aresztuję pana, panie Deveroux, za defraudację, oszustwo i kradzież — powiedziałem po francusku.

W tejże chwili w dłoni Francuza błysnął rewolwer i natychmiast potem padł strzał. Deveroux padł twarzą na stół, z głowy sączyła mu się krew. Rzuciliśmy się ku samobójcy, było już za późno — nie żył. Wówczas dopiero ujrzeliśmy, że cały stół pokryty jest paczkami banknotów tysiącfrankowych, które Deveroux układał zapewne w stojącym przy stole kufierku. Bob nachylił się nad bezwładnym ciałem.

— Biedak. Już po nim — powiedział.

Spojrzelismy na pieniądze i oczy nasze spotkały się.  
— John — powiedział Bob — tu jest blisko milion.  
Rozumiałem o czym myśli.

— Nikt nie ma pojęcia o tym, że udaliśmy się do Pool-in-the-Moor, i nikt nie wie, że Deveroux uciekł w tym kierunku — powiedział Bob powoli.

Milczałem. Siedząc przy zakrwawionym, pokrytym pieniędzmi stole, myśleliśmy długą chwilę i potem przeszukaliśmy dom. Deveroux miał tam niewiele swoich rzeczy, sypiał na piętrze i sam gotował sobie posiłki w kuchni.

Widok dwu kadzi z wapnem i cegieł, zostawionych przez murarzy, którzy budowali mur, nasunął nam pomysł. Postanowiliśmy zamurować zwłoki Deveroux'a w piwnicy, nie wspominać nikomu o jego samobójstwie i przywłaszczyć sobie pieniądze.

Było to olbrzymie ryzyko, ale pieniądze były również olbrzymie.

W piwnicy natrafiliśmy na niszę w murze, dość dużą, by mogła pomieścić zwłoki Deveroux'a. Cały dzień trwała nasza ohydna praca, ale pod wieczór Francuz znajdował się już w swym kamiennym grobie.



Teraz należało jedynie zniszczyć rzeczy i dokumenty Francuza. Rozpaliliśmy ogień w kuchni i rzuciliśmy do komina wszystko, co należało usunąć. Niektóre banknoty były zakrwawione; Bob nalegał, by je spalić. Serce mi się ścisnęło na myśl, że niszczymy w ten sposób około pięciuset funtów, ale przyznałem mu rację.

Następnie zapakowaliśmy pieniądze do kufierka. Bob wyruszył przed świtem do Newton Abbot, gdzie wynajął bryczkę i konia. Czekałem na niego z kufierkiem. Zaryglowaliśmy drzwi, zabraliśmy klucze i wyjechaliśmy na stację kolejową.

Wyjechałem sam, a Bob wrócił do Ashburton i stamtąd udał się do Cardiff, gdzieśmy się spotkali.

Wróciliśmy razem do Londynu w niedzielę, zameldowaliśmy, że zbrodniarz nam umknął. Bob zmyślił ucieczkę do Ameryki Południowej.

Zostaliśmy jeszcze w służbie dwanaście miesięcy, po czym podaliśmy się do dymisji. Wszystkie nasze starania szły w tym kierunku, aby nie zauważono naszego nagłego wzbogacenia się...

— I na tym urywa się sprawozdanie — powiedział Sok, zdejmując okulary. — Nie ma tu ani słowa o podejrzeniach, które żywił w stosunku do Boba, o lęku, który go ogarniał na myśl, że towarzysz i wspólnik go zdradzi. A mimo to, jest prawdą, że obaj żyli pod strachem i jeden ustawicznie lękał się drugiego.

Molly westchnęła.

— Teraz wiem, przynajmniej, co mam robić — powiedziała. — Nie wolno mi ruszyć ani grosza z pieniędzy, które pozostawił mi w spadku Mandle.

— Zgadzam się z tym — rzekł Sok spokojnie. — Pieniądze te wraz z całym majątkiem Boba muszą być oddane Bankowi Lyońskiemu. A mimo to Lex zdobył skarb.

— Tak samo jak i przyszły jego teść — powiedział z uśmiechem Jetheroe.

Oczy Lexingtona i Molly spotkały się.

KONIEC